

KSIAŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

:: NA UROCZYSTOŚĆ ::
ODSŁONIĘCIA POMNIKA

OPRACOWAŁA
S. POPIELÓWNA.



NOWY SĄCZ — 1923.



KSIAŻĘ JÓZEF.

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

⌘ NA UROCZYSTOŚĆ ⌘
ODSŁONIĘCIA POMNIKA

OPRACOWAŁA

S. POPIELÓWNA.

Kolekcja
Emila Kornasia



NOWY SĄCZ 1923.
CZCIONKAMI ROMANA PISZA W NOWYM SĄCZU.



CM316672

dfc ml
15. VII. 77 r.



Wnio do Księgi Akcesji
Dł. 18 200 / CM

65/671/35 W.

10



*„Dosięga głową tronu,
Wart więcej czci pokłonu,
Niżeli król, ten Księżę“....*)*

OKRES PIERWSZY

1763—1789.

JÓZEF PONIATOWSKI urodził się dnia 7-go maja 1763 r. w Wiedniu, w pałacu Kińskich przy ulicy Herrengasse. Ojciec jego, Andrzej, starosta rycki, a potem generał wojsk austriackich, był młodszym bratem króla polskiego Stanisława Augusta, — matka Herula Teresa z domu Kińska, była spokrewnioną przez babkę ze starożytną rodziną włoską markizów Refranco.

Ochrzczony tegoż dnia w Schottenkirche, otrzymał imiona Józef Antoni. Już jako jednoroczne dziecko nosił podwójną godność książęcą, bo gdy w rok po jego urodzeniu wstąpił był na tron polski stryj jego Stanisław August, na sejmie koronacyjnym w Warszawie obdarzono tytułem książęcym dziedzicznym całą rodzinę Poniatowskich, zaś ojciec jego otrzymał od cesarzowej Marji Teresy dyplom książęcy czeski z prawem pierworodztwa.

Ze znakomitością pochodzenia odziedziczył był Józef po przodkach swych wszystko, co mieli w sobie najlepszego, zaś to co podlejsze, nie przylgnęło mu do duszy, nie weszło w naturę. Więc po dziadku wziął wspaniałą postawę i animusz ry-

*) Z polskiego tłumaczenia »Cyda«, dokonanego przez Stanisława Wyspiańskiego.

cerski, po ojcu odwagę i niczem niezachwianą obowiązkowość, zaś po stryju wysoką inteligencję, bystrość i wszechstronną zdolność umysłu, wykuint, oraz rzadki dar zjednywania sobie ludzi. Po matce tylko wziął spuściznę nienajlepszą, bo serce nadmiernie wrażliwe i nerwowość usposobienia, które mu nieraz w życiu bardzo szkodziły.

Mając niespełna lat dziesięć, stracił ojca, który umarł przedwcześnie na zapalenie płuc; wychowywał się więc dalej wyłącznie pod okiem matki, osoby stale chorej, rozgoryczonej i zdenerwowanej. Kochając bezgranicznie syna jedy-naka, psuła go generałowa pieśzcotami i słabością macierzyńską, często jednak w przystępie nerwów i kapryśnego usposobienia bywała dlań ostrą i niesprawiedliwą. Wszystko to oddziaływało fatalnie na duszę i charakter dziecka i byłoby je niewątpliwie spaczyło zupełnie, gdyby nie stryj, Stanisław August, który roztoczył nad bratankiem stałą a bardzo troskliwą opiekę.

Przedewszystkiem zapewnił mu ją pod względem materialnym, ile że majątkowe położenie sieroty było jeśli nie opłakane, to w każdym razie zgola nie licujące z jego godnością książęcą. Po ojcu odziedziczył był wprawdzie dobra starostwa wielońskiego na Żmudzi, ale te mocno zniszczone i zadłużone, zaledwie starczyły na utrzymanie jego i matki dożywotniczki.

Pierwszem tedy staraniem króla Stanisława było zapewnić sierocie dostatni byt materialny. Nadał mu bardzo intratne starostwo żyżmarskie, a wielońskie oczyściwszy z długów, przeniósł z pod dożywocia matki na rzecz syna, ponadto wyrobił mu cessję starostwa uszpolskiego, oraz chmielnickiego.

Najtroskliwszą opiekę rozciągnął był król również na edukację bratanka, jak niemniej na jego ukształcenie fizyczne, a pole działania miał tu bardzo wdzięczne, bo chłopiec był dziwnie zręczny i pojętny, przytem, o ile niezbyt pilny, to nadzwyczajnie zdolny. Wychowawcami księcia byli sami cudzoziemcy: Francuz Hennequin, bardzo wymagający i surowy pedagog, udzielał mu całej nauki książkowej, — Niemiec Königsfeld ćwiczył go w gimnastyce i w jeździe konnej — zaś Anglik, generał Phunkelt wykładał mu teorię strategii i zasad militarystyki. Kierownictwo naczelne i decydujące spoczywało w rękach króla Stanisława, a było ono prawdziwie ojcowskie,

zawsze równe, serdeczne, taktowne i rozumne. Pomimo, iż wybrał mu na guwernerów samych cudzoziemców, przestrzegał, król pilnie, aby bratanek nie zapominał ojczystego języka. W codziennych, niemal serdecznych listach przestrzegał go aby się nie zniemczył, prawil mu z uwielbieniem o Polsce, jako o jego właściwej ojczyźnie, sprowadzał go do siebie na wszystkie święta i wakacje, przedewszystkiem zaś zdołał stworzyć mu w Wiedniu towarzyskie otoczenie polskie, wykwintne, a szczerym patryotyzmem przejęte i pod tym względem wyświadczył bratankowi swojemu najzbawienniejszą przysługę.

Bez przesady powiedzieć można, że wszystkie swoje najpiękniejsze, najszlachetniejsze uczucia oddał był król Stanisław swemu Pepi, do którego przywiązywał się coraz więcej. Kochał w nim nietylko krew swoją, ale samego siebie takim, jakim pragnął być, a jakim niestety nie został, — kochał w nim świetne zalety umysłu i serca, jakie bezsprzecznie posiadał sam w wysokim stopniu, — kochał w bratanku swoim piękną jego postać, wykwint ułożenia, jako odbicie swego własnego „ja“, ale kochał też i uwielbiał w nim to, czego sam nie miał zgoła w sobie: siłę woli, ducha prawości bez skazy i poświęcenia, bohaterstwo duszy w zaparciu się siebie dla spełnienia twardego lub przykrego obowiązku, — kochał w nim i ubóstwiał honor człowieka i prawego obywatela swojego kraju, ten honor, który on sam tak lekkomyślnie był utracił.

*

*

*

Zaraz po pierwszym podziale Rzeczypospolitej ściągął dwór austriacki kwiat polskiej młodzieży do swojej armji. Oczywiście nie był to jeszcze przymus, lecz zręczne, przyjacielsko obłudne zapraszanie. Podobnież i ks. Józefa zachęcał do służby w swojej armji sam cesarz Józef II, na razie jednak bez skutku, bo król Stanisław odwołał nagle bratanka z Wiednia do Warszawy, a to z okazji zaślubin jego siostry Teresy z Wincentym Tyszkiewiczem. Ta uroczystość rodzinna wprowadziła młodziutkiego, bo zaledwie piętnastoletniego księcia w warszawski świat towarzyski.

Wyższe warstwy stolicy patrzyły na królewskiego bratanka życzliwie i przyjaźnie, zaś niższe obojętnie, a nawet

z pewnem uprzedzeniem, opartem na coraz już jawniejszej przeciw królowi niechęci.

Z Warszawy urządzał ksiązę z polecenia stryja częste wycieczki, a to dla osobistego zapoznania się ze sprawami majątkowymi. Ani jednak wieś ani miasto nie pociągały księcia do siebie, bo z wrodzonym zamiłowaniem do konia i szabli marzył tylko o służbie wojskowej. Gdy tedy Wiedeń coraz natarczywiej zapraszał go do swej armji, ks. Józef począł usilnie prosić stryja, aby mu pozwolił wstąpić w szeregi austriackie. Król odmówił mu zrazu stanowczo, jako że bowiem przystawało Poniatowskiemu służyć pod berłem tego, który wziął udział w rozbiórce jego kraju?... W końcu jednak uległ prośbom bratanika i dał mu swoje przyzwolenie, ale pod następującymi warunkami:

„Ksiązę wstępuje do armji austriackiej nie na stałe, lecz chwilowo, dla wyćwiczenia się w sztuce wojennej — na pierwsze wezwanie ojczyzny powróci natychmiast pod jej sztandary. Każdy urlop spędzi w kraju, — nie wstąpi nigdy do korpusu gwardji szlacheckiej, (którą to gwardję sformował był rząd austriacki w celu powolnego wynarodowienia żołnierza polskiego)“.

Wszystkie te rozumne i zgodne z honorem Polaka warunki króla przyjął ksiązę i przyrzekłszy stosować się do nich ściśle, wstąpił z początkiem lutego r. 1780 do austriackiej kawalerji jako podporucznik II pułku karabinierów imienia W. ks. Franciszka Toskańskiego. Gdy w tymże roku zmarła była cesarzowa Marja Teresa, ks. Józef uczestniczył w ceremoniach żałobnych jako zastępca króla polskiego Stanisława Augusta.

Awansował bardzo szybko, dzięki swej obowiązkowości i sprawności służbowej. Już we wrześniu 1781 posuniętym został na rotmistrza, w styczniu 1782 na dowódcę szwadronu, a we wrześniu 1784 na majora. Miał już wówczas opinię bardzo dzielnego i zręcznego kawalerzysty, nader miłego towarzysza broni i kolegi, gorliwego w służbie żołnierza, nieskazitelnie honorowego i uczciwego człowieka. Duszę miał prostą, szczerą i otwartą, ale usposobienie nierówne, bo niesłychanie wrażliwe i nerwowe, — czasem nad miarę wesóły, wpadał ni stąd ni z owąd w zadumę, w smutek, w ogólne przygnębienie myśli i woli.

Pod koniec r. 1784 odkomenderowany do pułku ułanów w Galicji, zakwaterował się ks. Józef we Lwowie jako dowódca rekrutów polskich, a po wcieleniu jego oddziału do pułku szwoleżerów im. v. Levenehr przeszedł r. 1786 do szwoleżerów cesarskich im. Józefa II jako podpułkownik. Tegoż roku wyjechał na dłuższy urlop do Warszawy, gdzie otrzymał od króla Stanisława Augusta wstęgę św. Stanisława i Orła Białego. Następного roku w styczniu znalazł się znów w Wiedniu, a lubiący go bardzo cesarz Józef II, dał mu osobiste pozwolenie na noszenie tych polskich orderów.

W lutym 1787 wezwany przez stryja przybył znowu do Warszawy, a to dla odbycia z nim razem podróży do Kaniowa na zjazd z carową Katarzyną II. Powolna jazda w karecie królewskiej, przerywana ustawicznymi ceremoniałami urzędowymi, w ciężkiem, poważnem towarzystwie króla i biskupa Naruszewicza, tak w końcu znudziły i zdenerwowały młodego księcia, że ucieszył się prawdziwie, gdy mu stryj polecił wyjechać naprzeciw carowej do Kijowa. Jadąc tam, spotykał się po drodze ze Szczęsnym Potockim, z Ksawerym Branickim, z pułkownikiem Józefem Zajączkiem, oraz z całym gronem innych co najwybitniejszych rodaków, którzy spieszyli składać hołdy, prośby i nadzieje do stóp przemożnej monarchini.

Piękna carowa zatrzymała się dłużej w Kijowie, a cały czas jej tam pobytu był jedną ucztą, jednym balem. Młodzieńki książę znalazł się znowu w atmosferze na razie miłej i upajającej, ale potem uczyniło mu się w niej tak duszno i nieznośnie, że w towarzystwie swego serdecznego przyjaciela, Karola de Ligne, wymknął się dyskretnie nocą z Kijowa wprost do swego pułku na Morawy. Było to bardzo śmiałe przekroczenie etykiety dworu carowej, tem śmielsze, że monarchini wyróżniającą uprzejmością darzyła urodziwego młodzieńca. Zgromił go też za to w liście król stryj, ile że mając na widoku rodzinne sprawy majątkowe, obiecywał sobie był wiele z tego zjazdu z carową i przedstawienia jej swojego ukochanego Pepi.

Tymczasem zanosilo się w Austrii na wojnę z Turcją, do której dziwnym jakimś fatalizmem rwał się cesarz, a wraz z nim cały Wiedeń. Jakoż i ks. Józef, wówczas przyboczny adjutant cesarza, otrzymał w styczniu r. 1788 rozkaz stawienia się na połowę marca do Pesztu, skąd każdej chwili miał być

gotowym do wymarszu w pole. Stamtąd pospieszył jeszcze na parę tygodni do Wiednia, aby pożegnać się z najbliższem kółkiem przyjaciół i znajomych, aby choć troszkę jeszcze nacieszyć się tem miastem, które wówczas miało dlań urok niezaprzeczony. Lubił Wiedeń, jako swoje miejsce rodzinne, lubił go jako stolicę ujmującą i miłą. Żegnał się też z nią bardzo wesoło, cały oddany szalonemu wprost karnawałowi. I nie był tam bez rodaków, bo na ten rok właśnie zjechała była do Wiednia pierwsza licniejsza kolonja polska. Ogniskiem jej i stałym punktem zbornym był wówczas salon księżnej marszałkowej Lubomirskiej, z domu Czartoryskiej, zawziętej przeciwniczki króla Stanisława Augusta. Ponadto miał ks. Józef w Wiedniu osobiste kółko przyjaciół ze strony matki, jak księżną Lichtenstein, księżną Jabłonowską, księżną Kińską, hrabinę Kińską-Dietrichstein. a przedewszystkiem najserdeczniejszego swego przyjaciela Karola de Ligne.

W tem tedy kółku bawiono się bardzo wesoło i czule zarazem, bo Ligne kochał się w hr. Kińskiej, a Poniatowski w młodziutkiej Karolinie Thun. Pierwsze to było w jego życiu kochanie i wobec wszystkich późniejszych ono jedno prawdziwe. Najmilszym też i najszcześliwszym okresem całego jego życia była owa zima spędzona w Wiedniu. Zakochany w świeżej i wdzięcznej jak kwiat dziewczynie, oddychając ciepłem otoczeniem krewnych i przyjaciół, cieszył się ks. Józef życiem tak, jak nigdy już później. Uprzyjemniał je też i całemu swemu otoczeniu jako bardzo miły towarzysz i „causeur“, jako doskonały partner do wszelkich gier i zabaw, jako wreszcie biegły klawikordzista, a tak w tej grze zamiłowany, że i w późniejszych latach woził z sobą szpynecik łatwo przenośny, który ustawiony w polu w namiocie, koł mu niejedną ból duszy, słodził wiele dotkliwych a tak niezasłużonych gorczy, jakimi niedługie stosunkowo życie poiło go może aż nadto gorliwie.

*

*

*

Koniec marca 1788 powołał księcia do obowiązków żołnierza. Rozpoczął je pod boki i na oczach cesarza jako jego adjutant. Rola ta jednak acz zaszczytna ciążyła mu jako zbyt bierna i bezbarwna; pełen animuszu rycerza, rwał się do czy-

nów samodzielnych; prosił też cesarza o pozwolenie sformowania oddziału ochotniczego z polskiej szlachty galicyjskiej, aby na jego czele prowadzić walkę podjazdową z Turkiem. Oparł się jednak temu stanowczo, sędziwy feldmarszałek Lacy, albowiem cenił już wówczas wysoko zdolności Poniatowskiego i nie chciał go się pozbywać z czynnej armji linjowej. Pozostał więc ksiązę na stanowisku adjutanta cesarskiego — wyprosił sobie tylko kierownictwo przy oblężaniu Sabaczu. Ten pierwszy samodzielny krok wojenny, nie przyniósł mu jednak szczęścia.

Szturm na twierdzę rozpoczął się wczesnym rankiem 24 kwietnia. Poniatowski prawie sam, z paroma zaledwie ludźmi wdarł się pod frontowy parapet twierdzy, gdzie przyjęty gradem kul, został ciężko ranny w udo. Cudem odratował go z placu szeregowiec Kroat Körner. Rana była ciężką i groziła kalectwem na całe życie — znakomicie jednak leczony i pielęgnowany, wyzdrowiał ksiązę zupełnie. Cesarz nadał mu własnoręcznie nominację na pułkownika II. p. szwoleżerów i chciał zatrzymać go dłużej przy sobie, ale Poniatowski wyrwał się wciąż na plac boju, aby wziąć czynny udział w następnej kampanji tureckiej. W r. 1789 przeznaczony jako drugi pułkownik do pułku Modena, miał już wyruszyć w pole, gdy w tem wezwany przez króla Stanisława Augusta, musiał niezwłocznie stawić się w Warszawie.



OKRES DRUGI

1789—1795.

W myśl uchwały Wielkiego Sejmu warszawskiego, armja polska liczyć miała stale 100.000 żołnierza. Wszystkich tedy oficerów polskich, którzy po pierwszym rozbiore Ojczyzny wstąpili byli w obce służby wojskowe, powołano z powrotem do kraju; w szczególności zaś i bardzo stanowczo upomniano się o ks. Józefa, ile że wyszkolony doskonale w służbie cesarskiej, a nawet okryty już sławą w kampanji tureckiej, niewątpliwie usłuży znakomicie Ojczyźnie.

Równocześnie z wezwaniem od deputacji sejmowej otrzymał ks. Józef list od króla z rozkazem niezwłocznego powrotu pod sztandar ojczysty, a stało się to prawie w przeddzień wyprawy jego na Turków. Natychmiast tedy wniósł książę podanie o zwolnienie go ze służby austriackiej, przyczem jednak stosownie do przepisów obowiązujących w polityce, dołączył na osobnym rewersie zapewnienie, że „nigdy nie będzie służył obcemu mocarstwu przeciw Domowi austriackiemu“. Wysyłając oba te pisma do cesarza, przydał jeszcze książę prywatny list do niego z usilną prośbą o zwrot owego rewersu, a temsamem o „zwolnienie od rzeczonych zobowiązań“ — miłując bowiem nadewszystko swój honor żołnierza - Polaka, a zarazem honor człowieka; nie chował póki życia być w niezgodzie ani z jednym ani z drugim. Dymisję w kilka dni otrzymał, ale cesarz odmówił mu zwrotu rewersu. Nie zrażony tem, ks. Józef upominał się jeszcze o niego parę razy i wreszcie odzyskał go z powrotem.

Przybył do Warszawy pełen najlepszych chęci i zapału, aby służyć jako żołnierz Ojczyźnie. Tymczasem już z pierwszych rozmów z królem i z prymasem wywnioskował z przykrością, że ci wezwali go w celach innych, w celach politycznych i matrymonialnych. Obaj stryjowie postanowili osadzić go na razie w Senacie i ożenić z jaką możliwą i wpływową w kraju dziedziczką polską. Te zgola nieoczekiwane kombinacje stryjów przejęły ks. Józefa niesmakiem i postawiły go odrazu w kolizji z królem. Nie chcąc doprowadzać do ostrych nieporozumień z tym, który zresztą był mu ojcem najlepszym, wylał ksiązę cały swój żal i rozgoryczenie w liście do siostry swej, Teresy Tyszkiewiczowej:

„Czyliż dlatego, że nie posiadam nic, że żywię gorące i serdeczne uczucia dla króla za jego troskliwość i dobrodziejstwa, że jestem z należnym respektem dla mojej rodziny, winienem zostać jej ofiarą?... Kłócić się w sejmie, słuchać ustawicznego skrzeczenia istot bezrozumnych, powodowanych prywatą, znosić obelgi ciskane pod osłoną patryjotyzmu, udawać przed pierwszym lepszym, nie być nigdy sobą — jest to rzemiosło niezgodne z moim charakterem.... Sądzę, że tyle tylko winienem mojej rodzinie, by być człowiekiem uczciwym, dobrym, walecznym i lojalnym; widoki ambicji i polityki są na- zbyt dla mnie wysokie“.

„Wyznaję, że marzyłem, iż będę mógł kiedyś poślubić kobietę miłą, której charakter byłby mi doskonale znany, która mogłaby mi być przyjaciółką, osłodzić mi wycofanie się z życia czynnego do cichego spoczynku, której zawdzięczałbym moje szczęście i którą sam mógłbym uczynić szczęśliwą. Karolina zdaje mi się posiadać większą część tych zalet i wyznaję, że gdyby na mnie czekała i gdybym był niezależnym, byłbym w niej znalazł ustalenie losów swoich. Ale zbyt dobrze wiem, że istnieję i żyję jedynie z dobrodziejstw królewskich, abym potrafił zdobyć się na jakiś projekt... Cierpię — jestem nieszczęśliwy, kiedy myślę o ofiarach tyrańskich, jakich wymagają odemnie, ale gdybym mógł przez swoje wiadomości wojskowe być w czemkolwiek użyteczny Ojczyźnie, gdybym z narażeniem życia mógł zachować jej prawa i przywileje — wtedy nie chcę spoczynku, pogody, wszystko poświęcę“.

Tymczasem armja polska rosła nader szybko, bo naród ocknąwszy się z chwilowej depresji rwał się z zapalem do akcji obronnej.

Idący zawsze za silniejszym prądem król zrozumiał, że dla jego bratanka nie pora teraz na sprawy prywatne, polityczne lub familijne i zapragnął widzieć w nim przedewszystkiem żołnierza. Jakoż ks. Józef zamianowany dnia 3 października t. z. generał-majorem wojsk polskich, został szefem gwardji pieszej koronnej i członkiem deputacji do ułożenia regulaminu wojskowego.

Niezależnie jednak od tych zajęć, które nie mogły mu przecież wypełnić dnia całego, wszedł w bardzo miłe i kuszące życie towarzyskie stolicy i oddał mu się z całą bujnością swej młodej żywiołowej natury. Warszawa nie umiała nigdy smuć się i płakać, a teraz jeszcze wobec formującej się nowej armji, oraz otuchy, jaką miała w Kościuszcze, rozbawiła się jak dziecko z całą uciechą i nieświadomością jutra. Królem zaś tego rozweselenia się stolicy i jej gwiazdą najświetniejszą stał się książę Józef. Święcił triumfy wszędzie: w salonach, na festynach i turniejach rycerskich, — gdzie tylko się pokazał, przykuwał do siebie oczy wszystkich, jako niedościgniony wzór elegancji, wykwintu i mody, dowcipu, a przytem chwytającej za serce rycerskiej uprzejmości. Cała „socjeta“ Warszawy poczęła składać mu hołdy, a imię „księcia z bajki“ było na ustach wszystkich. Zawróciło to głowę pięknemu Pepi, który z całą bezbronnością swego wieku oddał się rozkoszy i płochości życia. Te kilka miesięcy spędzonych w stolicy, zmieniły go też zupełnie; rozbudziły śpiące w nim jeszcze namiętności, a w cichej dotąd, marzycielskiej duszy rozпалиły się zmysły i piły rozkosze ziemskie, smakując w nich coraz więcej. Takie jednak życie nie wychodziło mu na zdrowie, które nosząc w sobie zaród choroby piersiowej nigdy i tak silne nie było. Szkodziło mu też mocno na opinji u tych warstw narodu, które nie karnewałowały, nie ucztowały, lecz całą tylko duszą pragnęły dobra i całości swego kraju. Pragnęły też mieć w księciu przedewszystkiem dzielnego obrońcę Ojczyzny i prawego jej obywatela. Toteż ogół społeczeństwa poczał coraz ostrzej krytykować sposób życia królewskiego bratanka, a polegając często na fatalnych pozorach, osadzili go wreszcie jako rozpustnika i wy-

zute go z wszelkiego poczucia obowiązku człowieka. Nawet wśród rzekomych przyjaciół księcia wielu znalazło się takich, którzy na podstawie czezych plotek obciążyli rachunek jego niejednym grzechem zgoła niepopelnionym. Najostrzej potępiał go generał Zajączek, późniejszy jego stały przeciwnik i najnie-sprawiedliwszy oskarżyciel. Dobrze się też stało, że obowiązki żołnierza wyrwały wkońcu księcia z wiru uciech stolicy.

Z początkiem kwietnia r. 1790 objął Poniatowski dowództwo IV dywizji bractawskiej i kijowskiej, z główną kwaterą w Tulczynie. Owiany świeżem powietrzem stepów ukraińskich, pozdrowiał zaraz na ciele i duszy i ze zwykłą sobie sumiennością oddał się pełnieniu obowiązków. Codziennie ćwiczył powierzone mu oddziały Kozaków, z których utworzył wkrótce doskonale wyszkolony pułk o dziesięciu sotniach.

Ujawszy w niedoświadczone jeszcze ręce ciężkie brzemie rozległej akcji organizacyjnej, oddał się olbrzymiej pracy z zapalem i wytrwałością, a jeżeli pod niejednym względem zdradzał niedostateczny zasób wiedzy w teorji, to natomiast wykazywał biegłą znajomość techniki kawaleryjskiej, oraz wrodzony orjentacyjny instynkt bojowy, który już wówczas zwiastował w nim wodza pierwszorzędnej miary. Na niezaprzeczonym jego talencie strategicznym poznał się był najlepiej Napoleon, a natomiast wodzowie-rodacy, jak Dąbrowski, Zajączek, Sokolnicki i inni nie doceniali go należycie jako wodza, uznając w nim jedynie bohaterskiego żołnierza. Działa mu się tu więc niesprawiedliwość i krzywda, bo gdyby mu zawsze dozwolono rozwinąć w pełni cały swój talent organizatora i strategika, to Poniatowski byłby stanął na równi z najznakomitszymi wodzami. Ale — niestety — usuwano go zwykle na drugi plan, odmawiano zaufania, co nadmiernie wrażliwej duszy księcia odbierało pewność siebie, gasiło wiarę we własne siły i zdolności; nie był on zgoła blagierem ani zarozumiałym, przeciwnie, za ostro zdawał sobie sprawę ze swych braków, a poczucie własnej odpowiedzialności było w nim tak wysokie, że aż prze-czulone.

„Może doszedłem już do tego — pisał skromnie do stryja — że potrafię z dobrą wolą i rozumem pułk prowadzić w ogień, ale nie dojrzałem jeszcze na generała komenderującego, nie uzyskałem jeszcze dość wiadomości i talentów na za-

pełnienie tak ważnego miejsca.... Nie ludzę się wcale pod tym względem, i z drżeniem czuję, jak wielkie zobowiązanie mam wypełnić. Użyję wszelkich sił, jakie mi niebo dało, nie aby one szły najmniej źle, ale aby one szły dobrze, na to potrzeba ludzi innej miary, niżeli ja jestem“.

Ten brak pewności siebie, brak zaufania we własne siły, jakże często i przygnębiająco nękały duszę księcia w sprawach, które właśnie były do wygrania, a od których nagle ogarnięty zwątpieniem odstępował na rzecz innych wodzów, mniej od niego uzdolnionych.

Zastąpiony w obozie chwilowo przez Kościuszkę, zjechał Poniatowski jesienią do Warszawy, gdzie uczestniczył codziennie przy obradach Sejmu nad Ustawą majową. W lipcu r. 1791 powrócił do swej kwatery do Niemirowa. Odjeżdżając z Warszawy wymógł na królu obietnicę, iż tenże wraz z senatorami przybędzie zwiedzić jego obóz, ale Stanisław August ociągał się z przyjazdem.

Po odbyciu manewrów wyrwał się książę znowu do stolicy, zastąpiony i tym razem przez nieustrzonego Kościuszkę, który ceniąc bardzo zdolności i charakter Poniatowskiego, stanął z nim odrazu na stopie szczerego, pełnego zaufania i przyjaźni stosunku. Z obozu pisywał doń niemal codziennie, informował księcia o potrzebach armji, tudzież o niepokojących ruchach wojsk sąsiedzkich, a przede wszystkim o coraz wyraźniejszych knowaniach hetmanów: Branickiego i Szczęsnego Potockiego.

Obecność ks. Józefa w Warszawie okazała się nader użyteczną ze względu na przeprowadzenie organizacji wojskowych. Pracował w kancelarji po kilkanaście godzin na dobę, — za tę gorliwość, „za zdolność, zasługi i pracę w pilnem ćwiczeniu żołnierza“ otrzymał rangę generał-lejtnanta, którą to szarżę odebrał był właśnie Sejm Szczęsnemu Potockiemu.

Zawsze troskliwy o polepszenie bytu swojego bratanka stryj czynił starania około nadania mu pensji rocznej, a właśnie Sejm zaproponował był królowi zrzucenie się z prawa patronatu w królewszczynach oraz prawa rozdawnictwa starostw; w zamian za to zrzeczenie się ofiarowano królowi intratę 100.000 złt. pol. rocznie. Stanisław August postanowił przeznaczyć ten dochód ks. Józefowi — ten jednak odmówił przyjęcia

stanowczo, tłumacząc królowi, że od Rzeczypospolitej ma awans i pobiera płacę, że mając dość na swoje utrzymanie, nie chce brać nagrody, na którą nie zasłużył się jeszcze krajowi. Wynikło stąd przykre nieporozumienie, bo troskliwość stryja nie chciała ustąpić przed skrupułami i szlachetną ambicją bratanka. Wreszcie wola króla zwyciężyła, ale i tak ks. Józef nie dostał był ani grosza z ofiarowanej mu pensji, bo wszelkie ustawy sejmowe utraciły swą ważność z chwilą zawiązania się konfederacji targowickiej.

Podle knowania Branickich i Rzewuskich wydały owoc fatalny. Już z początkiem maja potężna armja rosyjska pod wodzą generała Kachowskiego, wkroczyła w obręb Rzeczypospolitej i trzeba było stawić jej opór natychmiastowy. Przerażony król porucił tę sprawę swojemu bratankowi.

Na czele 20 tysięcy żołnierza wyruszył ks. Józef w pole, a mężne serce jego ścisnęła obawa, czy zdoła stawić opór potrzykroć silniejszej armji nieprzyjacielskiej, — prosił nawet króla, aby komendę nad wojskiem zdał innemu, doświadczeńszemu odeń wodzowi, a on najchętniej służyć pod nim będzie jako prosty żołnierz. Wyruszył jednak w pole, bo żaden z generałów starszych nie kwapił się do odbycia tak niepewnej kampanji, speszonej w dodatku jeszcze tem, że równocześnie z wkroczeniem do nas wojsk rosyjskich, ogłoszoną została konfederacja targowicka.

Już pierwsze wieści, jakie ks. Józef posłał był królowi, były smutne i źle wróżące. W pochodzie przez ziemie kresowe spotykał się ze złą wolą tamtejszej ludności, która zdemoralizowana przez Targowiczian odmawiała naszemu wojsku postoju i żywności, a co gorsza podmawiała żołnierzy do nieposłuszeństwa księciu. Tu i ówdzie poczęła nawet wkraść się niesubordynacja, tak, że dla poskromienia innych, ks. Józef przebił osobiście pałaszem żołnierza z kolumny Lubomirskiego za to, iż ten w imieniu całego korpusu zapowiedział, że w ogień nie pójda. Na każdym kroku spotykał się Poniatowski ze złą wolą, nie mógł też wywiedzieć się o istotnej liczbie i poruszeniach przeciwnika, a natomiast miał to silne i niezbite przekonanie, że o całym rozmieszczeniu i sile jego małego oddziału wiedział nieprzyjaciel aż nadto dokładnie.

— „Czynimy wogóle wrażenie, jakgdybyśmy już z pola walki wracali“ — biadał książę w swych raportach do króla. — „Już teraz brak nam koni, namiotów, kasa prawie bez pieniędzy, lazarety niezaopatrzone, umundurowanie wprawdzie rozpczęte, ale nieukończzone, bo transport sukna opóźnia się... itd. Najsmutniej zaś przedstawia się rzecz z zaopatrywaniem naszego żołnierza w żywność, bo cywile nie dają nam żadnej pomocy, a natomiast nieprzyjaciół obficie jest żywiony“.

Przy owym pochodzie spotkał też Poniatowskiego cios przykry, zgoła nieoczekiwany: Oto wedle ułożonego jeszcze w Warszawie planu, miał książę połączyć się na kresach z pułkiem rezerwowym Michała Lubomirskiego i razem z nim stanąć i obwarować się w Połonnie. Tymczasem Lubomirski zdradził go niecnie, bo w tajemnem z nieprzyjacielem porozumieniu zwlekał i kołował rozmyślnie, aby Kachowskiemu dać czas i zupełną już łatwość do oskrzydlenia, a potem rozbicia wojsk Poniatowskiego. Spostrzegłszy w czas grożące niebezpieczeństwo ks. Józef nie myślał już o obwarowywaniu się gdziekolwiek, lecz rozpoczął zwolna i ostrożnie odwrót. Była to smutna, lecz jedyna do zrobienia ostateczność, którą podjął sam na własną rękę, toteż słał gońca za gońcem do Warszawy z usilną prośbą o instrukcje, żeby, jak pisał — „nikt mi nie zarzucić nie mógł, gdyż więcej jak życie niosę na ofiarę Waszej Królewskiej Mości i Ojczyźnie mojej, bo honor i reputację“. — Prosił też książę króla o posiłki niezbędne, aby Sejm pospieszył z pomocą dla biednego żołnierza, bo inaczej i jemu i jego wodzowi pozostanie w ostateczności szukanie tylko śmierci“.

Zaznaczyć nam tu wypada, że w tej małej, skazanej na zagładę armji panował już teraz zupełny spokój, karność i porządek. Chwilowa depresja i szemranie wśród żołnierzy ustąpiły pełnej zapału chęci rozprawienia się z wrogiem na ostro. Zmianę tak pożądaną w obozie spowodowało mądre, pełne taktu a sprawiedliwe postępowanie księcia, który jako wódz surowy i wymagający, dzielił ze swymi żołnierzami trudy i wszelkie braki tak w marszu jako i w obozie, nie wynosząc się nad nich, cierpiał biedę na równi z nimi. Miał też w obozie nie tylko posłuch, ale i miłość całego wojska gorącą.

W powolnym swym i smutnym odwrocie stanął ks. Józef po raz pierwszy w Lubarze i tu zastał rozkaz od hetmana polnego Seweryna Rzewuskiego, aby swoją armję poddał Targowicy. Poniatowski odpisał mu zwięźle i dobitnie, że „dla władz podłych nie posłuszeństwo, lecz wzgardę ma za правило“.

Dowiedziawszy się, że wzięci do niewoli w pierwszych potyczkach żołnierze jego cierpią głód u Moskali, posłał księżę Józef na polepszenie ich bytu 500 dukatów z własnej szkatuły wprost do rąk Kachowskiego. Ta hojność i dobroć serca zdumiały generała rosyjskiego, natomiast Stanisław August zganiał ją twierdząc, iż szkoda pieniędzy na taką egzaltację.

Mimo przemęczenia wojska, postój w Lubarze nie mógł trwać dłużej nad dni kilkanaście; mając bowiem przed sobą armję Kachowskiego, a z boku silne oddziały gen. Lewandowskiego, który czaił się, aby tę garstkę naszych oskrzydlić, — trzeba było ustępować zrećźnie i ostrożnie. Opuścił też księżę Lubartów, wysławszy jeszcze dzień przedtem gońca do króla z błaganiem o pomoc; raport, jaki przytem załączył do Sejmu, był wprost rozpaczliwy, pełen depresji, której on jako wódz nie powinien był zgola poddawać się wobec swych żołnierzy. Był to błąd niezaprzeczony, albowiem odbierał im zapal do czynu i wiarę w powodzenie sprawy; gdy jednak zważymy, że księżę był wodzem młodym i niedoświadczonym, że pierwszą samodzielną akcję podejmował w chwili wyjątkowo ciężkiej i krytycznej, że zresztą Sejm dał mu do rozporządzenia śmiesznie małą siłę zbrojną, to usprawiedliwimy go zupełnie.

Ks. Józef znał doskonale przepisy, obowiązujące w „strategji wojennej“ — wiedział więc i o tem, że w odwrocie należy przedewszystkiem zabezpieczyć sobie tyły, a z obawy przed oskrzydleniem boki, ale czemuże je tu zabezpieczać, gdy nie było żadnych zgola rezerwowych posiłków? W tych warunkach odwrót nie mógł być nieprzeszkadzony ze strony wroga, to też dnia 18 czerwca zmuszony został księżę do przyjęcia ostrej bitwy pod Zieleńcami, która przeprowadzona z rozpaczliwą, niesłychaną brawurą, odegnała precz generała Markowa i utrzymała pole w zupełności. Gdyby się to zwycięstwo wyzyskało było należycie, to nieprzyjaciel w tem miejscu dobrze rozbity, mógł zostać doszczętnie zniszczonym, ale ks. Józef dziwnie odurzony tą nieoczekiwaną przezeń wygraną, nie zor-

jentował się odrazu w położeniu tak dla nas korzystnem, a gdy oprzytomniawszy pomyślał o ściganiu nieprzyjaciela, ten był już za daleko, aby mu można było szkodzić. I oto znowu błąd, z którego sam Poniatowski zdawał sobie później sprawę, i jeszcze po wielu latach wspominał z żalem, że „Zieleniec nigdy sobie nie daruje“. I tu jednak należy go usprawiedliwić, a to wobec faktu, że po owej bitwie nie mieli nasi więcej ponad 12 ładunków działowych, a w magazynach tylko na dwa dni żywności.

W bitwie pod Zieleńcami odznaczył się najwięcej bataljon im. Potockiego, a w najgęstszy ogień prowadził go osobiście ks. Józef. Wszędzie do czynu był pierwszym, tylko do posiłku i spoczynku ostatnim. W rozumieniu o sobie zawsze cichy i skromny, przemilczał w raporcie do króla o własnej zasłudze, podnosząc natomiast dzielność podkomendnych: Kościuszki, Mokronowskiego i innych.

Zwycięstwo pod Zieleńcami było świetne, ale poprzednie, pełne zwątpienia i depresji raporty słane do Warszawy zepsuły wszystko. Zanim jeszcze nadeszły wieści o wyniku bitwy, król złożył na Radzie wojennej sprawozdanie o smutnych raportach księcia i w odpowiedzi wysłał rozkaz, aby księżę prosił Kachowskiego o rozejm czterotygodniowy, a to dla porozumienia się Warszawy z Petersburgiem. Fatalnym zbiegiem okoliczności otrzymał Poniatowski rozkaz królewski właśnie w dniu, w którym wygrał bitwę pod Zieleńcami, albowiem kurjerzy rozminęli się byli w drodze.

Upojony zwycięstwem, zapalony do dalszej walki księżę Józef spełnił rozkaz ze smutkiem, ale Kachowski odmówił rozejmu. Że więc położenie stało się temsamem groźne, więc Poniatowski cofnął się znowu poza Dubno i Dubienkę.

Tymczasem król słał do carowej listy z płacziwą prośbą o względy dla zagrożonej Rzeczypospolitej. Pisywał też i do bratanka codziennie, donosząc mu niejasno o nowych, a zdaniem jego wielce szczęśliwych kombinacjach z Petersburgiem; serdecznie go też prosił, aby nie upadał na duchu tam w obozie, bo tu w stolicy Sejm, dwór i naród są pełni otuchy i t. d. Ta korespondencja stryja z bratankiem była dla tego ostatniego fatalną o tyle, że król opowiadał na Radzie wojennej oraz wobec Sejmu treść każdego raportu księcia; ubolewał sam gło-

śno nad położeniem młodzieńca, który na swe niedoświadczone barki wziął brzemię za ciężkie, za trudne... Warszawa poczęła rozgoryczać się, szemrać przeciw cofającemu się wciąż wodzowi, — doszło nawet do tego, że tu i ówdzie ośmielono się rozrzucać paszkwile, uwłaczające jego czci i honorowi, jako wodza i Polaka. Nie wchodząc w niemożebność walki z pięćkroć silniejszym nieprzyjacielem, urągano tchórzliwej rejteradzie ks. Pepi, zarzucano mu nieudolność i niezaradność, a między wierzącymi i słowami nietrudno było dorozumieć się nawet posądzenia go o zdradę.

Król donosił o tem wszystkiem bratankowi, a w naiwnej chęci krzepienia go czemś weselszem, pocieszał go tem, że „cała płeć piękna Warszawy stoi wiernie po jego stronie“... żeby tedy nie martwił się zbytnio opinią narodu, od której on sam, król, tyle się nieraz nacierpieć musi niewinnie.

Listy stryja godziły niby sztyletem w serce ks. Józefa, zaś wzmiankę o uznaniu dlań pań warszawskich przyjął jako ironję i ubliżenie dla siebie. W największem tedy wzburzeniu wobec krzywdzących go podejrzeń i rosnącej krytyki, pisał do króla: „Rozpacz ogarnia duszę moją... O Boże! możnaż po ludzku oprzeć się obrotom nieprzyjaciela tak znacznie przewyższającej siły? Niech ci waleczni i odważni, którzy zarzucają tchórzostwo, przyjdą tu sami komenderować; będę z chęcią służył pod nimi za prostego żołnierza, a wtedy sami uznają, czy bojaźń mną rządzi, czy też roztropność miarkuje kroki moje... Jeśli źle pełnię obowiązki moje, to trzeba mi odebrać komendę. Bóg jest spraw moich świadkiem, a sumienie sędzią“.

A w Warszawie raz zachwiana opinia nie dała się już w swych podejrzeniach zatrzymać. Do obozu ks. Józefa poczęto nasyłać cenzorów, którzy mieli kontrolować jego energję bojową wobec armji rosyjskiej. Między innymi przybył tam poseł sejmowy Aleksander Linowski, a w kilkanaście dni po nim Feliks Łubieński, poseł sieradzki — potem znów paru innych, a każdy z nich z miną wielce napuszoną i podejrzliwą zanudzał księcia pytaniami i żądaniem jednych i tych samych wyjaśnień. Najgorsze zaś było, że przybywali do obozu z próżnymi rękami, bez furgonów żywności dla wojska, bez świeżych zapasów broni, o które to rzeczy ks. Józef wciąż błagał, a nie wyprosić nie mógł. Te ciągłe najazdy raziły księcia słuszenie



i grubo niecierpliwiły, a po jednej z takich wizyt, prawdopodobnie przykrzejszej, pisał on do króla ze swej kwatery w Świrczy nad Bugiem:

„Gdybyś W. Kr. Mość na początku tej kampanji, ponieważ ona nie była przygotowaną we względzie militarnym, był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, to albobyśmy byli zginali z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem“.

W krwawej i przegranej bitwie pod Dubienką, gdy już niepodobna było obronić linii Bugu, cofnął się ks. Józef na Chełm do Lublina i pełen niewysłowionej troski czekał tam rozkazów rządu, tego nieszczęsnego rządu, który właściwie nie miał już nic do rozkazywania w państwie.

Na płaczliwe listy króla Stanisława Augusta odpowiedziała Katarzyna II surowem ultimatum, w myśl którego tenże złożył swój akces do Targowicy i na to się był podpisał.

Ks. Józef dowiedział się o tem ubocznie, a wieść ta razila go jak gromem.

— „Na wszystko byłem przygotowany — pisał do księżnej Izabelli Czartoryskiej — lecz nie na podobną nikczemność.. Jestem zgnębiony, oszołomiony... — raczej należało bić się do skonu, nie oddychać hańbą“.

Nie mogąc pogodzić się ze straszną rzeczywistością, przejęty bólem i rozpaczą ksiązę, nie kładł się tej nocy wcale na spoczynek, a o świcie zaproponował kilku towarzyszom broni wyścig konny, w którym cud, że się nie zabił tak, jak tego był pragnął dla siebie.

Nazajutrz pośpieszył wraz z Kościuszką, Wielhorskim i Mokronowskim do Puław i tam wspólnie z księżną Czartoryską uchwalili prosić, a gdy to nie pomoże, zmusić króla, aby ten niezwłocznie przybył do obozu — znając bowiem chwiejną i wpływową naturę stryja, ludził się ksiązę Józef nadzieją, że tu, w pośród dzielnych swych żołnierzy, w jednym namiocie z Kościuszką, Mokronowskim i im podobnym, a z dala od matactw i mętów świata warszawskiego ocknie się dusza króla z oblędu, w jaki popadła i zrzuci się z hańbiącego zobowiązania.

Tak rozumując wysłał ksiązę do króla pismo z błaganiem, aby monarcha stawiał się na froncie swego wojska, które bro-

nić go będzie do ostatniego tchu..., wreszcie zakończył prośbę groźbą, iż „to o co błagamy, o to na koniec będziemy się dobijać“.

Pismo księcia wodza zawieźli do Warszawy osobiście Mokronowski i Wielhorski, obaj przebrani w stroje cywilne, jako obywatele spieszący z pozwem do swego monarchy, ojca narodu — jechali w misji dalekiej od wszelkiej niesubordynacji.

Tegoż dnia, po wyjeździe obu posłów do Warszawy, nadszedł do księcia długi list od króla wraz z urzędowym zawiadomieniem o jego przystąpieniu do Targowicy; dołączony też był rozkaz zaprzestania wszelkich działań wojennych i odprowadzenia wojska na razie do Kozienic i tam oczekiwać dalszych instrukcji — ksiązę ma zdać naczelnictwo w ręce Kościuszki a sam niezwłocznie powróci do Warszawy. Końcowy ustęp listu był bardzo serdeczny: „przybądź mój drogi Pepi, aby odebrać moje czułe uściśnienie, na które sobie zasłużyłeś w pełni... co do Twojej osoby, urządzimy się w taki sposób żebyś nie miał wcale zmartwienia“.

Gdy Mokronowski i Wielhorski przybyli na zamek z pismem księcia, król czytając je zatrzęsł się ze strachu. Nie poznawał tu swego tak łagodnego i posłusznego dotąd Pepi — lęk przejął go wobec stanowczości i groźby, jakie szły z każdego słowa księcia. Płacząc, drżącą ręką odpisał mu w tych słowach:

„Jeżeli Ty broń Boże wraz z Twymi wysłańcami będziesz się upierał przy tem co mi piszesz, to jestem zgubiony, a co ważniejsze, całe państwo jest zgubione! Zaniechaj tej myśli, jeżeli nie chcesz być przyczyną mojej śmierci, bo tego nie przeżyję. Pepi, drogi Pepi, opamiętaj się, bo tu chodzi o mój honor, o moje życie, o całe państwo“.

Przeczytawszy odpowiedź króla, ksiązę zawahał się w swych postanowieniach co do zamachu, ile że znając całą beznadzieję stryja, zanik woli i niemoc poświęcenia swego „ja“ dla sprawy narodowej, zrozumiał, iż ten gwałt nie tylko nie przyniósłby żadnej krajowi korzyści, ale mógłby mu jeszcze zaszkodzić. Po głębokiej w końcu rozwadze zaniechał ksiązę zupełnie myśli porwania króla. I odtąd to datuje się przykry, krzywdzący go nader zatarg pomiędzy nim a Kollatajem, Zajączkiem a nawet z Ignacym Potockim, którzy głosowali stale za wykona-



niem zamachu. Mocno niezadowoleni z takiego obrotu sprawy, osadzili tę nową decyzję księcia jako małoduszność i stchórzanie przed królem, a bodaj nawet czy nie jako serwilizm wobec carowej. Jak dalece niesłusznymi były owe zarzuty, dowodzi fakt, że ks. Józef wraz z całą generalicją podał się tegoż dnia jeszcze do dymisji, albowiem żołnierz ma tylko jedno słowo, a uczciwy człowiek jedną przysięgę dla swego kraju". Podanie i list księcia zawiózł do Warszawy Kościuszko.

Stanisław August dopiero co uspokojony i zadowolony z ustępstwa bratanka w sprawie zamachu, uczuł się wprost zdruzgotanym prośbą o dymisję. W czułych, łzawych słowach usiłował odwieść księcia od tej, jak nazywał „egzaltacji“, a na Kościuszkę natarł ostro, aby powołał do subordynacji tych w obozie, co mu obalamucają jego drogiego Pepi, który niechaj co prędzej przybywa do Warszawy.

Powrócił tedy Kościuszko z odmową królewską, ale ks. Józef trwał przy swoim nieugięcie, a z Kozienic się nie ruszał. Wniósł powtórnie podanie o dymisję i król rad nie rad musiał mu ją podpisać. Wówczas opuścił książę obóz i wyruszył do Warszawy, żegnany ze szczerym żalem przez uwielbiające go wojsko. Wręczono mu adres z podpisami całej generalicji i wszystkich komend, a jako wyraz hołdu dla cnót, męstwa i talentu wodza, uchwalono dać wybić w Warszawie medal, na którym z jednej strony miało być wyryte popiersie ks. Józefa, a na drugiej napis: „miles Imperator“.

W Warszawie, w której zastał już wojska obce zabawił krótko, tyle tylko, ile potrzebował na złożenie raportów i rachunków przed Radą Wojenną i przed Sejmem — na każdym zaś dokumencie podpisywał się: bywszy generał lejtnant. Potem pełen troski o siły zbrojne kraju, choć już nie wódz, dopraszał się usilnie u Rządu, aby nie rozbrajał i nie urlopowwał żołnierza, aby arsenał był stale dobrze zaopatrzony, aby bataljonów nie ogałacać z armat, aby nie pozwalać na tak bezczelne gromadzenie się wojsk obcych w stolicy naszego kraju. Całem swem zachowaniem się pełnem szlachetnej odwagi w wypowiedaniu prawdy wobec zdrajców ojczyzny, narażał sobie wielu z tych, którzy jako Targowiczanie stanowili wówczas grubą już warstwę szumowin stolicy; ogół jednak Warszawy widział go wszędzie mile i serdecznie; gdy raz uka-

zał się wieczorem w teatrze, rozległy się wśród publiczności okrzyki, wiwaty, porwano księcia na ręce i obniesiono go parę razy po amfiteatrze. Nowa stąd zgryzota dla nieszczęśliwego króla, który czuł to dobrze, że kompromituje się podwójnie: raz że sam brnie dobrowolnie w toni błotnistej, a powtóre, że rodzony jego bratanek, jego wychowaniec, a zarazem poddany, nie da się do owej toni wciągnąć ani prośbą ani groźbą. Rósł też w nim coraz większy żal do księcia, że on nie solidaryzuje się z nim tak, jak zdaniem jego był powinien choćby przez samą tylko dlań wdzięczność, że swym chorobliwym patryjotyzmem zaraża i rozzuchwala innych oficerów, gdyż oto co dzień po kilku z nich podaje się do dymisji i t. p. Doszło wreszcie do tego, że drogi Pepi począł mu zawadzać w Warszawie; pewnego więc dnia królewskim gestem zaproponował mu opuszczenie jej niezwłocznie; zawsze jednak troskliwy o byt i fundusze bratanka zapłacił jego dług i z własnej szkatuły wyznaczył mu pensję 12 tysięcy dukatów rocznie.

Po wysłaniu dziękczynnego okólnika do obozu i wszystkich obozów, które miał być pod swoją komendą, opuścił ks. Józef Warszawę i ruszył naprzód do Lwowa, a potem do Wielkopolski, gdzie zatrzymał się kilka tygodni u księżnej Jabłonowskiej w Racacie. Tam to, pełen myśli i troski o kraju, przeżywając pamięć tego co działał i przecierpiał, skreślił rodzaj pamiętnika pod tytułem „*Mes souvenirs sur la campagne de 1792*“. Jedyne to pismo, jakie jako wódz i żołnierz pozostawił po sobie, maluje zwięźle i jasno i zrozumiale, a przede-wszystkiem prawdomownie całą beznadziejność obronnej akcji, jaką dozwolono mu prowadzić na terenie wojennym.

Z Racacu udał się książę przez Drezno do Czech dla widzenia się z matką, a późną już jesienią 1792 r. przybył do Wiednia.

Stolica naddunajska przyjęła ks. Józefa bardzo przyjaźnie i znowu jak ongi zachęcała do wstąpienia do armji. Dalekim był wszakże od tej myśli Poniatowski, albowiem to miasto, które dawniej kochał jakby rodzone, teraz zubożętniało mu zupełnie. Natomiast marzył wciąż i rozmyślał o ukochanej Polsce, która staczała się w przepaść, a on gotów umrzeć każdej chwili za nią, siedzi oto teraz beczynn timer na obcym bruku, zamiast bić się z jej wrogiem....

Zaś Warszawa nie tylko nie wzywała go z powrotem, ale owszem zamykała mu go skwapliwie. Targowiczanie rozwinęli teraz cały swój arsenał jadu i zawiści przeciw osobie księcia, a godząc w najboleśniejszy zawsze punkt dla niego — w honor, poczęli nękać go z wyrafinowaniem okrucieństwem, albowiem znając dobrze naturę Józefa Poniatowskiego wiedzieli, iż tenże nie będzie giąć się jak trzcina za wiatrem, lecz że sprowokowany boleśnie, podejmie śmiało walkę, narazi się przez to Rosji i w rezultacie ściągnie na siebie najostrzejsze tegoż konsekwencje.

Rozpoczęli od kwestji krzyżów wojskowych „virtuti-militari“. Targowicka Rada Generalna uznała te odznaki jako „żadne i niebyłe“ i zakazała nosić je pod surową karą. Mimo protestu wojska rozkaz ten utrzymał się w mocy i wszedł w wykonanie, a posłuszny król, który zresztą nie przywiązywał do takich kwestji wagi i znaczenia, dał synowcowi rozkaz listowny, aby zdjął order. Księżę inaczej tę rzecz pojmując, odpisał stryjowi stanowczo, że „krzyża „Virtuti-militari“ nie zdejmie póki życia i nie pozwoli go sobie odebrać, chyba z życiem.“

W ślad za tą zaczepką wyłoniła się inna. Jeden z regimentarzy targowickich Ożarowski, zażądał od ks. Józefa, jako od byłego komendanta gwardji królewskich, aby złożył przysięgę na wierność Targowicy; do tego żądania dołączył gotową już rotę do podpisu. Oczywiście ks. Józef odpowiedział na to należytą pogardą i odesłał mu rotę przedartą na kawałki.

Nie poprzestając na tem rozpoczęli targowiczanie sekaturę à propos jego byłej służby wojskowej w kraju; więc niektóre jego zarządzenia jużto w obozie, jużto w polu, piętnowali publicznie jako nielegalne — kasowano wyroki sądów wojennych przez niego podpisane — postanowili wreszcie zniszczyć stempel potrzebny do wybicia ofiarowanego mu przez wdzięczne wojsko medalu. Wreszcie marszałek Targowicy, Szczesny Potocki chcąc ks. Józefa poniżyć i zbezcześcić wobec tej części wojska, jaka jeszcze pozostała w kraju, ogłosił go w publicznej odezwie do narodu jako głównego sprawcę wszystkich ostatnich nieszczęść krajowych politycznych, bo „czyż mógł wychowaniec salonów i faworyt dam wszelkiego świata stawić czoło wrogowi na polu bitwy?“ Odezwa ta, czytana

głośno wobec wojska, doszła anonimowo do rąk księcia, który strasznie dotknięty, zraniony w swym honorze obywatela i żołnierza odpowiedział Potockiemu krótko, lecz dosadnie. Wówczas marszałek przesłał księciu parę obelg z wyraźną aluzją do nie-szlachectwa, o które zaatakowano już ongi dziada ks. Józefa Stanisława Poniatowskiego. W odpowiedzi na to książę wyzwał marszałka na rozprawę honorową natychmiastową.

Potocki długo potem na to się nie odzywał, aż wreszcie w spóźnionym już bardzo odpisie nazначzył księciu pojedynek w Petersburgu. Poniatowski zamknął wreszcie tę korespondencję oświadczeniem, że „arcyśmieszne oznaczenie miejsca spotkania dowodzi, że marszałek uchyla się od pojedynku.“ Na tem skończyła się ta przykra wymiana słów, która ze strony marszałka nie zmierzała do żadnej satysfakcji honorowej, lecz do zaszkodzenia księciu u ambasadora — Siewers bowiem dowiedziawszy się o wszystkim, pośpieszył do króla ze skargą na bratanka, iż tenże obraża bezkarnie konfederackiego dyktatora, a nawet śmie porywać się na jego życie. Zagroził też królowi konfiskatą dóbr księcia.

Stanisław August, nie zbadawszy sprawy obustronnie, pełen lęku przed ambasadorem, napisał do bratanka w tonie ostrym i niemiłym, wyrzucając mu jego nadmierną krewkość i popędliwość, a napomknąwszy mu o możliwym zawieszeniu pensji w razie dalszych nietaktów, zakończył list ironiczną uwagą, że bardzo to jest łatwo zadzierać z ludźmi nie na swój, lecz na cudzy rachunek, a tu w tym wypadku na rachunek swojego monarchy, swego zresztą stryja i dobrodzieja.

Przykry, bo niesprawiedliwy list króla rozżalił ks. Józefa i zamącił po raz pierwszy jego czyste i serdeczne doń przywiązanie. Czując się obrażonym i pokrzywdzonym z tej strony, z której najmniej mógł się tego spodziewać, odpisał królowi ostro i popędliwie. Przypomniiał mu, że jego babka Konstancja z tejsamej przyczyny kazała swojemu synowi pojedynkować się z Tarłą — dalej, że stawać w obronie honoru nie jest rzeczą krewkości, lecz najświętszym obowiązkiem każdego szanującego się człowieka, a wreszcie zaznaczył, że bez dóbr, a nawet bez pensji stryjowskiej da sobie jeszcze radę na świecie, bez obciążania czyichkolwiek rachunków. Zakończył ten list

prośbą, aby nie skrzywdzono mu tylko matki, „której jedyną jest winą, że mi dała życie“.

Do czego od początku zmierzano, tego dokonano. Nałożono sekwestr na bardzo intratny majątek Wielonę, a właśnie z dochodów tych dóbr żyła nieuleczalnie już wówczas chora matka ks. Józefa. Obłożono też sekwestrem starostwo żyżmarskie tak, że ksiązę znalazł się nagle bez sposobu utrzymania, zależny jedynie od łaski i szkatuły stryja.

Stanisław August po każdym przykrzejszym liście do bratanka nadsyłał coprędzej następny tem serdeczniejszy i czulszy, bo kochał swego Pepi niezmiennie. I tym razem więc po owem piśmie tak dotkliwem, nadeszło zaraz nazajutrz inne, pełne najczulszych zapewnień o przywiązaniu.

Z tem wszystkiem jednak położenie księcia stawało się teraz już nie do zniesienia: wygnany przez swoich z własnego kraju — nękanym moralnie przez tylu mu nieżyczliwych, — a wreszcie pozbawiony środków utrzymania codziennego!... Jakże tu przyzwolicie żyć bez własnego grosza, bez dorocznych z własnych majątności dochodów, — a jakże znowu korzystać z łaski i hojności tego, który biernością swoją, brakiem honoru i ambicji skazywał własne państwo na poniewierkę i powolną zagładę?... Oto rosyjskie łapy deptały już po wszystkich pracach czteroletniego Sejmu — wojsko zredukowane do minimum znaczyło już tyle co żadne, — zaś społeczeństwo polskie toczył rak zdrady...

I nadszedł II rozbiór kraju i ten, jako śmielszy już w kradzieży zabrał o wiele więcej niż pierwszy. A król Stanisław August jedną ręką podpisywał ulegle to, czego żądał od niego Siewers, a drugą sięgał często do funduszków i zapomóg, ofiarowywanych mu nader hojnie przez rozbiorowe mocarstwa. Nie tał się też z tem wobec bratanka, — że jednak zawsze i wszędzie szukał dla siebie usprawiedliwienia, więc i w tym wypadku wytłomaczył się w przypisku do jednego z listów: „Czyż mogę opierać się ambasadorowi, skoro muszę płacić długie twoje i moje, a nadto zapewnić byt twój i twojej siostry?“

Okrutne to i ból zadające motywowanie odtrącił ks. Józef w serdecznej lecz surowej odpowiedzi do króla:

— „Kocham Cię Najjaśniejszy Panie nad życie, ale droższym jeszcze niżeli Ty sam, jest mi Twój honor, Twoja dobra

sława; nie w tem rzecz, aby brać pensję lub płacić długi, lecz aby się ratować z otchłani hańby“.

I oto w czem tkwił najwyższy tragizm męki, jaka udręczała duszę księcia: On kochał swego króla prawdziwie, niezmiennie — kochał go, jak dobry syn kocha ojca, bez względu na wszelkie jego błędy i winy. Kochał go i dlatego tem więcej bolał nad postępowaniem, z którego nie mógł być dumnym, którego nie mógł uznać za dobre. Ta ustawiczna walka między przywiązaniem i wdzięcznością dla stryja, a nieuznawaniem w nim tego, co własny jego honor i szlachetną ambicję raziło, stanowiło niewątpliwie najprzykrzejszą, najcięższą z udręk, jakimi życie doświadczało księcia aż nadto hojnie.

*

*

*

Nie dano Poniatowskiemu bawić długo w Wiedniu, a to ze względów politycznych.

Drugi rozbiór kraju, w którym Austria zupełnie udziału nie wzięła, zdecydował ostatecznie o zniesieniu naszej armji, więc obecność byłego jej wodza w Wiedniu, tak blisko granicy polskiej, stała się dla Prus i Rosji wielce niedogodną; drażnił ich jego zbyt prowokacyjny sposób bycia i myślenia. Niebawem też poseł rosyjski przy dworze austriackim Kazanowski, otrzymał od swego rządu rozkaz wydalenia ks. Józefa z Wiednia. Również i Stanisław August, przerażony zatargiem bratanka z Potockim, zapragnął mieć go jak najdalej od siebie, od kraju i w tym celu zachęcał go usilnie do dalszych podróży, do zwiedzenia Anglii, Włoch lub Francji.

Księżę opierał się temu zrazu, ale odcięty od własnego kraju, a nie mogąc ostać się w Wiedniu, musiał na razie wyjechać dalej na obczyznę.

Przybył tedy do Brukseli, gdzie czasowo zamieszkał u swej siostry Tyszkiewiczowej. Zatruto mu i tam pobyt zresztą niedługi, bo król ponownie zażądał od niego zwrotu orderu „virtuti militari“. Odesłał mu go księżę bez słowa odpowiedzi z załączeniem natomiast wszystkich otrzymanych od niego w czasie darów, kosztowności i pamiątek, — zwrócił też królowi order Stanisława i Orła Białego.

Gdyby nie przygnębienie i wprost znękanie, jakie już od dłuższego czasu owładnęło duszą księcia, to pobyt w Brukseli

mógłby być dlań nader miłym i zajmującym. Obie stolice Niderlandów stanowiły wówczas ognisko strategii i dyplomacji antirewolucyjnej i antifrancuskiej. Belgja zdradzona przez generała Dumouriera, wpadła w ręce Austrii i w niej uczynił sobie rezydencję namiestnik i brat cesarza, arcyksiążę Karol. Zamieszkał tam również i pułkownik Mak, znajomy z czasów wiedeńskich i serdeczny przyjaciel ks. Józefa i niezmiernie się ucieszył ze spotkania z nim w Belgji i zapragnął wciągnąć go coprędzej w wesołe życie stolicy. Nie zaraz mu się to udało, bo Poniatowski ciągle smutny, unikał zgiełku i towarzystwa. Całymi godzinami przechadzał się po oddalonych parkach miejskich i myślał z bólem o rozbitej Ojczyźnie, a z goryczą o sobie, on, niedawno jeszcze wódz polskiej armji, a dziś w roli wojażera, tułający się gdzieś po świecie, bez celu....

Stan taki nie trwał jednak nigdy u księcia zbyt długo; z natury żywy i wrażliwy, o ile silnie poddawał się depresji ducha, gdy już raz się z niej otrząsnął, odzyskiwał w pełni wesołość, siłę i ochotę do życia. Dał się też wciągnąć w wir towarzyskiego życia Brukseli, która pełna nadziei w pobicie zrewolucjonizowanej Francji, bawiła się tej zimy jakby za najlepszych dla siebie czasów. Urządzano jedno po drugim bale, festyny, teatry i polowania, których duszą stał się ks. Józef, sam nie wiedząc jak i kiedy. Karnawał ten zapiętał go jednak w fatalny stosunek z kobietą, którą poznał był w salonie siostry swej Tyszkiewiczowej, — była nią Francuska, Henrietta z Barbantanów, hrabina czy też margrabina de Vanban. Świeżo rozwiedziona z mężem, fizycznie słaba i zdenerwowana, pozując na nieszczęśliwą ofiarę losu, rzuciła fatalny jakiś urok na duszę i zmysły księcia i chorobliwem uczuciem oplątała go na całe życie.

Z niezdrowego już dlań bardzo pobytu w Brukseli wyrwały go dopiero wypadki zaszłe w jego własnym kraju.

*

*

*

Nadszedł rok 1794, a z nim wiosna tak dla nas pamiętna.

Obumierający już, a tak przecież niespożyty w swej odporności naród polski, wydał z siebie tej wiosny przepiękny kwiat miłości i poświęcenia dla kraju, kwiat nadludzkiego bohaterstwa: powstanie Kościuszkowskie.

Myśl o powstaniu kielkowała już w r. 1792, kiedy to garść emigrantów i przywódcy Sejmu Wielkiego planowali byli sobie uprowadzenie króla z Warszawy. Stanisław August, przebywający w obozie, zdala od szkodliwych wpływów stolicy, a bratanek jego ks. Józef, walczący na czele wojsk o niepodległość państwa — oto w każdym razie pięknie obmyślany plan akcji, jaki ułożyli byli między sobą Kołłątaj, Ignacy Potocki, Zajączek, Kościuszko, oraz cała generalicja po polsku myśląca i czująca.

Jak wiemy jednak, plan ten upadł w końcu, bo ks. Józef, który zrazu popierał go gorąco, w ostatniej chwili zaniechał go stanowczo. Zraził też tem do siebie całą emigrację i koło patryotów, którzy też już nie o porwaniu króla, lecz o powstaniu całego narodu myśląc nieustannie, przeznaczyli mu już z góry nie ks. Józefa, lecz Tadeusza Kościuszkę. Dobrze zasłużony w kampanji 1792, okryty sławą w Ameryce, świeżo obdarzony obywatelstwem Republiki francuskiej, na której poparcie liczyła Polska napewne, Kościuszko nadawał się ze wszech miar na organizatora i wodza zbrojnego powstania.

Przedpowstańczą robotę zaczął był Kościuszko od porozumienia się cichego z Francją. Pojechał tam zaraz z początkiem r. 1793,— gdy atoli od rządu rewolucyjnego nie otrzymał żadnych gwarancji, ani pozytywnych obietnic, udał się do Brukseli, aby tam szukać poparcia Austrii. Tam również uzyskał niewiele, bo jedynie tylko obietnicę „nieprzeszkadzania“ w akcji bojowej.

Historja nie mówi nam nic o tem, czy Kościuszko porozumiewał się w tej sprawie z Poniatowskim — faktem jednak stało się, że w jesieni r. 1793 objął już był kierunek akcji samodzielny i naczelny, zaś z końcem marca roku następnego wybuchło już powstanie w Krakowie, a w połowie kwietnia w Warszawie.

Ksiązę Józef dowiedział się o niem bardzo jeszcze pobieżnie w kwietniu, a dokładnie dopiero aż w maju, i ostry ból ścisnął mu serce na myśl, że całą rzecz ułożono, postanowiono i wykonano bez jego wiedzy i udziału. On, który przed niespełna dwoma laty trzymał całą naszą armję w rękę, którego państwo darzyło zaufaniem, a wojsko słuchało i uwielbiało, ujrzał się teraz zignorowanym przez jedno i drugie, wykreślo-

nym z pamięci narodu, jakoby jakiś renegat, a wszystko to dlatego, że był Poniatowskim! Na nim to zaciężyły głównie winy króla Stanisława Augusta, bo on jako zależny od stryja materialnie i moralnie, nie wzbudzał w narodzie tego zaufania, jakie dla osobistej swej wartości byłby miał niewątpliwie, gdyby nie to, że król krępował i wprost unicestwiał jego wolę i czyny.

Po drugim rozbiórce kraju Stanisław August zupełnie już apatyczny i bezradny, brnął coraz głębiej w kapitulacji wobec Rosji, Prus i Austrii,— przeciwnie zaś naród, któremu on panował, nie chciał poddać się najeźdcom, a tem mniej własnej swej niemocy. Ogłuszony tylko chwilowo, obudził się znowu w poczuciu zdrowia i siły do walki z wrogiem. Teraz jednak właśnie w tem ocknięciu się z omdlenia, odczuł najpierw i najboleśniej to, że mając niby króla nad sobą, nie miał go przy sobie. Jak dziecko, które przy zbudzeniu się ze snu przywołuje zaraz matkę i płacze, gdy ta zaraz doń nie przyjdzie, tak podobnie i naród polski począł przyzywać króla do siebie, do swego „ja“, tak bardzo zagrożonego. Niestety — przywoływał napróżno, bo król nie pragnął już nic dla siebie, prócz ciszy i spokoju. Przerażała go myśl o opuszczeniu Warszawy i zamieszkaniu w obozie; przerażała go myśl o jakiegokolwiek akcji zbrojnej przeciw tym, od których on sam popadł już był w zależność zupełną, bo nawet materialną. Naród polski obudził się do czynu, ale jego król drzemał ciągle, niedołężny w swej bezradności, poza swoją osobą na wszystko inne zubożętniały.

Nic więc dziwnego, że uświadamiający się coraz więcej naród począł myśleć i mówić o swym monarsze ze wzgardą, z nienawiścią, jako o istocie nietylko mu niepożytecznej, ale nawet wprost szkodliwej. Tą zaś opinią narodu ogarnięty został w dużej mierze i ks. Józef. Pomruk ostrej krytyki począł szerzyć się przeciw niemu, tem śmieiej i głośniej, ile że on nieobecny w kraju, nie mógł się bronić. Prywatnie i publicznie wypominano mu ów karnawał w Warszawie, w którym on bawił się tylko zamiast całego tego czasu użyć na silne przygotowanie się do kampanji r. 1792. Poddano surowej krytyce nawet jego „wspomnienia“ z owej kampanji, oraz niektóre jego zarządzenia w armji i w obozie, a beznadziejność całej tej działalności wojennej przypisano jednogłośnie ks. Józefowi, za-

rzucając mu brak energii, gaszenie ducha w żołnierzach. Wytykano mu nierówność usposobienia i chwiejność w postanowieniach, jako jedno i drugie wprost zgubne dla wodza. A wobec tych wszystkich zarzutów powierzać księciu sprawę ratowania Ojczyzny, było już niepodobieństwem.

Wprawdzie w całym tem votum nieufności do ks. Józefa grały rolę i inne czynniki, np. dziedziczna nienawiść Potockich do Czartoryskich i Poniatowskich, następnie dziwna a nigdy nieprzejeđnana zawiść Kollątaja i Zajączka do ks. Józefa, wreszcie różne pretensje i uprzedzenia nawet najniesłuszniejsze, ale sedno rzeczy stanowiła tu owa fatalna sukcesja dziejowa, owa kłątwa pochodzenia, mocą której za winy stryja pokutować i cierpieć musiał jego bratanek. On zaś, nie czując się być zgoła winnym wobec narodu, który kochał i za który walczył, nie mogąc nawet jasno zrozumieć, dlaczego teraz usunięto go z własnego kraju, przyjął tę dymisję od swoich, jako krzywdę niczem niezasłużoną.

Trudno uwierzyć, aby król nie wiedział był nic o wybuchu powstania; prawdopodobnie nie chciał tylko o niem wiedzieć, aby nie ponosić zań żadnej przed carową odpowiedzialności — może też i nie brał na serjo tej sprawy, która nawet dla tak czujnego Siewersa okazała się niespodzianką, albowiem nie przewidywał zbrojnego przeciw Rosji powstania.

Tymczasem rosnąca potężnie insurekcja szła po Moskalach jak burza i biła ich świetnie; to też gdy po bitwie racławickiej wojska rosyjskie opuściły Warszawę w popłochu, Stanisław August wpadł w oszołomienie graniczące z przestrawem, bo oto ujrzał się naraz sam, bez chroniących go bagnatów rosyjskich, sam, zdany teraz na łaskę i niełaskę narodu, który go nienawidził, sam wobec Kościuszki, który szybko zbliżał się ku stolicy. Raczej więc przerażony niżeli ucieszony zwycięstwem, a nie mogąc obejść się nigdy bez silnych pleców za sobą, napisał król coprędzej do ks. Józefa już nie z rozkazem, ale z błaganiem, aby niezwłocznie przybył do niego.

Bratanek zdawał mu się być teraz jedyną tarczą w tej niebezpiecznej dobie rewolucyjnej.

Ksiązę Józef znalazł się w położeniu bardzo trudnem. Zaskoczony przez wypadki, a nie dopuszczony do udziału w nich, nie był świadomym całego przebiegu sprawy, w której

trwale powodzenie zresztą nie wierzył. Jako żołnierz armji, stały żołnierz linjowy nie miał i słusznie zaufania do ruchu mas ludowych, choćby nawet bardzo dzielnych, ale w każdym razie nie wyszkolonych dostatecznie w rzemiośle wojennem. Jakże takie naprędce pozbierane wojsko mogło stale opierać się armji?... Zwycięstwa Kościuszki uważał ksiązę raczej jako cudowny i szczęśliwy zbieg okoliczności, aniżeli jako zapowiedź gruntownej klęski tylekroć silniejszego wroga.

Pomimo jednak tych wątpliwości ks. Józef gotów był każdej chwili oddać się cały na usługi powstania swej ojczyzny. Ale jakże jechać tam, gdzie go nie wołano, gdzie wprost widzieć go nie chciano?... Jak tu narzucać się narodowi, który najwyraźniej usunął go sobie z oczu i z pamięci?... Zresztą samem pojawieniem się swoim mógł wprawić w zakłopotanie Kościuszkę, który tak niedawno jeszcze jego podkomendny, a teraz Naczelnik, może nie radby był widzieć byłego swego zwierzchnika.

Te to właśnie względy wysokiej delikatności i szlachetnej bardzo zrozumiałej ambicji wstrzymywały ks. Józefa od wyjazdu. Odpisał też królowi serdecznie, lecz odmownie. Gdy jednak niezrażony tem Stanisław August wzywał go i naglił codziennymi listami do powrotu, ks. Józef acz z ciężkiem sercem wyruszył ku Warszawie, a towarzyszyli mu dwaj jego serdeczni przyjaciele, generałowie Wielhorski i Bronikowski.

Maj był właśnie — wiosna wdzięczyła się całym swym urokiem i pogoda dopisywała cudownie. Mimo to dziwny smutek uciskał duszę księcia, który nie mógł pozbyć się bolesnego wrażenia, że jedzie do swoich jakby do obcych...

Z końcem maja stanął w obozie Kościuszki pod Jędrzejowem, a pierwszym, który go tam przywitał był jego dobry znajomy i przyjaciel, ks. Eustachy Sanguszko. On też zaprowadził go do kwatery Kościuszki, a zarazem uprzedził poufnie, że nie może liczyć w obozie na dość gorące przyjęcie, bo „od wojska nie jest już lubianym.“

Spotkanie Poniatowskiego z Kościuszką odbyło się w opactwie Jędrzejewskim. Naczelnik odziany w krakowską sukmanę przyjął księcia ozięble i dość nieuprzejmie, bo suchem tylko zapytaniem:

— „Czego księżę sobie życzysz?“ Poniatowski odparł z prostotą:

— „Służyć prostym żołnierzem.“

Wówczas Kościuszko zaproponował mu objąć dowództwo na Litwie. Dowództwa tego jednak ks. Józef nie przyjął i pożegnał Naczelnika z tem, że nie zwlekając pojedzie do Warszawy, do oczekującego go niecierpliwie króla.

A tymczasem Sanguszko przygotowywał starszyznę i żołnierzy w obozie na obecność Poniatowskiego. Wojsko zajęło zrazu stanowisko niechętne i milczące... Gdy jednak ukazał się księżę, cały obóz zasalutował jak jeden mąż, sprezentował broń i gęste rozległy się wiwaty — trwało to jednak chwilkę i czyniło wrażenie przymusu. Nazajutrz po przenocowaniu w namiocie Sanguszki, wyruszył Poniatowski do Warszawy, gdzie stanął w pierwszej połowie czerwca.

Król przyjął go czule, serdecznie, zaś stolica nieufnie, ozięble; jeden tylko Mokronowski i paru osobistych, wiernych przyjaciół okazali księciu tężsamą co dawniej serdeczność. Gdy niebawem Mokronowski ruszał w pole przeciw Prusakom, Poniatowski zgłosił się do jego pułku na prostego ochotnika i zaraz już w pierwszych potyczkach pod Błoniem imię jego znalazło się w Gazecie Warszawskiej, wymienione pomiędzy najwaleczniejszymi. Niestety — walki pod Błoniem, acz wszystkie zwycięskie, nie zdołały powstrzymać naporu olbrzymiej armji pruskiej i nasi cofnęli się do Warszawy.

I znów nastały dla Poniatowskiego dni przykre, bolesne. W zamkniętej, obleganej przez wroga stolicy ozwał się znowu pomruk wzburzonych, przejętych trwogą umysłów i szedł w stronę króla i jego bratanka. Pomawiano księcia o tajne ze stryjem porozumienie się z Rosją, o jakieś intrygi, knowania, a wreszcie zarzucono mu jakoby rozmyślne osłabianie ducha w wojsku i podkopywanie władzy Naczelnika. Ks. Józef znalazł się znowu pod pręgierzem opinji publicznej, podsycanym z całą zjadliwością przez Kołłątaja i Zajączka, a ten ostatni ze zwykłą sobie gburowatością i nietaktem lubował się w urządzaniu coraz nowych napaści na osobę księcia. Przychodziło też między nimi do ostrych nieraz zatargów, które przycichły dopiero za przybyciem Kościuszki do Warszawy.

Gołębia i prostoduszna natura Naczelnika nie znosiła intryg ani zawiści wzajemnych, więc łagodząc Zajączka i Kollątaja, brał równocześnie w obronę ks. Józefa, którego szczerze lubił i cenił. Pragnąc też wyrwać go z nieznośnego położenia w stolicy, oddał mu komendę korpusu po Mokronowskim i powierzył mu obronę całej linji boju od Powązek aż po Młociny. Odwiedzał go też często w obozie nie jako zwierzchnik, lecz jako kolega i przyjaciel. Cała ta jednak serdeczność i prostota w obejściu ze strony Naczelnika nie zdołała osłodzić Poniatowskiemu tej goryczy, jaką przepojono go w Warszawie.

Czując się stale krzywdzonym, bo źle widzianym przez tych, którym przecież nie nie był winien, posmutniał, stał się milczącym i zamkniętym w sobie. Najgorsze zaś dla niego było to, że w żaden sposób nie mógł zestroić się z atmosferą powstańczą. Z całym wysiłkiem woli zastosowywał się do wymagań chwili — okolicznościowo przywdziewał nawet sukmanę, ale nie mógł się zgoda zespolic z tym ruchem ludowym, w którego stałe powodzenie i przyszłość nie wierzył. Z urodzenia i wychowania arystokrata, dziecko stolic i salonów, nie miał gdzie ani kiedy żyć się z ludem wiejskim, przytem z zawodu żołnierz i to żołnierz wyszkolony znakomicie, nie mógł wyobrazić sobie nawet, w jaki sposób zastępy chłopstwa choćby i bardzo liczne, zdołają pokonać armje zaciężne?... Były wprawdzie chwile, kiedy on sam zachęcał króla w listach z obozu pod Świrezą, aby ten z całym narodem, a więc i z ludem wiejskim bił nieprzyjaciela aż do wygnania go z kraju, ale wówczas gdy to pisał, rzeczy nie stały jeszcze tak źle, jak obecnie; — wówczas stały jeszcze nasze wojska pod bronią, a teraz armja polska zniesiona, więc cóż znaczyć mogły owe garstki powstańców, wprawdzie pełne zapału i bohaterskie, ale jakże słabe i nieliczne wobec siły wroga!...

Pomimo jednak całego pesymizmu co do powodzenia insurekcji, ks. Józef nie zakładał rąk bezczynnie — owszem cały oddał się pracom wojennym i z kwatery swej na Powązkach kierował bardzo sprężyste ruchami swojego, zaledwie kilkutysięcznego korpusu. Osobiście urządzał bardzo śmiało i skuteczne wypadki na nieprzyjaciela i przepędzał pruskie placówki aż pod ich obóz; — to też Kościuszko nie szczędził mu

pochwał publicznych i dziękował serdecznie za tak wydatną pomoc.

Utarczki takie jednak z tylekroć silniejszym wrogiem musiały wreszcie skończyć się dla nas niepomyślnie. W ciemną noc sierpniową, Prusacy, zbadawszy już przedtem dobrze słabe stanowiska Poniatowskiego, przypuścili silny szturm na jego baterje i zdobyli je tem łatwiej, ile że atak nastąpił pod nieobecność księcia w obozie. Gdzie był tej nocy — nikt nie wiedział, — na pierwsze jednak strzały nadbiegł konno galopem, ale już po zdobyciu szanców i armat. Odchodząc prawie od zmysłów z żalu i rozpacz, walczył Poniatowski do rana jak lew zraniony; wprost samobójczo rzucał się w grad kul nieprzyjacielskich, ale prócz lekkiej tylko kontuzji, nie odniósł rany. W podziurawionym jak sito od kul płaszczu, na postrzelonym koniu powrócił ksiązę do obozu rozpacz pełen. Odzyskane poprzedniemi zwycięstwami uznanie utracił teraz tą klęską zupełnie. I podniosły się znów przeciw niemu zarzuty silne i tak gwałtowne, że aż potwarcie.

Zaraz też nazajutrz usunął się ksiązę z głównej kwatery i zdał komendę w ręce Dąbrowskiego. Walczył potem jeszcze w październiku nad Bzurą, jako dowódca oddanego mu przez Kościuszkę korpusu, walczył bohatersko, ale nieszczęśliwie, tracił jedną pozycję po drugiej i musiał cofnąć się pod Warszawę.

Równocześnie i Kościuszko padł pod Maciejowicami. Wojska polskie poszły w rozsypkę, w zupełną dezorganizację. Ks. Józef powrócił z niedobitkami do stolicy i zrzekł się komendy na rzecz dosyć niedołężnego, a wysoce niepopularnego generał-majora Kamienieckiego.

Poniżony i wprost zbezczeszczony w opinji narodu, nie chciał już Poniatowski przykładać ręki do nieszczęsnej sprawy, w której powodzenie nie wierzył ani na chwilę, i która też zakończyła się klęską zupełną.



OKRES TRZECI

1795—1806.

Czarne, brzemienne pogromem dla sprawy polskiej chmury zaległy nad naszą Ojczyzną.

Naglony do abdykacji król wybierał się trwożnie do Grodna, a ks. Józef, Dąbrowski i paru innych, niewywiezionych do Petersburga wodzów pozostali na wolnej stopie w Warszawie, którą po wzięciu Pragi obsadził Suwarow.

Ks. Józef musiał złożyć wizytę feldmarszałkowi, który przyjął go nader grzecznie i pozostawił mu zupełną swobodę życia prywatnego w stolicy. I nastały dla księcia czasy jeszcze smutniejsze, bo szare, bezcelowe, czasy nie życia, lecz wegetacji z dnia na dzień. — Przez jego kraj ukochany przeszła burza, a on pozostał w nim rozbitkiem zupełnym, bez wiary w odzyskanie Ojczyzny, bez wiary u narodu, bez wiary w siebie samego....

Życie nawet niebardzo miał z czego, bo dochody jego były bardzo szczupłe. Jego dobra na Litwie jako zasekwestrowane, nie nosły mu żadnej renty, a po upadku powstania rząd rosyjski przestał mu wypłacać pensję, wyznaczoną przez króla. Odziedziczył był wprawdzie po zmarłym stryju prymasie rozległe dobra pod Warszawą: klucz Jabłonną z pałacem i przepysznym parkiem, oraz klucz Wieliszew, obejmujący kilka dobrze zagospodarowanych folwarków. Dobra te jednak, położone pod samą stolicą, ucierpiały mocno od operacji wojennych i na razie nie nosły dochodów, a wymagały wkładów, aby je upo-

rządkować i na nowo zagospodarować. Ponadto otrzymał był ks. Józef w darze od króla jego pałac „pod Blachą” wraz z przynależnymi gruntami. Piękny to był i cenny dar, ale dla księcia niemiły, bo obciążony rozkazem, aby ten towarzyszył stryjowi w podróży do Grodna, oraz, aby ponownie przywdział odesłane przed rokiem orderzy Stanisława i Orła Białego. Ks. Józef odmówił stanowczo, a zrzekając się raz na zawsze serca i łaski królewskiej dla siebie, skreślił w liście do stryja te słowa:

„Życie stałoby mi się już dawno ciężarem nie do zniesienia, gdyby nie towarzyszyło mu wewnętrzne poczucie, że nie mam sobie do wyrzucenia nikczemności. Zostaw mię Najjaśniejszy Panie, zapomnij o mnie, odepchnij od siebie... Może kiedyś moje ręce im będą czystsze, tem godniej potrafią cię pielęgnować w potrzebie“.

Po tej smutnej, tkliwej, lecz stanowczej odpowiedzi, król z początkiem stycznia r. 1795 wyjechał do Grodna, pożegnawszy się po raz ostatni z ukochanym Pepi.

Ks. Józef polubił Jabłonnę i począł urządzać się w niej na stałe. Ale i tu nie dano mu żyć w spokoju. Rozmaici gorliwcy pruscy i rosyjscy poczęli zawistnem okiem patrzeć na księcia, zazdroszcząc mu zbytnej łaskawości Suwarowa. Jęli też oskarżać księcia przed Repninem, że on chadza po Warszawie bez orderów i w płaszczu rewolucyjnym, że w Jabłonie utrzymuje mnóstwo oficerów ze zniesionej armji polskiej, że odbywają nocami tajemne narady i t. p.

Repnin zaatakował o to króla, a ten w szalonej trwodze słał do bratanka list za listem, pouczając go jak się ma ubierać, czesać, co mówić i jak zachowywać, aby nie narazić sobie rządu rosyjskiego. Owe zaś donosy warszawskie odniosły skutek pożądany, bo Repnin, jako ówczesny wielkorządca Litwy, odebrał ks. Józefowi jego dobra i starostwa tamtejsze, — król zaś niespokojny o to, czy jego bratanek nie skompromituje się czemkolwiek i nadal wobec rządu rosyjskiego, rozkazał mu opuścić Warszawę niezwłocznie i osiąść w Wiedniu.

I znalazł się ks. Józef znowu w stolicy naddunajskiej, gdzie przesiedział tym razem lat blisko trzy, mając przy sobie siostrę panią Tyszkiewiczową i panią de Vanban. Niedobrze było księciu w otoczeniu tych dwóch dam, ciągle słabych i zdenerwowanych, które zaofiarowawszy się prowadzić mu dom, dopro-

wadziły go wkrótce do ruiny rozrzutnością i bezrządem; pomiędzy zaś sobą sprzeczały się ustawicznie i intrygowały wzajemnie. Nie rozweselało to bynajmniej życia księcia, który znudzony szarzyzną dni, chorował ponadto stale na malarję, na oczy i na bardzo przykre odnowienie rany. Najwięcej jednak dokuczały mu niedomagania majątkowe, które poprawiły się dopiero ze zmianą rządu w Rosji.

W r. 1795 wstąpił na tron Paweł I. Już w parę tygodni po koronacji nadał ks. Józefowi starostwa żyzmorskie, uszpolskie i część wielhorskiego. Czy to, że owa donacja była księciu niemiłą, czy też, że pilno potrzebował gotówki, dość że odsprzedał te wszystkie dobra marszałkowi Pusłowskiemu za bezcen.

Równocześnie z nadaniem owych starostw, zamianował Paweł księcia rosyjskim generał-lejtnantem i oddał mu na własność cały Kazański pułk kirasjerów. Ta nominacja wobec upadku Ojczyzny i jej własnej armji, ukłula Poniatowskiego boleśnie. Dziękując za nią bardzo uprzejmie carowi, w odpowiedzi nchylił się stanowczo od czynnej służby wojskowej, a zarazem złożył przyrzeczenie, że nie wstąpi też do armji austriackiej, o co go właśnie w Rosji posądzano silnie. Aby zaś nie obrazić delikatności Pawła, z jaką ofiarował mu „jego własne“ dobra na Litwie, księżę przyjął je ostatecznie, bo trzeba było i chorej matce dopomagać stale. Dobra podwarszawskie przynosiły dochody nieprawdopodobnie małe, a to przez niesumienność Ludwika Kamienieckiego, któremu Poniatowski odjeżdżając z kraju, powierzył był zarząd swoich interesów majątkowych.

Jedną z cech charakteru księcia było, że ludzi sobie oddanych lub wogóle tych, którym własne swoje sprawy powierzał do załatwienia, darzył nieograniczonem zaufaniem, nie wglądając nigdy w to, czy i o ile są tego godni. Zaufał też zupełnie Kamienieckiemu i pomylił się na nim. Kamieniecki, z natury fałszywy, obłudny i intrygant, przyczynił się był nieraz do czernienia księcia w opinji stolicy, a jako jego dawny podkomendny i w opinji obozu. Co do majątkowych spraw księcia, to te prowadził może dość sumiennie, ale bardzo nietaktowny w postępowaniu z włościanami, usposabiał ich do ustawicznych zażaleń. Z Jabłonny i z Wieluszewa szły niemal

codzien do Wiednia, aby tam wprost u dziedzica wykołatać możliwe ulgi lub przynajmniej sprawiedliwość. Poniatowski załatwiał te sprawy z całą przychylnością dla swych poddanych, ale nudziło go to i męczyło nieznośnie, — z goryczą też pisał o sobie do przyjaciół:

„Miasto walić szablą po karkach naszych wrogów, siedzę jak bakałarz nad rachunkami i plikami cierpliwego papieru — nie żyję, lecz wegetuję“...

Księżę nosił się też z myślą sprzedania Jabłonny i Wieluszewa, a nawet i pałacu pod Blachą, do czego też namawiał go usilnie Kamieniecki i raz poraz nasyłał mu kupców pruskich do Wiednia; tranzakcja ta jednak nie przysła do skutku.

Tymczasem w lutym r. 1798 zmarł nagle w Petersburgu Stanisław August i ks. Józef acz niechętnie wyjechał na pogrzeb stryja. Zabawił w stolicy parę miesięcy, przyjmowany nader uprzejmie i gościnnie przez Pawła I., który zamianował księcia przeorem kawalerów Maltańskich, oraz ponownie zaoferował mu kazański pułk kirasjerów. Poniatowski nie mogąc już w żaden sposób temu dłużej oponować, przyjął pułki i nominację, a temsamem jako generał-lejtnant został wcielonym w listę wojsk rosyjskich. Po wyjeździe z Petersburga i zwinięciu mieszkania w Wiedniu, przeniósł się ks. Józef na stałe do Warszawy, która dostawszy się pod berło pruskie, czyniła teraz wrażenie miasta cichego, poważnego i bardzo smutnego.

* * *

Zaś na zachodzie Europy aż huczało od armat i zawieruchy wojennej. Tam świat stał w płomieniach, z ponad łuny i pożogi wschodziła coraz jaśniej świetna gwiazda, a raczej straszliwy kometa, któremu na imię było Napoleon Bonaparte! Oczarowana i zahypnotyzowana Francja wystawiła mu u siebie ołtarz czci i uwielbienia, a on sprawował na nim krwawe ofiary i wiódł oddane mu państwo do coraz nowych zwycięstw i chwały. Nie! gwiazdą powtarzam, lecz straszliwym kometa! jaśniało imię Bonapartego, bo on w niepohamowanej swej pyrze a sprzyjajacem mu stale szczęściu, depcząc po silnych dotąd tronach starej Europy, jał przewracać ją do góry nogami. Świat patrzył na to z lękiem i podziwem, ogół Polaków z cie-

kawością, z budzącemi się nadziejami w duszy, a coraz silniejszą chęcią chronienia się pod zwyciężkie sztandary napoleońskie.

Nie podzielał tych uczuć ks. Józef Poniatowski. Arystokrata z krwi i kości z duszą nawskroś szlachetną i sercem jak воск miękkiem, czuł dziwną niechęć do osoby małego Korsykanina, dziwił się też i przyganiał Francji, która kochała tak Burbonów, a potem ich zgilotynowała, która do niedawna jeszcze rojalistyczna i wykwintna upodobała sobie nagle rządy trzech zbrojów rewolucjonistów i za ich przewodem pławiła się z rozkoszą w mordach, krwi i ordynarnej rozpuszcie, która wreszcie obwoławszy się co dopiero Republiką, teraz ofiarowała już cicho w myśli koronę Burbonów sankinlocie, przybyszowi z Korsyki.

Wszystkie te uprzedzenia podsycalo w ks. Józefie własne jego otoczenie. Pani de Vanban była zacieklą rojalistką i jako taka otworzyła dom księcia dla całego Wersalu, który wygnany z Francji i bezdomny, przyjął skwapliwie jej zaproszenie i zjechał do Warszawy. Więc Ludwik XVIII. wraz z całym swoim dworem zamieszkał w zaofiarowanych mu przez Poniatowskiego Łazienkach; książęta Berry, Condé i tłum herbowych uciekinierów z Francji, znaleźli gościnę w Jabłonnie i w pałacu pod Blachą, wszystkie zaś folwarki księcia przepełnione były tułaczami, ludźmi rozmaitego typu i pokroju, a wszyscy z całą swobodą, nawet z nadużyciem korzystali z kieszeni i gościnności księcia-gospodarza. Życie tam wiedli próżniacze i puste, a jedząc i pijąc dobrze, klęli Francję i jej politykę, przepowiadali jej nowy upadek, klęli wreszcie małego bohatera z Korsyki i językiem i piórem skazywali go na męki i potępienie w piekle.

Warszawa nie zwracała wiele uwagi na przybyszów z Francji, natomiast osobą ks. Józefa zajmowała się gorliwie i stale nieżyczliwie. Zapamiętali jego przeciwnicy dokuczali mu coraz zjadliwiej — z zawiścią i rozgoryczeniem obserwowali teraz jego życie prywatne i rozumiejąc, że on nie troszcząc się już zgola o przyszłość ojczyzny, zażywa sobie wywczasów i rozrywek pod tak łaskawem dlań berłem najeżdźcy pruskiego, nie szczędzili mu prześladowania piórem i słowem. Więc Dąbrowski w redagowanym przez siebie „Przyczynku“

piętnował księcia ostro za obojętność, a nawet „jawną niechęć“ jaką tenże objawiać miał stale dla powstania Kościuszkowskiego, zaś nieprzejednany Zajączek, wróg Poniatowskiego dożgonny i pozgonny, mieszał go wprost z błotem w swej jadowitej „Historji“ — wyśmiewał jego kampanję z r. 1792, która zdaniem jego postępowała była jeden krok naprzód a dwa w tył, a zowiąc go „specjalistą w czynieniu odwrotów bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela,“ odsadzał go jawnie od czci i honoru żołnierza i wodza. Bardzo poczytny „Dykcjonarz biograficzny“ zamieszczał wcale udatne ale nazbyt już złośliwe karykatury księcia, który nie tylko musi być odpowiedzialny za liczne błędy stryjów, ale i sam „osobiście wszystkim stronnictwom jest podejrzany, a to przez słuźalcze swoje postępowanie wobec rządu rosyjskiego“. W niecną robotę Dąbrowskiego i Zajączka dał się wciągnąć nawet zacny Kniaziewicz, bo nie wymieniając wprawdzie imienia księcia, potępiał go jednak aż nadto przejrzyście za jego przeszłość burzliwą, nadto karnawałową, oraz za jego przywiązanie do niektórych monarchów.

— „Życzyłbym sobie — pisał w ulotnych, złośliwych broszurkach — aby żadnego generała nie używać do obrony wolności, bo żaden do niej przywiązany nie jest; nie spuszczałbym się nigdy na jego wierność, bo ta jest wspólna niewolnikom i słuźalcem.“

Ktoś inny, z twardszą naturą byłby sobie nie nie robił z tych napaści, choćby tylko dlatego, że zbyt natrętne, powtarzały się za często, ale wrażliwa i czuła dusza Poniatowskiego cierpiała od nich niezmiernie; szczególnie zaś przykre mu było żądło Zajączka, który sam jako zauszniak Branickiego, jako uniżenie pokorny wobec W. ks. Konstantego, jako wreszcie trzymający się zawsze pańskiej klamki nie przedstawiał z goła typu czystej wody Polaka-patrjoty, charakter zaś miał brzydki, wysoce nieszlachetny.

Nie chcąc zostawić bez odpowiedzi zarzutów tak krzywdzących, zreagował książę obszerną publikację, opartą na dokumentach, bo na aktach sztabowych i korespondencjach urzędowych i już, już miała wyjść drukiem, gdy w ostatniej chwili zrodził się w duszy księcia skrupuł, że publikacja owa „narazi w niejednym punkcie pamięć zmarłego króla“ — więc przez delikatność i synowskie przywiązanie dla stryja, z niesłycha-

nem zaparciem się swej własnej dumy i ambicji szlachetnej zaniechał opublikowania swej obrony, która rzeczywiście oparta na wiarygodnych dokumentach, byłaby pewnie raz na zawsze zamknęła usta potwarcom.

Obok przykrości i udręczeń moralnych, dźwigał ks. Józef jeszcze ciężkie brzemie kłopotów finansowych. Król umarł jako bankrut nie tylko polityczny, ale i majątkowy. Masa sukcesyjna, obciążona długami bez liku, przedstawiała się jako jedna upadłość i jako taka wymagała niezwykle biegłej i solidnej procedury prawniczo-sądowej. Natychmiast po obwieszczeniu zgonu króla Stanisława Augusta, zleciała się cała falanga rzeczywistych, tudzież niewiadomych, niesprawdzonych nigdy wierzycieli z pretensjami i gotowymi już pozwami do sądu o należne im sumy, które w swoim czasie wypożyczyli byli podobno zmarłemu królowi. Ks. Józef wziął cały ciężar odpowiedzialności na siebie i li tylko dla ratowania honoru rodzinnego objął wszystkie prawa a raczej obowiązki głównego spadkobiercy, aby, jak pisał do króla pruskiego, „uratować pamięć zmarłego stryja od sromoty bankructwa i niewypłacalności“. Tęsamem jednak zdał się na łaskę i niełaskę sądownictwa pruskiego, albowiem główną sukcesję po królu Stanisławie Auguste stanowiły: Łazienki, Belweder z przyległościami, Ujazdów z młynem wodnym, cały szereg gruntów podmiejskich, teatr, poczta i kilkadziesiąt realności w mieście; gdy dodamy do tego wspaniałe zbiory sztuki, zbrojownię, obrazy, srebra, meble i t. d. — to całość przedstawiała się rzeczywiście wspaniale, ale że na każdej niemal jej części ciążyły niewypłacone rachunki, weksle, karty zastawnicze, zaległe pensje służby i pretensje współspadkobierców, — więc cała ta sukcesja była właściwie ciężarem, utrapieniem, nie zaś dobrodziejstwem.

Zaciężyła też dotkliwie już od pierwszej chwili na kieszeni księcia spadkobiercy, bo zaraz na wstępie złożyć musiał ogromną sumę na zaspokojenie co najpilniejszych pretensji, oraz na kosztą administracji. Zaś władze pruskie skarbowe i sądowe tak utrudniały księciu prowadzenie rachunków, że jasnem było, iż pragnęły go albo wywłaszczyć, albo też zmusić do pozbycia za bezcen tej całej ponętnej bardzo dla rządu pruskiego spuścizny królewskiej. Więc przedewszystkiem nałożono na nią zaraz olbrzymie podatki gruntowe, zarobkowe

i osobisto-dochodowe, a to pod groźbą natychmiastowej egzekucji; odmówiono wszelkich ulg lub prolongaty, następnie skonfiskowano księciu mennicę królewską, która niosła znakomite dochody; opieczętowano wszystkie zbiory monet, minerałów i broni, z których zmarły król uczynił był sobie skarbiec wspaniały. Po opieczętowaniu zabrano te zbiory pod pretekstem, że ks. Józef nie byłby w możności wykupić je kiedykolwiek. Ściągano bez ceremonji czynsze z odziedziczonych przez księcia sklepów i kamienie, a w jednym skrzydle zamkowym założono piwiarnię i restaurację miejską, do której urządzenia zabrano meble z apartamentów królewskich. Była to istna grabież, gospodarka bandytów w osobie pruskich urzędników, a na ich konto pozwalały sobie też wiele całe bandy nliczników z miasta, odprawionej służby dworskiej, a nawet policji, która pod pozorem pilnowania mienia księcia, kradła je bezczelnie w dzień i w nocy. Biedny spadkobierca wnosił rekursy i protesty, ale te szły do kosza nieczytane.

Przykrzejszą jeszcze niżeli strona sukcesyjno-administracyjna, była strona procesowo-sądowa, — wchodziły tu bowiem w grę kwestje prawne pierwszorzędnej wagi, kwestje, od których zależała prawomocność całej sukcesji. Jak wiadomo, król Stanisław August pociągał był ze skarbu rosyjskiego ogromne sumy jużto jako zaliczki na niepodjęte na razie z dóbr dochody, jużto jako długi, które nie miały być nigdy spłacone i które też najczęściej były darowizną, ofiarowaną królowi przez carową lub Siewersa. Owóż teraz począł się upominać o zwrot tych sum rząd pruski, jako obecnie pan tej części Polski, w której położone były majątności zmarłego króla. Ks. Józefowi należało się też przeszło 100.000 dukatów z zapisu po jego ojcu Andrzeju, którą to sumę pożyczył był w swoim czasie stryjowi na weksel, akceptowany przez Siewersa podpisem jego własnoręcznym. Suma ta wciąż tylko na papierze figurując, przyjęta potem przez trójdziałową komisję likwidacyjną, wędrowała następnie w aktach z Petersburga do Berlina, z Berlina do Wiednia, z Wiednia do Warszawy, ale do jej wypłacenia nie przyszło nigdy, bo żaden z owych rządów o niczem wiedzieć ani słyszeć nie chciał, za jedyne tłumaczenie podając, że ks. Józef nie był nigdy stałym poddanym ani Rosji, ani Prus, ani Austrii, a co gorsza, walczył przeciw tym-

że rządowi, — najlepszym tedy sposobem do unieszkodliwienia takiego obywatela jest konfiskować mu wszystko, co posiadał kiedykolwiek.

Najwięcej zawiłą stronę sukcesji po zmarłym królu stanowiło rozpoznanie i klasyfikowanie przeróżnych, niezliczonych pretensji wierzycieli prywatnych, których połowa może była fikcyjną, ile że Stanisław August zostawił był księgi rachunkowe w haniebnym nieporządku: kartki powydzierane, cyfry zamazane, wyskrobywane, nigdzie daty, żadnych pokwitowań, nic, coby mogło być ułatwić i wyświetlić rzeczywisty stan majątkowy spuścizny. Trzeba więc było wielkiej energii i sumienności władz sądowych, aby sprawiedliwie rozplatać tę gmatwaninę długów, słusznych i niesłusznych pretensji — trzeba było wyjątkowej energii i bezstronności prawników, aby powstrzymać chciwość całej czeredy wyzyskiwaczy, którzy jak sępy czyhali na łatwy tu żer dla siebie.

Niestety — władze pruskie prawnicze i sądowe, te przynajmniej, które zjechały były na urzędowanie do zabranych przez Prusy ziem polskich, nie dawały rękoi ani pod względem wykształcenia prawniczego, ani pod względem sumiennego rozsądzania powierzonych im kwestji spornych; były to bowiem same wyrzutki i szumowiny magistratury pruskiej, z których rząd oczyściwszy własne swoje państwo, wysłał takowe coprędzej do polskich prowincji, aby tam dorabiali się karjery.

Prawdziwe też nastało żniwo dla niecných kauzyperdów pruskich, bo własny ich rząd nie kontrolował ich tam już wcale, a bierna, zgnębiona ludność polska była wobec ich mactw bezsilną. Węsząc łatwy żer dla siebie, cała ta falanga pruskich sędziów skupiła się zaraz około sprawy sukcesyjnej po zmarłym królu i już w początku ich urzędowania przekonał się ks. Józef, że jeżeli byli sędziowie w Berlinie, to nie było ich w Warszawie, bo ani się opatrzył, jak pod gradem najniesłuszniejszych zarzutów i protestów sądowych znalazł się w położeniu bez wyjścia — nietylko bowiem zagrożony w charakterze spadkobiercy, lecz nawet na własnem mieniu osobistym niemal codziennie szkodowany.

Jedną z najprzykrzejszych spraw procesowych księcia był dlań proces z Ryxem. Ośławiony ten kamerdyner i ulubieniec zmarłego króla, a później starosta piaseczyński, przedsiębiorca

teatralny Ryx wystąpił był przed sądem z pretensją do ks. Józefa o dość poważną kwotę 70.000 dukatów, które rzekomo wypożyczył przed laty zmarłemu królowi. Książę nie miał na to ani kwitu ani weksla, bo nie podobnego nie znalazł był w papierach po stryju; pomimo to Ryx dzięki stosunkom swoim w sądownictwie rosyjskiem uzyskał w senacie petersburskim przychylny posłuch dla siebie, mocą którego nałożono księciu sekwestr na dopiero co przywróconych mu przez cara dobrach litewskich. Cesarz Paweł, który jak wiadomo ulegał dziwnie wpływowi otoczenia, a w dodatku zrażony do ks. Józefa wyjazdem jego z Petersburga i wymawianiem się od służby wojskowej, przychylił się biernie do wyroku senatu petersburskiego i usankejonował go podpisem własnoręcznym. Więcej niż przykrem okazało się położenie ks. Józefa, gdy pewnego dnia doręczono mu prawomocny Ukaz imienny sekwestrujący dobra jego na Litwie, aby tylko Ryx mógł być zaspokojonym. Książę nie posiadał był w tym czasie żadnej zgola gotówki, a kredyt miał już mocno nadszarpany — znalazł się więc w nader przykrej kolizji z Ryxem, którym w dodatku jako człowiekiem pogardzał; trzeba więc było za wszelką cenę go zaspokoić, aby o nim już więcej nie słyseć. Za pośrednictwem tedy swoich adwokatów ułożył się książę z Ryxem w ten sposób, że zapłacił gotówką 40.000 dukatów, poczem zwolnionym został z reszty owego długu. Dla wypłacenia jednak tej sumy musiał sprzedać swoje dobra na Litwie, która to sprzedaż przeprowadzona w pośpiechu poszła za bezcen. Gdybyż choć na tem się skończyło! Ale po śmierci Ryxa, rodzina jego wystąpiła ponownie przed sądy pruskie z pretensją o tężsamą sumę 70.000 dukatów, a to na zasadzie, iż plenipotencja dana wówczas adwokatowi została rzekomo przez Ryxa odwołaną, a więc temsamem wyrok sądowy i cały układ z księciem nieważny — za czem poszły znowu pozwy i rekursy, nieskończona wymiana pisemna między sądownictwem pruskiem a rosyjskiem, w rezultacie której ks. Józef nie zapłacił już wprawdzie tej sumy powtórnie, ale i tak same koszta procesu pochłoneły masę pieniędzy.

Obok sprawy z Ryxem wyrastały co dnia nowe pozwy, pretensje słuszne i urojone, nakazy płatnicze, a wszystko to podane w formie niegrzecznej, ordynarnej, brutalnej. Ucie-

mieżony i zgnębiony już tem ksiązę Józef, gdy ani rekursy, ani zażalenia nie odnosiły skutku, zwrócił się osobistym apelem do króla Fryderyka Wilhelma III. W pełnym żalu liście dopraszał się „sprawiedliwości, jakiej nie odmawia się ostatniemu z poddanych.“ Z całą słusnością dla sprawy sukcesyjnej, dla własnej kieszeni i spokoju domagał się ksiązę utworzenia jednej specjalnej instancji sądowej w Warszawie, która ujawnszy w silne a sumienne ręce cały wątek sprawy sukcesji, nie dopuściłaby owej czeredy pokątnych sędowników do dalszych matactw i nadużyć, a temsamem położyłaby kres grabieży procesowej.

Dwór pruski przyjął prośbę księcia nadspodziewanie życzliwie, a to dzięki przyjaznym mu tam wpływom ks. Antoniego Radziwiłła ożenionego z bliską krewną dworu, ks. Luizą Hohenzollern, która z wielką życzliwością odnosiła się zawsze do współrodaków swojego małżonka. Ponadto właśnie w tym czasie wyłoniły się na dworze pruskim ważne względy polityczne — mianowicie noszono się z myślą osadzenia księcia pruskiego na tronie polskim. Największe co do tego szanse posiadał ks. Ludwik Ferdynand, brat księżnej Radziwiłłowej. Dla przeprowadzenia więc tego wyboru starał się dwór berliński o osobę znaczną i wpływową w Polsce i za taką uznał właśnie ks. Józefa Poniatowskiego. W odpowiedzi tedy na wniesioną prośbę jego i zażalenie, zaproszono go nader uprzejmie do przyjazdu jako gościa na dwór do Berlina. Jakoż z początkiem roku 1802 przybył tam Poniatowski i przyjęty z wielką serdecznością przez Fryderyka Wilhelma, oraz przez powabną królowę Luizę, znalazł się odrazu w bardzo miłej atmosferze towarzyskiej.

Stolica Prus przedstawiała wówczas świetny widok pomysłowości politycznej. Rząd berliński zawarł właśnie przymierze z Francją, a równocześnie bratając się z Rosją, umawiał się z carem o zjazd monarszy w Kłajpedzie. Nie spuszczał też z uwagi i sprawy polskiej, która była zawsze aż nadto pożądaną dla łakomych apetytów państw ościennych.

Zjawienie się ks. Poniatowskiego w Berlinie w roli potentata, było dla rządu pruskiego bardzo pożądane. Załatwił też sprawę jego przychylnie, acz nie we wszystkich punktach, i tak: nie przyznano księciu jego prawa do półczwarta miljona

z masy spadkowej i nie zwrócono mu zabranych dóbr wielońskich; natomiast ze skonfiskowanego starostwa wielońskiego wyznaczono mu rentę 6 tysięcy talarów rocznie; ponadto król zobowiązał się wypłacać księciu rocznie 6 tysięcy talarów, jako częściowe odszkodowanie za zaprzeczenie pretensji do owego półczwarta miliona.

Było to więc minimalne zaspokojenie słuszných żądań Poniatowskiego. Księciu nie zależało jednak głównie na uzyskaniu gotówki — on pragnął przede wszystkim wybrnąć już raz z gmatwaniny ustawicznych procesów sukcesyjnych i to właśnie udało mu się uzyskać od rządu pruskiego. Dekretem królewskim wyznaczył Fryderyk Wilhelm komisję pięciu członków do osądzenia w ostatniej instancji wszelkich żądań wytoczonych przez przeszło trzystu wierzycieli prywatnych Stanisława Augusta na sumę z górą pół miliona dukatów. Wprawdzie na ostateczny wyrok trzeba było jeszcze czekać lat 8, ale w każdym razie komisja owa bardzo w swej pracy sumienna, uwolniła ks. Józefa raz na zawsze od bezkarnych wyzysków procesowych. Były to więc zaledwie cząstkowe ulgi, jakie Poniatowski uzyskał od rządu pruskiego, ale i za to niewiele uczuł się wdzięcznym i zobowiązanym; poweselał też widocznie na humorze i z przyjemnością brał coraz żywszy udział w towarzyskiem życiu stolicy, która właśnie w tym czasie wrzała od uciech i rozrywek wielkomiejskich — więc wspaniałe parady wojskowe, pyszne bale i festyny, więc opera i koncerty, a zaś w poufnem kółku najbliższych dworu przemile wieczorynki na salonach królowej. Jednem z głównych ognisk życia towarzyskiego w Berlinie był salon Antoniostwa Radziwiłłów, gdzie poza zabawą pracowano pilnie nad ustaleniem porozumienia pomiędzy żywiołem polskim a rządem pruskim.

Jak gdzieindziej na obczyźnie, tak i tu w Berlinie zjednał sobie książę Józef ogromną sympatję szerokich kół towarzyskich, a dwór polubił go tak szczerze, iż zapragnął osiedlić go na stałe u siebie, postanowił też zakupić dlań parę pałaców tuż przy zamku królewskim, ale Poniatowski odmówił przyjęcia ich stanowczo, rozumiejąc trafnie, że nie tutaj powinno być stałe miejsce dla niego. Pomimo, iż na razie czuł się dobrze w stolicy Prus, nie zżył się z nią ani duchem ani sercem, ograniczając swój pobyt w niej jedynie do roli bywalca salo-

nowego i gościa, ujawniał w całym swym zachowaniu się powściągliwość i godność człowieka, który wie i pamięta, że żyje na gruncie obcym mu zupełnie, co więcej, na gruncie przeciwnym mu duchem, uczuciami i narodowością. Poniatowski nie zdawał sobie zupełnie sprawy z wrażenia, jakie czynił swoją osobą w Berlinie, który obserwował bacznie całe jego zachowanie się na dworze i w salonach prywatnych; przypatrywano się księciu krytycznie, nawet z uprzedzeniem, i ostatecznie wyszedł on z tych obserwacji zwycięsko, zaskarbiając sobie coraz większy szacunek i uznanie dla swej pełnej taktu godności. I było przed czem uchylić głowę, bo rola Poniatowskiego jako gościa dworu berlińskiego nie była dlań jako Polaka ani miłą ani przedewszystkiem łatwą. Jako obywatel swojego kraju drogiego mu nad życie, czuł ksiązę głęboki żal do rządu pruskiego, który mu kawał tego kraju zabrał — zresztą katastrofa wojenna i polityczna z roku 1792, kiedy to Prusy zerwały zdradzieckie przymierze z Polską, odbiła się właśnie najfatalniej na osobie ks. Józefa. Wgnany wówczas z kraju, spotkawszy się w drodze do Belgji z operującą nad Renem armją pruską nie przyjął ofiarowanej mu nader uprzejmie audjencji u nieboszczyka króla Fryderyka Wilhelma II., pomimo iż mógł był sobie obiecywać po niej bardzo wiele korzyści; późniejsza zaś konfiskata dóbr i szykany ze strony sądów i kancelarji pruskiej zatruwały mu życie i tak już przykre w Warszawie. Przedewszystkiem jednak jako Polak cierpiał niewymownie nad rozdarciem swego kraju, nad pogwałceniem jego praw i całości. I właśnie teraz u jednego z tych gwałcicieli, u jednego z tych, którzy bezprawnie zagarnęli część jego ojczyzny musiał przyjąć gościnę — musiał, bo trzeba było przecież ratować to, co było dlań utrzymaniem, co stanowiło byt jego jako człowieka. Na samą myśl o jeździe do Berlina burzyła się krew w księciu, a duma i godność Polaka stoczyły niejedną walkę z człowiekiem, któremu codziennie więcej groziła utrata bytu materialnego. Zwlekał więc z tym wyjazdem, ale zaniechać go nie mógł, bo czuł to dobrze, że w razie utraty własnego mienia, nie wyciągnie do nikogo ręki z prośbą o zapomogę. Pojechał więc nareszcie, a że miał duszę wrażliwą i wdzięczną, skłonną do pamiętania dobrodziejstw, więc i teraz uczuł się odrazu zjednanym za to niewiele, które

od rządu pruskiego uzyskał — uczuł się wdzięcznym przede wszystkim za okazaną mu życzliwość króla i całej jego rodziny. Acz z wahaniem, przyjął też najwyższy order pruski Orła Białego i nie przedłużając już więcej pobytu swego w Berlinie, powrócił do Warszawy z wiosną r. 1802 i zamieszkał w Jabłonie.

Prywatne życie księcia ułożyło się teraz na ogół znośnie, a przede wszystkim spokojnie. Nowomianowany gubernator Warszawy Köhler, oraz wielkorządca prowincji zabranych Voss, obaj zacni bardzo i porządni ludzie, zajęli wobec Poniatowskiego stanowisko nader przychylne, to też w miejsce byłych szykan ze strony władz sądowych i skarbowych wyłoniły się potrzebne mu tak bardzo ulgi i udogodnienia. Majątkowe położenie księcia wyrównało się znacznie i byłoby pewnie stało na silnych podstawach, gdyby nie własna jego gospodarka nieogłędna i zbyt kosztowna. W Jabłonie urządził się ks. Józef z komfortem. Nie było tam przepychu, ale sposób prowadzenia domu był wprost rujnujący. Jak rok długi pełno gości, a dla nich ciągle uczyty, bale i festyny — kuchnia bardzo wykwintna, własna kapela oraz chmary służby, pochłaniały sumy olbrzymie; najwięcej zaś może kosztowały stajnie luksusowe, mieszczące w sobie mnóstwo prześlicznych koni pod wierzch, oraz cugów dobranych przepysznie w ulubionej przez księcia maści gniadej. Gościnność w Jabłonie przerastała o wiele miarę sławnej staropolskiej gościnności — pałac i przyległe mu z komfortem urządzone oficyny były stale pełne, bo goście Poniatowskiego byli już właściwie stałymi jego domownikami; z tych, którzy tam zjechali nie odjeżdżał nikt a przybywali wciąż nowi. Czas schodził im na coraz innych zabawach, na wyścigach, festynach i balach, na grze w karty i miłostkach. Najmniej może bawił się sam gospodarz domu, bo nie grywał w karty i mały brał udział w rozrywkach; jeździł tylko konno po parę godzin codziennie i polował; poza tem najchętniej przebywał w parku i leżąc gdzieś na ustronnej murawie czytał lekkie książki — oddawał się też miłostkom z damami i wogóle prowadził życie wygodne, bezmyślne, szkodliwe dla ciała i ducha, bo nie dosypiając nocami, wstawał bardzo późno, zwykle aż po południu, niezdolny już wówczas do żadnej pożytecznej czynności, co najwyżej do przejażdżki konnej.

Nie wglądając nigdy w rachunki domowe, nie zdawał sobie ksiązę gospodarz sprawy, jak dalece prowadził życie nad stan, — wiedział tylko, że utrzymanie domu pochłaniało sumy olbrzymie i że nie mógł nastarczyć pieniędzy, więc gdy mu ich brakowało, pożyczał od lichwiarzy, od gości i od pani de Vanban, płacąc wszystkim lichwiarskie procenta. Bardzo też wyzyskiwała kieszeń braterską pani Tyszkiewiczowa, kobieta nieradna i lekkomyślna, a wymagająca dla siebie ogromnie.

Dodać też należy, iż ksiązę, wspaniałomyślny i hojny z natury, miał zawsze otwartą szkatułę dla biednych, a wstydzących się żebrać; niemało też znachodziło się takich, którzy go na tym punkcie bezwstydnie wyzyskiwali.

I tak mijały najpiękniejsze lata księcia Józefa na niepróżnującem próżnowaniu, gnuśne, szkodliwe dla zdrowia, niepożyteczne dla biednego kraju, który tak bardzo potrzebował swoich ludzi dla siebie. To lekkomyślne i naganne życie księcia zwracało się też przeciw niemu samemu, bo szkodziło mu coraz więcej na opinji narodu, oraz całego koła Patrjotów, którzy też potępili go już ostatecznie jako pasożyta swej własnej Ojczyzny. O jakże się mylili w tem cnotliwem oburzeniu! Nie umieli czy też nie chcieli poznać się odrazu na tej duszy szlachetnej, która całe życie rwała się do czynów wielkich, bohaterskich, a która teraz skazana na przymusową bezwładzę — trawiła się sama w sobie; szukała upustu w wybuchach temperamentu, a może — może i zapomnienia choćby chwilowego o tem, czemu zaradzić sama nie mogła?... Pamiętajmy zawsze, że ksiązę Józef był to człowiek-rycerz — jeden i drugi miał w sobie polot i siłę orła, więc gdy mu jako rycerzowi skrzydła związane, to leżał nieczynny, napozór obojętny, a za to człowiek bujał w nim całym zasobem swych sił fizycznych i duchowych, jak gdyby chciał upoić, oszołomić siebie i owego przemocą ubezwładnionego rycerza.



OKRES CZWARTY

1806—1810.

Atymczasem napoleońskie pioruny, szalejące na Zachodzie Europy, zbliżały się coraz wyraźniej do Polski.

Rosja już od r. 1805 gotowała się bardzo pracowicie do wystąpienia przeciw Francji i była pewną wygranej, ile że miała za sobą Austrię i Prusy, a liczyła też i na Polskę, która po zawodach doznanym od Napoleona, po rozbiciu Legjonów, niosłaby jej, jak to przypuszczała, dzielną w swem rozżaleniu pomoc.

Plan polityczny cara Aleksandra był olbrzymi i obejmował trzy punkta główne: pobić i zgnębić cesarza Francuzów — odebrać Prusom Warszawę z prowincjami — utworzyć nowe Królestwo Polskie pod swoim berłem. Wtajemniczył też w te plany Czartoryskich i Potockich, oraz księcia Józefa, który jako głównodowodzący miał stanąć na czele akcji w Warszawie.

I nastąpiła wielka bitwa pod Austerlitz, w której przysły wszystkie marzenia, wszystkie wielkie plany cara Aleksandra... Napoleon rozbił armję rosyjską.

Wkrótce potem, bo w r. 1806 zanosło się na wojnę francusko-pruską. Podobnie jak przedtem Aleksander, tak teraz Fryderyk III czując się dość silnym, aby stawić czoło Francji, tworzył z pośpiechem legję posiłkową polską, a na jej wodza przeznaczył był księcia Józefa Poniatowskiego.

Ale i tym razem zniweczył te plany genjusz i szczęście Bonapartego. Jak pod Austerlitz Rosya, tak pod Jeną Prusy

poniosły ciężką klęskę, a zwycięzka armja francuska posunęła się za nieprzyjacielem aż ku granicom Polski. Szerokie plany o utworzeniu pomocniczych legji polskich miały się teraz urzeczywistnić, ale nie pod berłem Prus lub Austrii, lecz pod berłem Francji. Dla naszej biednej, rozszarpanej Ojczyzny otwierała się nowa era.

* *

Opuszczona w popłochu przez Prusaków Warszawa zawrzała życiem nowem, pełnem gorączkowego wyczekiwania, — już nie nadzieja, lecz pewność lepszego jutra, pewność odzyskania ziemi i wolności z pomocą Francji zajaśniała nad stolicą jakoby słońce po przykrych dniach słoty i mroku.

Z entuzjazmem też przywitała Warszawa powracające pułki Dąbrowskiego, jakoteż pierwsze oddziały awangardy francuskiej.

Jeden tylko Poniatowski nie mógł się odrazu pogodzić ze zmianą polityki w kraju, a jego subtelna, nie znającą dwulicowości duszą miotały sprzeczne uczucia.

Fryderyk Wilhelm w ucieczce przed pościgiem francuskim wystosował był pismo do księcia, w którym tytułując go po raz pierwszy „mon cousin“, oddał mu w opiekę Warszawę i polecił mu zorganizować „milicję obywatelską“ pod jego władzą nieograniczoną. Poniatowski spełnił polecenie: milicję utworzył, uzbroił, obsadził nią odwachy i wały podmiejskie, uzupełnił arsenały, zapewnił bezpieczeństwo stolicy, zaprowadziwszy w niej porządek wojskowy.

Zaledwie tego dokonał, przyszło mu otworzyć bramy miasta dla przybyłej właśnie awangardy i milicji francuskiej. Zdany na łaskę i niełaskę nowego pana, nie mógł Poniatowski czynić im jakowychś wstrętów — zachowywał tylko wymowne milczenie wobec zapału stolicy, która jak jeden mąż powitała Francuzów jako zbawców. Nazajutrz późnym już wieczorem wyjechał ksiązę do rogatki miejskiej, naprzeciw wjeżdżającego Murata i z właściwą sobie otwartością rycerską, która niczego nie chce się zapierać, lub z czemkolwiek ukrywać, powitał go z zawieszonymi na piersi orderami. Ani te ordery jednak, ani sztywność obojścia Poniatowskiego nie uraziły Mu-

rata i wogóle obaj ci wodzowie zeszli się z sobą tak szczerze, jak gdyby już oddawna znali się i rozumieli.

Poniatowski jasno i poważnie omówił przed Muratem sprawę sytuacji politycznej narodowej i swojej własnej, a gdy tenże objawił życzenie zbrojnego powstania Polaków przeciw Prusom, wówczas książę Józef zażądał stanowczo, aby cesarz Francuzów dał publiczne przyrzeczenie, iż przywróci Polsce całość i wolność — w takim bowiem tylko razie byłoby owo powstanie możliwem, a nawet koniecznem. Wszak Bonaparte przerzucał tronami w Europie jak piłką, więc chyba nietrudno byłoby mu, pobiwszy Rosję i Prusy, wrócić wolność Polsce i uczynić ją mocarstwem?...

Nawiązując do tej ostatniej kwestji, nadmienił Poniatowski, iż w danym razie należałoby oddać koronę polską cudzoziemcowi; on sam zaś oświadczył się za zupełnem i bezinteresownem poświęceniem się dla sprawy narodowej, li-tylko dla swego kraju.

Poniatowski spodobał się ogromnie Muratowi, który też w raporcie przesłanym cesarzowi wydał o księciu opinię jak najlepszą.

— „Jest to — pisał — człowiek niepospolity, nadzwyczaj szlachetny, a przytem prawdziwie dobry Polak; — nie wierzę nigdy, aby sprzyjał Prusom lub Rosji, o co go tak niesłusznie posądzają ogólnie“.

Wręcz przeciwną opinię o Poniatowskim przesłał cesarzowi surowy, a często w sądach o ludziach niesprawiedliwy marszałek Davont. Na podstawie zasłyszanych, a niekorzystnych dla księcia informacji, donosił między innymi zarzutami:

„Duch w Warszawie jest wyborny, ale magnaci czynią co mogą, aby ugasić zapał, jaki ogarnął żywioły mieszczańskie; przerażeni niepewną przyszłością, dają oni dość wyraźnie do zrozumienia, że nie wystąpią odważnie, dopóki przez ogłoszenie niepodległości kraju nie będzie im dostarczona „gwarancja“ jej utrzymania“.

Równocześnie z przybyciem Murata i Davont'a do Warszawy, zjawił się w Berlinie Bonaparte i zabawiwszy tam parę godzin zaledwie, zjechał na dłuższy postój do Poznania. W ślad za cesarzem pospieszyli tam zaraz Dąbrowski z Zajączkiem i obaj z całym zapalem oświadczyli się za natychmiastowem

formowaniem gwardji narodowych powstańczych przeciw Prusom i Rosji. Na parugodzinne posłuchaniu przedłożyli monarsze cały plan działania, przyczem nie omieszkali bryzgać jadem żółci i nieufności w stronę Poniatowskiego. A było to dolewaniem oliwy do ognia, bo Napoleon miał i bez tego wiele powodów do niezadowolenia z całej sytuacji w Warszawie. W rozkazach bowiem danych Davont'owi, żądał natychmiastowego wzniecenia powstania w Warszawie, rozbrojenia i uwięzienia załogi pruskiej i właśnie w tym celu wyprawił tam był Dąbrowskiego, aby Davont wsparł go swymi dywizjami — równocześnie zalecił był najsurowiej marszałkowi, aby czy to w swoim, czy cesarza imieniu nie czynił powstańcom żadnych obietnic, żadnych zobowiązań co do ich przyszłości politycznej. Tymczasem okazało się, że załogi pruskie uszły z miasta całe, że do powstania nikt się nie kwapi, a Poniatowski pozwala sobie upominać się o jakieś rękojmie całości dla swego kraju! To też w ostrej odpowiedzi na raport Murata odpisał mu:

„Polacy, okazujący tyle ostrożności, domagający się tyle gwarancji zanim się zdeklarują, są to egoiści, których nie rozpala miłość ojczyzny... Znam lepiej od Ciebie Poniatowskiego, gdyż od lat dziesięciu zajmuje się sprawami Polski. Jest to człowiek lekkomyślny, niekonsekwentny, chwiejny — cieszy się on w Warszawie małym zaufaniem“.

Równocześnie z listem do szwagra, wyprawił cesarz do Warszawy Dąbrowskiego dla udzielenia wszelkich wskazówek, niezbędnych do organizacji wojska, — w parę dni potem wysłał tamże i Zajączka, a więc temsamem zignorował zupełnie Poniatowskiego.

Mrok zaległ duszę księcia Józefa, bo sytuacja stała się już bardzo poważną; należało też coprędzej zdecydować się stanowczo i to tak, aby nie splamić honoru człowieka, żołnierza i Polaka — honoru, tej świętej gwiazdy przewodniej, od której on nie zbaczał nigdy. Ale jak się tu decydować wobec zgola niepewnej przyszłości dla kraju?.. Za sobą miał książę świeże klęski Prus i Rosji, które jednak, gdyby szala zwycięstw na ich przechyliła się stronę, mogły dać straszliwy odwet Polsce — zaś przed sobą widział olbrzymiejącą wciąż potęgę państwa, o które dobrze byłoby oprzeć się i służyć mu na razie, gdyby on, Poniatowski, wysłużył tą drogą całość

i wolność dla swego kraju... Słusznie chyba domagał się gwarancji dla niego — czekał też na nią codzień, a dotąd jej nie otrzymał i, co gorsza, intuicyjnie przeczuwał, że jej nie otrzyma nigdy.... więc mrok wątpliwości i nowych o kraj obaw zagłębił tę duszę szlachetną.

A tymczasem Dąbrowski nie zasypiał sprawy. Gotów do objęcia nieograniczonej władzy wojskowej, wystąpił zaraz w roli naczelnika i krzątał się pilnie około wydania potrzebnych rozporządzeń. Poniatowski widział, z jakim uwielbieniem witała Warszawa starego wodza Legjonów, słyszał w dzień i w noc śpiewane o nim pieśni na ulicach, a równocześnie wyczuwał rosnącą znów ku niemu niechęć tego miasta... Wyczuwał stały brak zaufania, a przede wszystkim rozumiał, że naród nie przebaczył mu dotąd jego lat gnuśnych, lekkomyślnych, próżniaczych, że złorzeczy mu i odwraca się odeń plecami....

Tak — nie mógł zaprzeczyć, że wiele, bardzo wiele miał do odrobienia w kraju i to nie tylko za siebie, ale i za tego, któremu był swój zawdzięcza — więc cofać się teraz, w takiej chwili znaczyło zaprzepaścić się już w opinii narodu na zawsze. Nie mógł też jak przed laty, iść na miejsce drugorzędne. Miał tedy do wyboru: albo stanąć na czele polskiej siły zbrojnej, albo też z horyzontu swej Ojczyzny wycofać się zupełnie i bezpowrotnie.

Po długim tedy namyśle i już bez wahania wybrał to pierwsze i w dniu 6 grudnia 1806 zdeklarował się wobec Murata, iż stanie na czele swego narodu, jako wierny sojusznik cesarza Francji; zastrzegł tylko stanowczo, że na usankcjonowanie swej władzy naczelnej żąda wyraźnego rozkazu Napoleona. Było to bardzo godne i roztropne żądanie, a Murat, który księcia od pierwszego poznania ocenił i polubił, spełnił je skwapliwie. Na mocy swej władzy w swoim i cesarza imieniu zamianował Poniatowskiego naczelnym wodzem zbrojnej siły polskiej.

Nazajutrz w dawnej swej randze generał-lejtnanta rozpoczął ks. Józef urzędowanie i sformowawszy sztab przyboczny, wydał szczerą, pełną zapału odezwę „do kochanych kolegów i towarzyszków broni“. Od tej chwili niezachwianie i nieprzerwanie służył Poniatowski Ojczyźnie na czele jej armji aż do

zgonu; każdą swoją myślą, każdym słowem, każdym czynem wykuwa dla siebie pomnik wieczny w sercu i dziejach narodu.

* *

W drugiej połowie grudnia 1806 zjechał do Warszawy Bonaparte. Chmurny, szorstki, niemal brutalny w swej nieufności, przyjął Poniatowskiego nieuprzejmie i zaraz na wstępie uczynił mu wyrzut, że od Murata zażądał dla siebie jako warunku działania sankcji cesarskiej! Z pierwszych już jednak słów księcia zrozumiał cesarz, że ma przed sobą nie dworaka, nie służalca, lecz wiernego jedynie syna swojego kraju.

Pod wpływem taktu i szlachetnej godności, jakimi znać było się każde słowo polskiego wodza, spuścił Napoleon z tonu wyniosłego i rozmawiał już w dalszym ciągu uprzejmie. Z wielkiem zajęciem słuchał sprawozdania o całym przebiegu powstania Kościuszkowskiego, a jeszcze z większem rozpytywał o stan obecnego usposobienia wojska i stolicy; tylko w kwestji dla Poniatowskiego najpilniejszej, najwięcej mu w sercu i na ustach leżącej, milczał cesarz uparcie — milczał, bo nie mógł jeszcze czynić żadnych przyrzeczeń Polsce, ile że sam stał na dość niepewnym gruncie. Wprawdzie pobił Rosję i Prusy, ale ich nie zламаł, a zaś pod boki miał jeszcze Austrię, która cicho, ostrożnie sposobiła się do zerwania narzuconego jej przez Francję pokoju. Napoleon rozumiał dobrze grożące mu od tych trzech mocarstw niebezpieczeństwo, więc też w tej pierwszej z ks. Józefem rozmowie ani jednym słówkiem nie zaangażował się w kwestji polskiej. Wogóle po paru-dniowej zaledwie bytności w Warszawie wyjechał nagle do wojsk swych nad Narew. Za to już z początkiem stycznia 1807 przybył znowu do stolicy na dłuższy tym razem, bo prawie miesięczny pobyt.

Poniatowski starał się usilnie o wykorzystanie obecności cesarza dla sprawy polskiej, a że stosunek ich wzajemny stawał się coraz otwartszy i łatwiejszy, więc ksiązę począł rozwijać przed nim cały zasadniczy memoriał polityczny. Poznał już na tyle usposobienie cesarza, że argumentował nie do sentymentu, lecz do rozumu i logiki. Z punktu jedynie francuskiego proponuje objęcie rządów w Polsce jeżeli już nie przez samego cesarza, to przez jednego z członków jego rodziny.

— „Gdyby Francja szczerze i życzliwie zaopiekowała się nami — mówił Poniatowski — to miałyby w nas wiernego, nieobludnego sojusznika“. — Przypomniat też książkę o przyrzeczeniu, jakie przed 10 laty dał Józefowi Sułkowskiemu generał Bonaparte, że sprawa Polski będzie jego sprawą osobistą i t. d.

Program polityczny ks. Józefa był czystym jak łąza, był wyrazem najgorętszych myśli i uczuć prawego syna swego kraju.

Równocześnie jednak i ktoś inny podsuwał cesarzowi swój program. Dozgonny, a nawet pozgonny wróg księcia Józefa, generał Zajączek, przedłożył Napoleonowi opracowany przez siebie memoriał, w którym gwałtownie domagał się zniesienia Ustawy Majowej i zastąpienia jej kodeksem francuskim. Radził oddać prezydenturę miasta Kollatajowi, „jako jedynemu człowiekowi z głową“, bo przecież zdaniem Zajączka, „Czartoryscy, Poniatowscy i ta mizerna kreatura Kościuszko, powinni być już raz na zawsze usunięci od wszelkich urzędów w państwie“...

Memoriał generała Zajączka był wyrazem uczuć nie obywatela, ale raczej dworaka, łaszącego się do nóg nowego pana i władcy — był zarazem głosem człowieka partyjnego pełnego jadu i zawiści do wszystkiego, co nie wchodziło w skład jego programu.

Na szczęście, te przeciwnie podszepty nie dopięły celu. Napoleon znał dobrze ostatnie dzieje Polski, bo nie tylko studiował je przez lat blisko dziesięć, ale skrzętnie zbierał o niej informacje od ludzi takich, jak: Kniaziewicz, Dąbrowski, Sułkowski — w Warszawie zaś stykał się niemal codziennie ze Stanisławem Potockim, z Małachowskim, z Wincentym Krasińskim, oraz z wielu uchodźcami, którzy tłumnie powracali teraz do wyzwolonej stolicy, — zasięgał też pilnie szczegółów o życiu, charakterze i osobie Poniatowskiego, którego w myśli przeznaczył był już dawno na wodza polskiej armji.

Niestety — wszystkie prawie relacje, przedkładane cesarzowi poufnie, wypadały na niekorzyść ks. Józefa — nie osiągnęły jednak zamierzonego w złośliwości celu.

Jedną z największych zalet Napoleona była ta, że aczkolwiek w ważnych dla siebie kwestjach lubił zbierać jak naj-

więcej informacji, to jednak nie wpływowy z natury, nie sugerował się nigdy opiniami osób drugih, lecz polegał na własnem swoim zdaniu, które nietrudno było mu wyrobić sobie, a to dzięki nadzwyczajnej bystrości orjentacyjnej i wielkiej znajomości ludzi. Jakoż i tym razem, nie licząc się bynajmniej z nagromadzonymi przeciw Poniatowskiemu zarzutami, zatrzymał go na objętem stanowisku, a postawiwszy go w najdonioślejszej wówczas roli organizatora, wyświadczył krajowi naszemu prawdziwe dobrodziejstwo.

W połowie stycznia 1807 ustanowił Napoleon w Warszawie Komisję Rządzącą, która obejmowała 5 wydziałów z dyrektorami na czele; jednym z nich, jako dyrektor wojny, zamianowany został ks. Poniatowski. Nie miał on w Komisji żadnych przyjaciół osobistych, bo prezes jej, Stanisław Małachowski, zostawał pod silnym wpływem Wincentego Krasińskiego. Zasiadający w Komisji Józef Wybicki był nieodłącznym towarzyszem Dąbrowskiego, co zaś do Zajęczka, to ten prawdziwie lubował się w kopaniu dołków pod Poniatowskim. Wobec tej więc Komisji, popularnie zwanej Komisją „siedmiu królów“, złożył ks. Józef przysięgę na „wierność w sprawowaniu urzędu mnie powierzonego, nieskazitelną poczciwość i posłuszeństwo wydanym mnie rozkazom“. W parę dni potem Małachowski wręczył księciu patent na szarżę „generała dywizji komenderującego J. O. ks. Józefa Poniatowskiego, niegdy generał-lejtnanta w części pierwszej kampanji wojsko polskie en chef komenderującego“.

Praca, jaką ks. Józef podjął, była olbrzymią, ciężką i odpowiedzialną nietylko wobec własnego narodu, ale i wobec różnych poszczególnych władz w kraju i poza krajem. Poniatowski zależał tu od Komisji Rządzącej, od cesarza, od szefa głównego sztabu Berthiera, od marszałków, zwłaszcza od marszałka Davout'a, który ze swoją legją rozkwaterowany wygodnie w Jabłonnie, śledził nieufnem okiem każdy krok księcia; zależał też od dowódcy korpusu Léfèbra, od dowódcy Legji Zajęczka, od Maseny, wreszcie od komendanta Warszawy Gouviona — jednym słowem, zależnym był od wszystkich władz polsko-francuskich politycznych i wojskowych, obserwujących działalność księcia mniej lub więcej nieufnie, a zawsze krytycznie.

Praca organizacyjna wymagała nie tylko umiejętności, ale i pośpiechu — trzeba było działać na gwałt, bo był to przecież czas wojenny. Ułożyć etat dla wojska, opracować kwestję żołdu, żywności, kwaterunków, uzbrojenia, umundurowania, zorganizować sądownictwo i policję wojskową, urządzić szpitale i poczty polowe — oto cały szereg zadań, niezbędnych dla zaspokojenia potrzeb nie tylko nowotworzonego wojska polskiego, ale i stałej armji francuskiej.

Napoleon był ogromnie wymagający, przytem bezwzględny i niecierpliwy na punkcie pełnienia swojej woli przez podanych. W myśl jego rozkazu, żądającego 40 tysięcy regularnego wojska polskiego, Poniatowski pracując dzień i noc, wygotował w paru dobach szczegółowy etat trzech legji, z których każda liczyła z górą 13 tysięcy żołnierza, i przedłożył go Komisji Rządzącej. Była to robota nadzwyczaj nużąca, bo pośpieszna, wprost nagła.

Pracując dla obu armji, baczył Poniatowski czujnie nad utrzymaniem honoru i interesu swego kraju i na tym punkcie był stanowczym. Sprzeciwił się więc żądaniu cesarza co do kokardy francuskiej dla wojska polskiego i przeprowadził utrzymanie w niem barw narodowych; natomiast przyjął wiele ustaw francuskich co do musztry, kontroli i karności wojskowej, bo te uznał za znakomite. Pracował prawie bez chwili odpoczynku, po całych dniach i nocach — gdybyż choć danem mu było działać w spokoju i pogodzie ducha. — Niestety! męcząca praca jego była mu jednym cierniem przykrości i zgryzot. Ileż to ukłuć bolesnych zadawała mu Komisja Rządząca.... ileż nieufności okazywali mu Dąbrowski i Zajączek.... ileż krytyki znosić musiał od Davont'a i innych marszałków....

Wypracowany przez księcia preliminarz, możliwie najoszczędniej obliczony, okrojono mu w Komisji do połowy; całe kolumny cyfer, niezbędnych na pokrycie potrzeb wojskowych, skreślono jako zbędne, zaś władzę jego jako dyrektora wojny ścieśniono, zmuszając go do ciągłego referowania i usprawiedliwiania się z każdej niemal zamierzonej czynności. Tam naglił cesarz, a tu Komisja Rządząca opóźniała się z uchwaleniem słusznych przedłożeń księcia, osłabiała rozmyślnie jego powagę wobec rekruta, podkopywała karność, bez której Poniatowski nie rozumiał wojska. On jako żołnierz linjowy, chciał

stworzyć porządną armję zaciężną; nie uznawał tak zwanego „pospolitego ruszenia“, słusznie rozumiejąc, że ten system bojowania był już w tych czasach zgola nieodpowiednim. I na tym punkcie jednak spotykał się z przeciwnymi prądami, bo oto wielu z możnych obywateli uzbrajało naprędce swoją służbę folwarczną, na czem oczywiście cierpiał pobór regularny. Te prywatne oddziały niekarne, niemusztrowane, licho uzbrojone, czyniły wrażenie raczej jakiejś hałastry niesfornej, nie zaś przyszłych obrońców Ojczyzny; namnożyło się też pełno „generałów ziemiańskich“, dowódców, którzy wołali wciąż o żołd i żywność dla swych oddziałów, te zaś jako nieobjęte etatem wojska poborowego, obciążały temsamem skromny preliminarz. Ludzie ci żartowali sobie bezczelnie z rozkazów dyrektora wojny, który też wniósł na nich parę zażaleń przed Komisję Rządzącą. Skargi te jednak nie zdały się na nic, bo w Komisji „siedmiu królów“ zasiadali przecież Dąbrowski i Zajączek, obaj cisi organizatorzy pospolitego ruszenia. Doprowadzony nieraz do pasji, a niepoparty sprawiedliwością władz, ksiązę wymierzał surowe kary na niesfornych, przez co znów ściągał na siebie pretensje i złość przewrotności ludzkiej. Wogóle w tej swojej pracy cierniowej nie miał Poniatowski ani jednej duszy za sobą, a natomiast nieprzyjaciół bez liku; a przecież gdzie tylko mógł, z całą uprzejmością, z całą szlachetnością serca spieszył przysłużyć się każdemu, kto go prosił o radę, pomoc lub wsparcie — nawet za najcieńszym swoim wrogiem Zajączkiem wstawił się przed Komisją Rządzącą i wyjednał mu żądane przez niego podwyższenie pensji.

Do rozlicznych trosk ks. Józefa przyłączyły się też pewne niepowodzenia wojenne. Kampanja zimowa 1806-7 dała wynik niepomysłny, a krwawe walki pod Pułtuskim i Gołyminem uszczupliły znacznie nieliczną i tak armję polską. Nie powiodła się również wielka ofenzywa, jaką Napoleon wydał Rosji, bo w decydującej bitwie pod Iławą poniósł prawie klęskę. Prusy i Rosja nabrały zaraz otuchy, a równocześnie Polaków ogarnęło zwątpienie w gwiazdę Bonapartego. W warszawskich kołach politycznych poczęto naradzać się cicho, czyby nie dobrze było opuścić sztandary francuskie, a schronić się znów pod rosyjskie i pruskie. — Za pierwszym przemawiali gorąco Czartoryscy, a za drugim Radziwiłłowie, równocześnie zaś

Prusy, Rosja i Austria porozumiewały się wzajemnie co do kwestji polskiej i wreszcie ułożyły plan taki:

Fryderyk Wilhelm ogłosi się królem Wielkopolski, Aleksander I królem Litwy, oraz wielkim księciem Podola i Wołynia, a Franciszek I królem Galicji i Lodomierji. Cały ten plan był właściwie dziełem ks. Antoniego Henryka Radziwiłła, który wobec zupełnej teraz bezsilności Prus, chciał oprzeć się na silnem przymierzu Rosji i Austrii. Nastąpiła też w lutym formalna ugoda, którą Fryderyk Wilhelm podpisał w Kłajpedzie, warując w niej rolę pierwszorzędną dla księcia Poniatowskiego. Równocześnie z tą ugodą wypracowaną została szczegółowa instrukcja dla książąt Antoniego Henryka Radziwiłła i Józefa Poniatowskiego, jako „komisarzów polskich w dawnych prowincjach polskich“. Instrukcja rozpoczyna się wyrazami pełnymi uznania dla obu książąt i poleca im:

1) Ogłosić amnestję z chwilą odwrotu Francuzów, 2) obudzić ducha publicznego i zespolić naród nierozzerwalnym węzłem z dynastją pruską, która wskrzesi państwo polskie pod nazwą królestwa Wielkopolski, 3) wcielić ją uroczyście i dzieinnie do korony Hohenzollernów; król pruski zobowiązuje się w przyszłości mianować wielkich dygnitarzy koronnych ze szlachty polskiej, zaś administrację wewnętrzną powierzy również „tuziemcom“ przydając im „zdolnych i gorliwych urzędników niemieckich.“

Niezależnie od Radziwiłła, który przy asyście tajnego radcy finansów Klewitza, będzie zawiadywał sprawami cywilnemi, mianuje się księcia Józefa Poniatowskiego komisarzem dla spraw wojskowych i w randze generał-lejtnanta kawalerji jazdy polskiej, otrzyma dowództwo piętnastu szwadronów. Poleca się ks. Poniatowskiemu utworzyć polską legję nadwiślańską z przywilejem mianowania oficerów aż do stopnia kapitana. Książę komisarz będzie miał władzę administracyjną nieograniczoną.

Do powyższej instrukcji załączył Fryderyk Wilhelm list odręczny: „Do naszego ukochanego i wiernego księcia Józefa Poniatowskiego“. List był nader uprzejmy i serdeczny, mimo to pozostał nawet bez odpowiedzi. Książę Józef nie dał się złapać na przymilanie Prus ani Rosji i nie schodząc z raz

obranej drogi, pozostał przy ciężkich obowiązkach dyrektora wojny.

Oczywiście kombinacje polsko-rosyjsko-pruskie doszły zaraz do wiadomości Napoleona i — zaniepokoiły go widocznie, bo wprost z obozu pod Iławą wysłał do Fryderyka Wilhelma kurjera z propozycją pokoju. W piśmie, w którym znać było silne rozdrażnienie, objawił gotowość zrzeczenia się wszelkich pretensji do Polski, jeżeliby to zapewniło mu trwały pokój z Rosją i z Prusami. I musiał pisać tak w onej chwili, albowiem na gruncie polskim czuł się bardzo niepewnym.

Napoleon i niepewność! Napoleon i niepowodzenie!... Dumny cesarz Francuzów nie mógł się z tem pogodzić i rozdrażniony pierwszą w życiu klęską, wpadł w humor okropny; złościł się na polską armję, kłął polskie powietrze i polskie błoto, a wreszcie całą swą żółć wylał na Poniatowskiego, bo jemu to przypisywał głównie wszystkie niepowodzenia kampanji zimowej.

Złość cesarza podniecali gorliwie Dąbrowski i Zajączek i teraz nastały dla księcia dni prawdziwie czyscowe.

Na każdym punkcie utrudniano mu i bez tego ciężką pracę organizacyjną — lekceważono każde jego zarządzenie, nie słuchano jego raportów i unikając z nim stosunków ustnych i pisemnych, odwoływano się w ważniejszych kwestjach do marszałków francuskich, a ostatecznie do cesarza, w ogóle zaś gospodarowano na własną rękę, a właściwy dyrektor wojny przestał jakoby istnieć dla całej komisji rządzącej. Natomiast pociągano go do odpowiedzialności za wszystkie braki i usterki organizacyjne, jakoby z jego winy wynikłe. Czegóż bo mu nie żarzucano! Złą wolę, lekkomyślność, pychę, nieporadność... Napoleon otrzymywał całe stopy listów oszczerczych o Poniatowskim; co parę dni nachodziły go garstki żołnierzy głodnych, źle odzianych, jeszcze gorzej uzbrojonych, a każdy ze skargą na dyrektora wojny. Doprowadzony ostatecznie do pasji cesarz wyraził Poniatowskiemu całe swe niezadowolenie. W ostrych, gburowatych słowach zarzucił mu „rozmyślne zdeorganizowanie armji polskiej i rozmyślne burzenie tego, co zdziałał Dąbrowski“ i t. d. Aby zaś skarcić go należycie za tak lichą gospodarkę dyrektorską, polecił mu utworzyć niezwłocznie polski wyborowy pułk szwoleżerów gwardji francuskiej. W paru

dniach wywiązał się książę z tego zadania i odesłał do sztabu cesarskiego znakomicie wybrany pułk szwoleżerów, co jednak ogłosiło mu jego formację linjową z najlepszego materiału kawaleryjskiego. I nie dość na tem. Ujęty schlebianiem i prawdziwie żebraczem płaszczeniem się Zajączka, Napoleon rozkazał sformować dla niego niezależny, 9-tysięczny korpus obserwacyjny i wcielić do niego II pułk legji ks. Józefa Poniatowskiego. Napoleon pozwolił też generałowi porozumiewać się bezpośrednio z marszałkami Berthierem i Maseną, od których przecież zależnym był Poniatowski. Oba te zarządzenia były grubym nietaktem cesarza wobec dyrektora wojny. Legja, którą książę tak mozolnie był sformował, straciła w paru dniach kilkanaście tysięcy co najlepszego żołnierza, zaś Zajączek rozpanoszony władzą nad swym pułkiem obserwacyjnym dopuszczał się teraz najbezczelniejszych wybryków niesubordynacji wobec dyrektora wojny — wyśmiewał go i czernił wobec pułku II, który skutkiem tego popadł niebawem w rozzuchwalenie niesłychane.

Poniatowski miał duszę nadzwyczaj wrażliwą, ale niestety za delikatną, za miękką na to aby się bronić ostro i dosadnie, przytem skrupulat aż do przesady, doszukiwał w sobie samym przyczyn tego, na czem niesłusznie cierpiał ze strony swych wrogów. To też w memorjałach najuprzejmniejszych, niemal pokornych usprawiedliwiał się przed komjsją rządzącą i przed sztabem z zarzutów, jakie czyniono mu ustawicznie, a zawsze prawie niesłusznie, ale ten łagodny sposób obrony był tylko owem drzewem pochyłym, po którym złość ludzka doskakiwała tem zapalczywiej. W obronie księcia stał jedynie Talleyrand i pełen oburzenia na krzywdę, jaka mu się działa, począł domagać się od cesarza, aby raz wglądnął w tę sprawę.

*

*

*

Wiosna roku 1807 zastała Napoleona w cichym zameczku Finkelstein. Rozstrojony jeszcze doznaniem niepowodzenia cesarz obrał sobie to ustronie, aby z dala od oczu świata uspokoić się i wypocząć, a zarazem, aby oddać się zajęciom nie mającym nic wspólnego ze sprawami wojennemi. Był to znamienny rys jego natury odpornej, że w chwilach znużenia lub niepowodzenia pogrążał się w pracy różnostronnej a zgola nie

wojennej. Więc i teraz w zamczku Finkelstein załatwiał korespondencje prywatne, wysyłał szczegółowe instrukcje architektom i ogrodnikom w Tuilleryach, opracowywał nowe statuty i paragrafy dla Senatu francuskiego, udzielał nader trafnych wskazówek profesorom Cellége de France, zalecając im jasność i logikę w wykładach — pozatem prowadził ożywioną korespondencję z sułtanem Solimanem, namawiając go do zatargu z Anglią, oraz z szachem perskim, który zdaniem cesarza powinien był już dawno wypowiedzieć wojnę Rosji; załatwiał też spory i różne pretensje wśród personelu Opery francuskiej w Paryżu. Poza tem czynił zamówienia olbrzymie na dostawę mundurów, butów i żywności dla wojska, dawał znakomite wskazówki inżynierom co do budowy mostów i pontonów na Wiśle. Pomiedzy te zajęcia wsuwał cesarz od czasu do czasu bilecik do swej małżonki Józefiny, która w listach stęsknionych pytała z niepokojem, czy to prawda, że Polki są tak piękne i powabne, jak żadne kobiety na świecie?... Nie wiedziała zaś wówczas biedna cesarzowa, że na zamku Finkelstein przebywa też urocza pani Grabowska, jedyna kobieta, którą Napoleon kochał prawdziwie.

Nie zapominał też cesarz o sprawach dyrektorjum wojny. Znudzony ciągłemi skargami na księcia Józefa, zawezwał nagle Talleyranda i gdy ten przybył do Finkelsteinu, rzekł mu krótko :

— „Widzę, że Polacy nie chcą Poniatowskiego. Byłoby dobrze oddać Dąbrowskiemu ministerjum wojny, a Poniatowskiego wysłać do armji“. — Tak wobec Talleyranda jak wobec Murata starał się cesarz umotywować wolę swoją tem, że Dąbrowski ranny w nogę pod Tczewem, nie będzie już mógł pełnić służby w polu; zresztą usiłował cesarz wmówić Muratowi, iż sam Poniatowski zdawna już pragnął podać się do dymisji.

Znając aż nadto dobrze ambicję księcia Józefa, a przekonany o prawdziwości słów cesarza, Murat i Talleyrand napisali zaraz do księcia list prawdziwie przyjacielski ze szczerą radą, aby on sam, nie czekając wręczenia mu dymisji, przybył niezwłocznie do Finkelsteinu i osobiście poprosił cesarza o zwolnienie go z obowiązków dyrektora wojny, a wówczas, przydzielony do armji, „przekona każdego o talentach, odwadze i poświęceniu dla Ojczyzny“.

Poniatowski nie wiedział nic i nie przeczuwał, że obecnej pozycji jego grozi dymisja, to też list Murata uczynił na nim wrażenie bardzo przykre; ukłuty boleśnie w ambicję, odpisał Muratowi grzecznie i z godnością, że o urząd dyrektora wojny bynajmniej się nie ubiegał, ale raz go objąwszy, pełnił go z całą gorliwością, mając na celu jedynie dobro publiczne i rzetelne wywiązywanie się z obowiązków, — „jeżeli jednak nie zasługuje nadal na aprobatę Jego Cesarskiej Mości, jeżeli cesarz spodziewa się znaleźć w kim innym wiadomości i talenta, jakich mnie brakuje“, to w takim razie gotów jest każdej chwili zejść z zajmowanego dotąd stanowiska i jeżeli to potrzebne dla dobra kraju, to wycofa się zupełnie, a dowództwa żadnego nie przyjmie stanowczo, — zastrzega sobie tylko oddanie mu pewnych względów, należnych jego godności osobistej.

Księżę Józef napisał też osobno do Talleyranda list poufny, w którym prosząc o ścisłą dyskrecję, wspomina z ubolewaniem o fatalnych skutkach, jakie dla organizacji wojsk pociągnie za sobą ta niczem nieusprawiedliwiona zmiana władzy naczelnej. Nowy dyrektor wojny wprowadzi nowy etat dla armji, nowy preliminarz, nowy regulamin, a wynikię stąd zamieszanie i rozdzwięk w nowoutworzonej armji, będą bardzo niepożądane w obecnym stanie wojennym.

Oba te listy Poniatowskiego, tchnące nieporównaną szlachetnością i zupełnie bezinteresownem traktowaniem sprawy, rozjaśniły odrazu tę ciemną, splątaną przez nieczne intrygi sprawę. Murat poznał, iż został w błąd wprowadzony i zaraz z całą gorliwością starał się odwieść cesarza od uczynienia fałszywego kroku; dopomogła mu w tem nadzwyczajna zręczność dyplomatyczna Talleyranda, który nie wspominając nic o liście Poniatowskiego przekonał wreszcie Napoleona, że dymisja dana księciu, będzie nietylko ciężką względem niego niesprawiedliwością, ale wprost klęską dla dyrektorjum wojny, bo w całym kraju niema nikogo, kto byłby w stanie go zastąpić.

W odwrotnej, pełnej taktu i delikatności odpowiedzi na pismo księcia zapewnił go Murat o dalszem niezachwianem zaufaniu cesarza, przyczem zaznaczył, iż to, co był uprzednio napisał, było jedynie wyrazem własnej jego troski przyjacielskiej. Od tej chwili i jakoby przesilenia pomyślnego, ks. Józef stanął już silnie na stanowisku dyrektora wojny — stanął sil-

nie wobec Komisji Rządzącej, wobec Dąbrowskiego i Zajączka; z tym ostatnim jednak nie doszedł już nigdy do zupełnej harmonji. Co się tyczy Dąbrowskiego, to między nim a księciem stał raz na zawsze jakiś niesmak, jakieś rozgoryczenie, jakieś niewymówione pretensje. Obaj ci ludzie tak niepospolicie zdolni, tak szczerze oddani krajowi, nie mogli jakoś zespolić się z sobą, a rozdzwięk ten podsycaly jeszcze złe podszepty i intrygi rzekomych, przewrotnych przyjaciół stron obu, a zwłaszcza zwolennicy Dąbrowskiego, bo książę jakoby nie miał ich wcale — ci tedy jątrzyli generała pełnem ubolewania współczuciem nad zapoznaniem go w kraju, w tym kraju, który mu przecież zawdzięczał Legjony.... Wszak on to, a nie Poniatowski winien był zostać dyrektorem wojny, on, pięćdziesięcioletni z górą żołnierz, zasłużony wódz, a nie tamten, za którym nie przemawia, a wiele mówi przeciw itd. itd. Zaiste, szkoda było tych dwóch ludzi na ustawiczne starcia i przymówienia; żałować przychodzi, że w całym kraju nie znalazł się wówczas nikt, któryby wglądał w tę sprawę i zapośredniczył pomiędzy nimi uczciwie a mądrze. Nieocenionem ze wszech miar byłoby dla kraju, gdyby ci dwaj wodzowie szli od początku ręka w rękę razem dla dobra Ojczyzny, którą jeden i drugi kochał przecież gorąco.

W całym swym tak przykrym do Poniatowskiego stosunku nie był jednak Dąbrowski ani brutalnym, ani nikiemnym; natomiast jednym i drugim był w całej pełni Zajączek. Ten, o ile tylko mógł, szkodził księciu zawsze i wszędzie — czernił go przed Napoleonem i przed Komisją Rządzącą, czernił go w kołach towarzyskich Warszawy, a przedewszystkiem wojskowych, zaś po otrzymaniu władzy nad korpusem obserwacyjnym rozpoczął już formalną z nim wojnę; nie uznawał mianowanych przez księcia oficerów, lecz sam rozdawał stopnie dowolnie. Odmawiał wszelkich sprawozdań o stanie swej legji, a wszelkie zarządzenia dyrektora wojny przekreślał i wraz z odnośnymi pełnymi szyderstw i pokpiwań dopiskami odsyłał do Komisji Rządzącej. Wreszcie na pierwszą zasłyszana pogłoskę o dymisji grożącej księciu, wypowiedział mu posłuszeństwo w piśmie urzędowem:

„Jestem oficerem francuskim i mam dowództwo nad Polakami, gdyż tak chciał wielki cesarz Francuzów — nie zależę

bynajmniej od Pana" itd. Pismo to zaadresował tak: „Księciu Poniatowskiemu, generałowi dywizji, kawalerowi wielu orderów". Był to złośliwy przytyk do owych pruskich odznak, jakie książę Józef w swoim czasie był otrzymał. Z dziwną też zaciekłością napadał księcia Zajączek odezwami i listami, na które tenże zwykle nie odpowiadał, bo nie była to korespondencja urzędowa, lecz proste dokuczanie, jakiego chyba żaden dyrektor wojny nie odbierał od swego generała.

Gdy już faktem się stało, że Poniatowski utrzymał się nadal przy swem dyrektorstwie, Zajączek rozwścieczony do ostatnich granic, zrobił księciu taką awanturę, że potrzeba już było interwencji osób trzecich. Komisja Rządząca wysłała w tym celu marszałka Davout'a, a ten mimo, iż źle usposobiony dla księcia, przyznał mu słuszość zupełną, a nawet zażądał od cesarza, aby ten pismem odręcznem skarcił niesforne generała i zabronił mu raz na zawsze dalszych wybryków zuchwalstwa... Odtąd nie śmiał już Zajączek występować przeciw księciu otwarcie, ale tem zacieklej szkodził mu zaocznie, anoni-mowo. Krzywda, jaką mu tem wyrządzał była tem boleśniejszą, że po stronie Zajączka stała jeszcze wówczas znaczna część armji, oraz całe mieszczaństwo warszawskie.

Stolica nie przebaczyła jeszcze była księciu Zieleniec ani Powązek, a nie przeczuwała Raszyzna ani Lipska.

*

*

*

Ofenzywa, jaką Napoleon wydał Rosji z wiosną 1807 r. rozwijała się nader pomyślnie, a owocem jej było świetne zwycięstwo pod Friedlandem, poczem zawarto pokój na zjeździe monarszym w Tyłży.

Jednym z punktów ugodowych była kwestja polska, a mianowicie postanowionem zostało utworzenie Księstwa Warszawskiego, pod berłem króla saskiego Fryderyka Augusta. Ministerstwo wojny i władzę naczelną nad całą siłą zbrojną w Polsce oddał Napoleon Poniatowskiemu, wręczywszy mu przy nominacji order Złotego Orła Legji honorowej.

Celem ułożenia i podpisania konstytucji dla Księstwa Warszawskiego, Napoleon zjechał w połowie lipca do Drezna wraz z Poniatowskim całą Komisją Rządzącą, zaś dyrektorstwo

wojny objął w tymczasowem zastępstwie generał Kamieniecki.

Poniatowski zabawił w Dreźnie do połowy sierpnia. Poznał bliżej całą rodzinę królewską, od której na razie doznał bardzo chłodnego przyjęcia. Dwór saski bowiem chował jeszcze głęboką urazę do Czartoryskich i Poniatowskich za ich wielce niepolityczne postępowanie z dziadem obecnego króla Augustem III. Niechęć ta jednak i sztywność ustąpiła wprędce po poznaniu bliższem księcia Józefa, który ujmującym swem obejściem zjednał sobie odrazu sympatję obojga królestwa, zaś infantka księżniczka Augusta zajęła się nim całym sercem. Spodobał się jej ten wódz polski o postaci pięknej, szlachetnej, o wytwornem, rycerskiem obejściu. Oboje królestwo nie zdawali się być nawet przeciwni wydaniu swej jedynaczki za Poniatowskiego, a cały dwór i stolica mówiły już o tym związku, jako o rzeczy pewnej. Okazało się to jednak bezpodstawnem, bo książę Józef poza uprzejmością ściśle towarzyską, trzymał się od infantki zdaleka, nie dając nawet pozorów do przypuszczenia, iż występuje w roli pretendenta. Ostatecznie Augusta, o której rękę starał się napróżno niejeden z monarchów w Europie, nie oddała jej nikomu, wierna w swej miłości dla księcia polskiego.

Obrazy nad ułożeniem konstytucji dla księstwa Warszawskiego przeciągnęły się do późnej jesieni 1807. Z końcem października objął nad niem rządy król saski; rozwiązano komisję rządzącą, a Poniatowskiego zamianowano stałym ministrem wojny.

Armja polska wynosiła w owym czasie z górą 50 tysięcy żołnierza, a więc nawet więcej aniżeli Napoleon żądał był od Poniatowskiego; zorganizowana jednak na prędkę, dorywczo, niemal na gwałt, przedstawiała się niejednolicie, haotycznie, w charakterze raczej ochotniczym, a nie zaciężnym. Trzeba było więc przekształcić ją teraz na armję stałą, mniejszą liczebnie, a silniejszą w doborze żołnierza. Dla organizatora tej miary, co był Poniatowski, nie byłoby to zadanie ani za wielkiem ani za trudnem, gdyby mógł być działać swobodnie i własnowolnie. Tymczasem stanowisko jego jako ministra wojny, było dotąd tylko połowicznem, naczelną bowiem władzę nad wojskiem w całym księstwie otrzymał poza plecami księcia marszałek Davout — tak chciał Napoleon i tak postanowił

na zjeździe w Tylży. Książę minister wszedł więc w tążsamą rolę, skrepowaną, zależną, jaką miał przedtem jako dyrektor, z tą tylko różnicą, że teraz zależał już tylko od jednej władzy, a nie od całej komisji i różnych marszałków; przytem Davout był człowiekiem honorowym, szlachetnym, a dla Polaków szczerze życzliwym, — miał tylko usposobienie dziwnie przykre, porywcze i chorobliwie podejrzliwe. Ślepo oddany cesarzowi, nie uznawał poza nim nic i nikogo, nie dowierzał ani upokorzonym teraz Prusom, ani Rosji, ani Austrii, a już całą swoją podejrzliwość ześrodkował w nowo utworzonym Księstwie Warszawskim. Davout lubił Polaków, ale im nie dowierzał — posądzał ich o nieszczerłość względem Napoleona, wy-czuwał wciąż jakieś tajemne knowania polityczne i stale drażniony tem, co sam sobie wyobrażał, gnębił swymi humorami wszystkich tych, których nie lubił, a więc przedewszystkiem księcia Józefa. Stykając się z nim ciągle w sprawach wojskowych, dokuczał mu swoją zgryźliwością więcej niż innym. Dokuczliwość tę podniecały jeszcze skwapliwie osoby niechętne księciu, czerniąc go i obgadując przed marszałkiem. Davout otrzymywał całe stosy anonimów na Poniatowskiego, całe memorjały, w których tenże figurował stale jako zdrajca polityczny, jako skryty sojusznik Austrii, to znów Prus, to znów Rosji. Wmawiano w marszałka, że książę podburza cicho ludność przeciw Francuzom i t. d.

Było coś iście potwornego w tej całej robocie kreciej a oszczerczej, zaś prym w niej trzymał Ignacy Zajączek, brat generała. Zamianowany przez króla administratorem poczt w całym Księstwie, urządził t. zw. „czarny gabinet“ i przejmował korespondencje nie tylko osób prywatnych, lecz i ministrów, a w pierwszym rządzie Poniatowskiego. Ani jedno pismo księcia nie uszło jego ręki; czytaniem i całą tą nikiemną zdobyczą dzielił się z marszałkiem Davoutem. Wpadła też w ich ręce wielce nieostrożna korespondencja pani de Vanban z hr. Neippergiem, szefem kordonu austriackiego od granicy galicyjskiej.

O bliskich stosunkach ks. Józefa z margrabiną wiedzieli wszyscy i swoi i obcy, więc chociaż Poniatowski nie o tych listach nie wiedział, to jednak wykrycie ich zaciężyło ogromnie na jego opinji. Prawdziwą uciechą dla Ignacego Zajączka

było wyłapywanie listów pani Vanban do Poniatowskiego. Każde w nich słówko serdeczniejsze, czulsze, publikował na zebraniach towarzyskich w mieście, nie omieszkając ubierać je we własne, pełne szyderstw komentarze. Złość ludzka jest niewyczerpana w pomysłach, więc też na konto „czarnego gabinetu“ donoszono Davoutowi rzeczy najrozmaitsze i tak: że Napoleon zmusza papieża do przyjęcia wiary luterskiej, że bije fałszywą monetę dla Polski, a wywozi z niej złoto i srebro, że ma zamiar wyprowadzić całą armję polską na podbicie kolonji afrykańskich i inne tym podobne wersje, wprost wiary niegodne. Ulubionym zaś przedmiotem bajek, intryg i oszczerstw był stale książę Józef, który tyleż miał wrogów, co i fałszywych przyjaciół, a ci wyzyskiwali najniegodniej jego szczerość i zaufanie.

Nie też dziwnego, że Davout, który Poniatowskiego od początku nie lubił, utwierdzał się coraz silniej w swej do niego niechęci i dawał mu ją odczuwać bardzo dotkliwie; gdy jednak czasem posunął się w niej za daleko, wówczas otrzymywał należytą odprawę ze strony księcia ministra, który czysty w swoich myślach i czynach, nie mógł przecież znosić smagań niezasłużonych. Pomimo jednak całego taktu i delikatności ze strony Poniatowskiego, stosunek jego z marszałkiem zaostbrał się ciągle i coraz częściej przychodziło między nimi do starć ostrych, na czym cierpiała powaga ministra, cierpiał regulamin służbowy, bo nieznośny marszałek gdy wpadł w pasję, z całym nietaktem krzyżował, lub zasię kasował zupełnie dobre zarządzenia księcia. Raz poraz wysyłał też do cesarza skargi na Poniatowskiego, na tego „prince andacieux“, któremu dawno już należała się dyscyplinarka, albo dymisja“.

Napoleon stale mu w tej kwestji nie odpisywał, a wreszcie na coraz natarczywsze zażalenia ze strony marszałka odpowiedział mu w te słowa:

„Mój kuzynie! Masz się mieszać jak najmniej w sprawy wojska polskiego. Należy Polaków zachęcać do jedności. — W Polsce pełno intrygantów, ale są oni tam bez żadnego znaczenia; to jest skutek potrzeby ruchu. Co się tyczy pani de Vanban, jest to kobieta pusta, na którą nie należy zwracać żadnej uwagi... Memorjał oskarżycielski, który mi posyłasz, pochodzi niezawodnie od Zajączka, albo kogoś z jego partji.

To samo powtarzano mi bez ustanku za mego pobytu w Polsce i tak samo rozumują zapaleńcy we wszystkich krajach.... Tak się nie postępuje. Widziałem sam tych spotwarzonych Polaków wielkiego nazwiska, jak narażali się najwięcej; nie brak ich też w wojsku polskim. Okoliczności były ciężkie. Nie mogę skarżyć się na Komisję Rządzącą: robiła co mogła. Nie mogę się skarżyć na ks. Poniatowskiego, na Stanisława Potockiego: robili co mogli. Moją intencją jest zatem, abys nie dawał ucha tym insynuacjom stronniczym.... Polacy są żywi, czynni. Wielkie miasta w ogólności mają taki charakter. Warszawa bardziej niż inne. Jest podobna do powierzchni morza, które przez dwa dni z rzędu nie może pozostać bez zmiany. Ale Polacy są w gruncie rzeczy przywiązani do Francji... Staraj się żyć jak najlepiej z rządem i z władzami. Bierzesz sprawy zanadto gorąco. Nie ulega wątpliwości, że w stanie, w jakim znajduje się Polska, muszą zachodzić starcia, intrygi i nieporozumienia. Na stanowisku, jakie zajmujesz, winienes nadewszystko zachować cierpliwość i krew zimną“.

List ten, pełen zdrowego rozsądku i poczucia sprawiedliwości, a potem dalsze w tej mierze uwagi podziałały bardzo uspokajająco na zgryźliwego marszałka, który uwielbiał cesarza i każde jego słowo uważał za święte.

Jak już zaznaczyłam wyżej, Napoleon obserwował pilnie tych, na których zależało mu szczególnie, a gdy już sam wyrobił sobie o nich zdanie, polegał na niem niezachwianie wbrew wszelkim wpływom przeciwnym. Ani Dąbrowski, ani Zajączek, ani Davout nie spodziewali się zgoła, że swem podjudzaniem na Poniatowskiego jednali mu coraz większą sympatię i zaufanie cesarza. On poznał już tego wodza polskiego, poznał dosyć, aby go należycie cenić i szanować. Z prawdziwą przyjemnością rozmawiał o nim z Muratem i Talleyrandem, natomiast gniewały go i nudziły ciągle utarczki między Davoutem a księciem, i aby im już raz koniec położyć, wpadł na znakomity pomysł; oto wyprawił z Paryża do Warszawy panią Davout.

Marszałkowa była uosobieniem taktu i dobroci serca, umiała też sobie radzić doskonale ze zgryźliwością męża, nad którym wpływ miała ogromny a zawsze kojący. Z wrodzoną sobie dobrocią, nie znoszącą intryg ani waśni w swoim oto-

czeniu, weszła odrazu w szlachetną rolę pośrednika i rozjemcy pomiędzy małżonkiem a księciem i tak wreszcie urobiła ich wzajemny stosunek, że z zaciętych przeciwników stali się serdecznymi przyjaciółmi. Najwyższy też czas był, aby ci dwaj ludzie podali sobie ręce, bo od Zachodu zbliżała się burza.

Austrja poczęła zbroidć się po cichu, tożsamo Rosja i Prusy. W Warszawie pojawiał się od czasu do czasu Radziwiłł, a Czar-toryski zaglądał coraz częściej do Puław.

W drugiej połowie lata 1807 Napoleon odwołał Davouta do Niemiec, aby tam zajął stanowisko obserwacyjne. Trzeba więc było zdać komendę nad wojskiem Księstwa w ręce pewne, zaufane. Najsluszniej i najlogiczniej było powierzyć ją ministrowi wojny, aby i zarząd i dowództwo nad armją spoczęły w jednych rękach. Ale Davout wahał się jeszcze. O postanowieniu jego zadecydowała jednak wkrótce rozmowa, jaką miał z końcem października z Poniatowskim.

Omawiając chmurzącą się znowu sytuację polityczną w Europie podkreślił ksiązę jako rzecz pewną, że jeżeli Rosja i Austrja przyjdą do porozumienia, to wówczas poważne niebezpieczeństwo zagrozi Księstwu Warszawskiemu.

Na to że zwykłą swą podejrzliwością odparł marszałek, że jeżeli w istocie zanosi się na porozumienie między tymi państwami, to on, Poniatowski, jest pewnie, lub był już dawniej w nie wtajemniczonym.

Ksiązę odpowiedział szczerze i poprostu: — „Po pokoju w Tylży nie zwrócił się nikt do mnie ani z ramienia Austrji, ani Rosji, ale przedtem po klęsce naszej pod Iławą Fryderyk Wilhelm II czynił mi propozycje, które ja stanowczo odrzuciłem“.

Ta prosta odpowiedź Poniatowskiego rozwiała już zupełnie wątpliwości i uprzedzenie marszałka. Pełen uznania i szacunku dla swego ministra napisał tegoż dnia do cesarza:

„Mogę wydać najlepsze świadectwo o księciu Poniatowskim. Studjowałem go oddawna, i być może, skutkiem uprzedzeń mego zmysłu niedowierzania nikomu, powziąłem względem niego podejrzenie, lecz odkąd sprawy przybierają obrót poważniejszy, ujawnia on w swem postępowaniu otwartość budzącą moje pełne zaufanie. Zarzucano mu słabość charakteru,

lekkomyślność, a jest to człowiek uczciwy, człowiek honoru. Oddaję mu dowództwo nad wojskiem“.

Zdawszy komendę Poniatowskiemu, wyjechał marszałek z Warszawy w połowie września, a na wyjeźdźnym przesłał mu list pożegnalny:

„Proszę księcia uważać ten krok jako dowód nieograniczonej mojej ufności i szacunku, jaki do niego powziąłem, — a proszę też wierzyć, że nie jest w stanie zmienić kiedykolwiek tych uczuć, gdyż podyktowała mi je dopiero pełna świadomość tych zasad delikatności i lojalności, jakie stanowią istotę Jego charakteru“.

Ten akt zadosyćuczynienia ze strony nieufnego z natury marszałka, należał się księciu już oddawna. Poniatowski miał teraz ręce wolne, miał nieograniczoną władzę jako minister, a zarazem jako wódz naczelny, miał drogę otwartą do czynów samodzielnych.

Na wstępie do przeprowadzenia organizacji wojskowej, zajął się ksiązę bardzo troskliwie korpusem legionów włoskich, jego umundurowaniem, uzbrojeniem i żołdem. Następnie przystąpił do uregulowania powszechnego poboru wojskowego. — Zdawna już wygotował był plan dekretu konskrypcyjnego, na który teraz otrzymał sankcję prawomocną. Dekret ten znakomicie pomyślany powoływał do popisu wszystkich, „bez względu na ich urodzenie, stan, dostojęństwo, rzemiosło i wyznanie“, a uwalniał jedynie stan nauczycielski. Jak tedy widać z treści dekretu, do służby wojskowej powołani też byli i Żydzi, ale już wkrótce potem okazało się, że ten punkt nie mógł być zrealizowanym, bo rekruci żydowscy nie mogli jakoś wdać się do służby pod bronią, a zresztą przez wojsko polskie wogóle byli źle widziani i wyszydzani. Po paru też latach, r. 1812 zniósł ks. Józef dekretem służbę wojskową Żydów w Księstwie Warszawskim.

Przeprowadzenie poboru wojskowego nie było ani trudnem ani kłopotliwem, bo popisowych było aż nadto, aby uzupełnić armję trzydziestotysięczną. Ale trzeba było przecież to wojsko ubrać, uzbroić, trzeba było zapewnić mu żołd i należyte odżywianie, a na to nie było w skarbie Księstwa fundusów. W tej ciężkiej potrzebie udał się Poniatowski o pomoc do Napoleona i uzyskał ją wprawdzie, ale trzeba ją było bar-

dzo drogo opłacić, mianowicie, ta część wojska naszego, którą cesarz wziął na żold francuski, poszła cała poza obręb kraju i tak: trzy najsilniejsze pułki piechoty i sześć jazdy wyborowej poszły do Hiszpanji, cztery do Gdańska i na Śląsk, a więc dla nas pozostało tylko 17 tysięcy, które zaledwie wystarczyły na obsadzenie twierdz: Torunia, Modlina, Pragi, Częstochowy i Sierocka, zaś granice Księstwa ujrzały się zupełnie bezbronne.

W ciągłej trosce o fundusze dla wojska, starał się Poniatowski uprościć organizację armji, która z woli Napoleona podzielona na różne legje, przedstawiała się wprawdzie okazale i efektownie, ale była bardzo kosztowną ze względu na komplikację mundurów i przeróżnych odznak; dla zaoszczędzenia kosztów trzeba było więc przekształcić ją na jednolitą. Wypracował tedy Poniatowski nowy projekt bardzo praktyczny i posłał go zaraz cesarzowi do zatwierdzenia. Otrzymał je, ale ze znacznem opóźnieniem, tak, że wszedł w życie dopiero w roku 1810. Jak dalece zaś okazał się wydatnym, a niekosztownym, dowodzi liczba pokaźna 60 tysięcy żołnierza razem w jeździe, piechocie, artylerji i inżynierji, a wszyscy pod bronią we własnym kraju.

Wogóle działalność Poniatowskiego jako ministra i naczelnego wodza nad wojskiem, zasługuje na najwyższy szacunek i uznanie; przy wyjątkowo niepomysłnych warunkach, a krótkim czasie, najgenialniejszy nawet minister wojny nie mógłby zdziałać więcej. Przez 6 lat pracy ciężkiej, wśród ciągłych trosk i dokuczliwości swych bliźnich pracował książę Józef dla wojska i kraju szczerze, uczciwie, z całą znajomością spraw swojego stanowiska, — pracował z energją, z niezmordowaną wytrwałością, on, tensam książę Józef z pod Blachy, w którym naród widział jedynie bywalca solonowego, próżniaka oddanego miłostkom i zabawom. Bogato uposażony od natury, łączył Poniatowski w sobie głęboką uczuciowość ze zdrowym, trzeźwym rozsądkiem, z logiką pojęć i słów, które na posiedzeniach Rady Stanu imponowały politykom najwytrawniejszym. Przy obradach sejmowych nie był książę skwapliwym w zabieraniu głosu, ale zapytany wprost o zdanie lub opinię, mówił jasno, zwięźle i dobitnie, a każde jego słowo tchnęło szlachetnością, tchnęło duszą obywatela oddanego wiernie i bezinteresownie swojemu krajowi, pomimo, iż ten kraj ścielił mu drogę pracy

i obowiązku cierniami... i dopiero bohaterska śmierć tego czystego jak kryształ męża sprawi, że prześcigać się będą w pochwałach o nim ci, którzy mu za życia dokuczali, którzy go należycie poznać i ocenić nie chcieli lub nie umieli.

„Nie tylko wojenne lecz i pokojowe talenta były Poniatowskiego udziałem. Uderzała w politycznych czynnościach jego prawda z rzadką połączona trafnością i ten duch tak zręczny rycerskiej otwartości, co bez pozoru tajemnicy umiał to tylko co chciał wyjawiać, kiedy na rzut oka przenikał skrytość i cienie obłudy. Dziwili się biegli nawet w sprawach politycznych mistrzowie szlachetnej zręczności jego, co im żadnej nad sobą nie pozwalając korzyści, sobie zachowywała największą, t. j. szczerości i prawdy i t. d. i t. d.“

Zajączek zarzucał ks. Józefowi, że bardzo rzadko bywał na posiedzeniach sejmowych — zarzut ten był jak zresztą wszystkie z tego źródła, niesłuszny. Poza godzinami codziennymi w ministerstwie wojny, brał książę pilny udział w posiedzeniach Rady stanu, czego dowodem fakt, że na pięćsetkilkadziesiąt sesji od stycznia 1808 do maja 1813 opuścił ich książę pięć zaledwie, bo tyle zanotowały protokoły.

Korespondencja, jaką Poniatowski prowadził w sprawach wojskowych i urzędowych, była bardzo rozległa, a świadczą o tem odnośne dokumenta saskie, francuskie i polskie — poza nią korespondował też książę wiele z królem saskim, Davoutem, Talleyrandem i Muratem, a później już bardzo wiele z Napoleonem. Na czas swej nieobecności w Warszawie zdawał komendę nad wojskiem jednemu z generałów, najczęściej Wielhorskiemu, który niebawem zamianowany wicemnistrem, zastępował go już stale w administracji wojennej. Generał Wielhorski był człowiekiem ze wszech miar godnym zaufania i szacunku, przytem fachowo zdolny, rozumny i taktowny, był nieocenionym działaczem na tem stanowisku. Nie zawsze jednak umiał Poniatowski utrafić dobrze w wyborze i użyciu ludzi. Sam szczery i prostoduszny nie podejrzывał nikogo o fałsz lub obłudę, popełniał też nieraz grube pomyłki w doborze swego otoczenia i w obsadzaniu ważnych stanowisk osobami, których dla ich wątpliwej wartości powinien był właśnie trzymać jak najdalej od siebie. I nie tylko zbyt niem zaufaniem do ludzi błędził książę często, ale też i zbytnią wyrozumia-

łością, jaką miał zawsze dla podwładnych. Poniatowski kochał swoją armję — kochał swych oficerów jak braci a żołnierzy jak ojciec i w słabości swej dla nich, nie miał serca karać ich lub nawet upominać za ostro. Każdy swój wolny czas spędzał najmilej w koszarach, z całą troskliwością wglądając w szczegóły gospodarskie, kuchenne, szewskie, krawieckie i t. d. Najczęściej zaglądał do koszar przed południem, aby być obecnym przy obiedzie żołnierzy, poczem zabierał z sobą zwykle do swego stołu po kilku starszych lub słabszych wiarusów.

Nie była to ze strony księcia ani tak zwana „fantazja pańska“, jak to mianował szyderczo Zajączek, ani pozowanie na popularność, lecz było to jedynie serdeczne zespolenie się z armją, którą on właściwie stworzył i którą też ukochał jak swoją. Miał też tu bardzo wdzięczne pole działania, bo oficerowie, a zwłaszcza prości żołnierze uwielbiali go i byli gotowi iść za nim wszędzie, w najgęstszy ogień i w nędzę najcięższą.

A ta młoda polska armja potrzebowała rzeczywiście opieki bardzo szczerej i bardzo troskliwej. Wystawiona nie dla parady, lecz dla obrony kraju tak zbiedzonego wojną, że jej nawet całej wyżywić nie był w stanie, była choć tak nieliczna, solą w oku tym wszystkim, którzy niechętni Poniatowskiemu, byli zarazem przeciwni trzymaniu księstwa stale pod bronią. Grały w tem rolę główną podszepty i intrygi ze strony mocarstw ościennych, które rozsiewane pilnie w miastach, przyjmowały się znakomicie na gruncie tamtejszych szumowin i wyrzutków społeczeństwa.

Niezadowolone ze stałej załogi miasta, a na czele Warszawa, zasypywały księcia-ministra skargami na samowolę wojsk kwaterujących. Z magistratów Warszawy, Częstochowy, Zamościa i innych, szły ustawiczne zażalenia to o wypasienie łąk i stodoł miejskich przez konnicę, to o niesforność piechoty, to o nietakt ze strony komendantów i t. p. Po każdej otrzymanej skardze książę-minister zarządzał natychmiastowe śledztwo, którego atoli wynik obciążał zwykle nie oskarżonych lecz oskarżycieli, bo okazywało się z badań, że rada miejska lub prywatni mieszkańcy zachowali się prowokacyjnie i wrogo względem załogi wojskowej. Oczywiście w takich razach cofał książę-minister karę zamierzoną wobec załogi, przez co znowu sięgał na siebie niezadowolenie władz miejskich za „arcyszko-

dliwą pobłażliwość dla wojska.“ Sam prezes Rady stanu, Stanisław Potocki czynił o nią publiczne wyrzuty księciu-ministrowi, a nawet Niemcewicz, choć szczerzy zwolennik Poniatowskiego i jego armji, ubolewał w swych „Zapiskach“ nad „niesfornością wojska, psutego wyrozumiałością wodza.“

Nie ulega wątpliwości, że książę Józef za mało w karbach trzymał swoją armję, ale w całym tem niezadowoleniu stolicy i miast pomniejszych było więcej jadu i złości niż słuszności. W ogóle w opinji ludności dawało się teraz odczuwać coraz silniejsze wzburzenie. Jak to zwykle bywa, po zorjentowaniu się w nowej sytuacji politycznej, podniosła głos ostry krytyka. Więc traktat w Tylży uznano jako klęskę, a utworzenie księstwa Warszawskiego pod obecnem berłem, jako stratę dla sprawy narodowej. Wobec klęski jaką poniosła Rosja, społeczeństwo polskie oczekiwało od Napoleona wielkich rzeczy dla siebie, a tymczasem otrzymało jedynie jakieś drobne fragmentaryczne księstewko, którem w dodatku rządzi nie naród lecz obcy, nie mile widziany w Polsce monarcha. W tem rzeczywistość za skromnem rozwiązaniu mocno splątanego węzła politycznego zaczęła opinja publiczna dopatrywać się jakichś ukrytych kombinacji, jakichś dążeń tajemnych, bo otwarcie niedozwolonych — i burząc się coraz silniej doszła do wniosku, że cesarz Francuzów dlatego tak mało uzyskał dla Polski, bo on sam nie czuje się już być na pewnym gruncie — gwiazda Napoleona przygasa, a więc temsamem całość i przyszłość księstwa Warszawskiego nie pewne.... Tak sobie szeptano i mówiono w Warszawie zrazu cicho, potem coraz głośniej i burzliwiej, a ferment ten podsycala emigracja nasza, która napłynawszy powrotną falą do kraju, a odsunięta od urzędów i stanowisk czynnych, nie miała nic do roboty poza pustem gadaniem o polityce, o tem co się dzieje za granicą, a przede wszystkim o tem, że u nas w kraju źle się dzieje, bo niema w nim patriotów, niema prawych synów ojczyzny, są tylko karjerowicze, dworacy i t. d. i t. d.

Czcze to i nierozsądne były gadaniny, ale i wielce szkodliwe, bo wprowadzały w społeczeństwo zamęt, działały niezdrowo, ujemnie.. Radził przeciw temu jak mógł i umiał Kołłątaj w swoich „Uwagach“, gdzie ostro piętnował z miejsca owe „głuche roboty, któremi się zatrudniają nieprzyjaciele

imienia naszego, a ich stronnicy w nadziei, że się kiedyś przydać może niezgoda Polaków, nie zaniedbują rozsiewać pomiędzy nimi szkodliwego kłólu..." Jedni drugich starają się oczerniać w umyśle króla i cesarza Francuzów, tych pomawiają o demokrację, owych o dumę arystokratyczną, innych o niezdolność sprawowania powierzonych im urzędów lub stronnice przywiązanie do sąsiednich mocarstw, a to czynią jedynie dlatego, aby poformować nowe partje, aby je przywieść do niechęci i rozbieżności a temsamem przygotować materiał, niezgodę na wszelki wypadek."

Te mądre i ze wszech miar godne zastanowienia „Uwagi“ Kollataja ginęły jednak niby krople czystej wody w morzu ciągłego niezadowolenia opinii publicznej, która nie śmiejąc atakować samego cesarza Francuzów ani nawet Davout'a wyławowywała się tem ochotniej na głównej osobie w kraju, na Poniatowskim. Przedewszystkiem czyniono mu coraz głośniej zarzut nader bolesny za militarizm, który doprowadza do ruiny już i tak ubożuchne księstewko — utrzymywanie stałej, kilkudziesięciotysięcznej armji w kraju tak małym jest wszak absurdem, które naród opłacać musi ciężko, aby on, książę-minister zadowalniać mógł swoje „pańskie fantazje.“ Pomawiano go też o rzeczy wprost niewiarygodne n. p. o intrygi polityczne u Napoleona, to znów o tajne knowania z Rosją na rzecz własnych ambicji i widoków materialnych. W rozrzuconych po mieście broszurkach wytykano mu jego błędy z lat młodych, nicowano bezlitośnie jego przeszłość próżniaczą, lekkomyślną. Ten stan przykry a krzywdzący ciężko osobę wodza naczelnego trwał z górą lat 2, a położyła mu koniec dopiero wojna austriacka r. 1809.

Zanosilo się właśnie na poważny zatarg Francji z Austrią. Na wypadek wybuchu wojny, otrzymał Poniatowski dowództwo naczelne nad armją Księstwa Warszawskiego, a zarazem rozkaz skoncentrowania pod Warszawą przynajmniej połowy wojska polskiego. Niebawem jednak odwołał go król saski do Drezna, aby tam pod komendą marszałka Bernadotte czekał dalszych rozkazów. Zaniepokojona z razu Warszawa zrozumiała, że nie jej ale Saksonji grozi niebezpieczeństwo od Austrii; wiadomą jej była zresztą ta część traktatu tylżyckiego, mocą której Rosja zobowiązała się wobec Napoleona, iż w razie wy-

buchu wojny, uderzy zaraz na Austrię — spokojne też było o siebie Księstwo Warszawskie, spokojny o nie na razie jego wódz naczelny. Tymczasem zaszedł fakt, zgola nieprzewidziany ani przez księcia Józefa, ani przez Napoleona.

Wiernik dworu wiedeńskiego ks. Karol Szwarzenberg, tensam, któremu Poniatowski uratował był życie pod Sabaczem, wyjechał z tajną misją do Petersburga i tam wymógł na carze zapewnienie, iż owego zobowiązania wobec Francji nie dopełni i przeciw Habsburgom się nie zwróci, a w zamian za to Austria uzyska wolną drogę do Księstwa Warszawskiego, na które też napadła nie zwlekając.

W połowie kwietnia 1809 r. ksiązę Ferdynand wkroczył do księstwa wprost na stolicę. Oczywiście napaść ta zastała Poniatowskiego prawie bez możliwości obronienia się, bo wojsko polskie niezbyt jeszcze wyszkolone, wysortowane zaciągami do armji francuskiej, liczyło zaledwie połowę tego co wynosił korpus ks. Ferdynanda.

Poniatowski znalazł się w położeniu mogącym przerazić najwytrawniejszego wodza, zwłaszcza, że groziła mu klęska podwójna: utrata kraju i utrata samego siebie w opinji własnego narodu.

Zagrożona stolica zwała odrazu całą winę i odpowiedzialność na swego wodza; nie tyle też zajęła ją sprawa samoobrony, ile roztrząsanie kwestji: kto winien? A któżby inny?.. oczywiście ksiązę minister. I poczęto sobie szeptać ze świętem oburzeniem, że przecież on, Józef Poniatowski, służył dawniej w armji austriackiej, że całą swoją młodość spędził w Wiedniu, że zresztą był tylko pół krwi Polakiem, bo wszak matka jego była Austriaczką, a zaś ojciec jego, generał i feldmarszałek austriacki jako czystej wody Wiedeńczyk, nie mógł chyba wychować syna w miłości i kulcie dla Polski. A czyż to ksiązę nie wiedział o cichem gromadzeniu się wojsk i amunicji austriackich na granicach Księstwa?... Czyż ruchy owe dałyby się ukryć przed baczmem okiem wodza?...

Pod jednym tedy i drugim względem winien jest wódz naczelny! Więc pomruk nieufności, najpotworniejszych podejrzeń ogarnął stolicę i szedł złowrogą falą ku osobie księcia, który tylko zbłądził, iż zbyt zaufał perswazjom Davouta i Napoleona; gdyż ci stanowczo twierdzili, że Księstwu War-

szawskiemu nie grozi niebezpieczeństwo ani od Rosji, ani tem mniej od Austrii. Na ich zapewnieniach polegając, nie przedsiębrał Poniatowski żadnych środków obrony, które powinien był sobie zapewnić, ile że wiedząc o skupianiu się wojsk austriackich na granicy kraju, sam z najwyższym niepokojem ostrzegał był o nich Davout'a i Napoleona; nie otrzymawszy jednak na to żadnych rozkazów, nie chciał rozporządzać się własnowolnie wbrew zależności swej od nich, na której posłuszeństwo przysięgał. I stało się, to przeczuciem obawiał się słusznie — nieprzyjaciel wkroczył do kraju i dosięga już prawie stolicy, a ona patrzy na niego, na swego wodza z potępieniem w oczach.... Teraz już nie może i nie chce czekać na niczyje rozkazy, bo niema chwili do stracenia....

Poniatowski ruszył w pole i dnia 19 kwietnia 1809 wydał bitwę Austriakom na polach pod Raszynem. Sam poprowadził pierwszy bataljon piechoty Małachowskiego. Bitwa toczyła się zażarcie od godziny drugiej popołudniu aż do późnego wieczora, trzymając wodza i garść jego wojska pod gradem kul austriackich. W tę walkę tak nierówną, że można ją było nazwać nierozwagą, jeżeli nie szaleństwem, rzucił Poniatowski wszystko, co mu było najdroższe: swój honor Polaka i żołnierza, swoją ukochaną armję, którą zaraz po pierwszych strzałach odbiegli Sasi i korzystając ze zgiełku wojennego, uszli z najlepszymi działami ku Dreznu.

Pamiętna na wieki bitwa pod Raszynem okryła chwałą wodza i jego wojsko — była też zupełnie zwycięzką, bo odpię-rani raz za razem Austriacy, nie ruszyli ani krokiem naprzód; niemniej jednak musiała się skończyć honorowym odwrotem, bo niepodobna było prowadzić jej dalej. Armja nasza, utraciwszy dziesiątą część żołnierza, poczęła cofać się w porządku i około północy powróciła do Warszawy, która na widok powracających smutnie pułków popadła w depresję zupełną. Przerażona Rada Stanu zamknęła się w biurach i wydawszy tylko proklamację do ludności o zachowywaniu spokoju w mieście, uchyliła się zresztą od wszelkiej odpowiedzialności, bo naród miał przecież wodza, miał ministra wojny!... Cała więc odpowiedzialność za to, co się stało i za to, co dalej dziać się będzie, spadła na Poniatowskiego.

Nazajutrz książę minister odbył naradę wojenną z Dąbrowskim, Zajączkiem i ze sztabowcami francuskimi, poczem tegoż dnia popołudniu zjechał się z Ferdynandem w karczmie za rogatkami jerozolimskimi. Arcyksiążę począł z miejsca bardzo serdecznie, lecz zarazem natarczywie namawiać Poniatowskiego, aby porzucił służbę u Napoleona, który przecież właściwie nie jeszcze dla Polski nie uczynił.

Książę Józef odmówił stanowczo, a prosił tylko o rozejm, który też uzyskał. Przy powtórnem spotkaniu omówiono sprawę ewakuacji Warszawy. W układach z arcyksięciem ujawnił Poniatowski nadzwyczajną czujność i dbałość o honor swego kraju i armji i uzyskał też warunki stosunkowo bardzo korzystne, bo wojsku polskiemu wolno było wyjść z miasta z całą bronią i z wszystkimi armatami, a ponadto zapewnił sobie książę neutralizację całego prawego brzegu Wisły wraz z Pragą. Punkt ten był bardzo doniosłym, bo umożliwiał wodzowi przeprowadzenie operacji wojennych w razie nieprzewidzianych zajęć z Austryjakami.

W tak ciężkiej, wprost beznadziejnej dla Księstwa Warszawskiego sytuacji, zrobił Poniatowski wszystko co mógł i powinien — mimo to pełen jak zwykle skrupułów i niewiary w siebie, w swoje siły i zdolności administracyjne, czynił sobie głośnie wobec otoczenia swego wyrzuty, że nie umiał pokierować sprawami tak, jak każdy inny wódz potrafiłby pewnie lepiej. Pełen smutku i niezadowolenia z siebie, przepraszał nieledwie Radę Stanu i władze miejskie, że bitwa pod Raszynem, aczkolwiek bohaterska, skończyła się właściwie kapitulacją stolicy; złożył też publiczny o niej raport pełny pochwały dla podkomendnych — o sobie nie wspomniał ani słowem, pomimo, że on właściwie był duszą i dobrem natchnieniem bijącego się wojska.

Niedobrze to jednak było, że książę-minister nie doceniał siebie wobec tych, którzy ciągle jeszcze wrogo dlań usposobieni, nie oddali mu i tym razem uznania, a przynajmniej li tylko sprawiedliwości.

Przygnębienie księcia Józefa podziało żywszą jeszcze wodą na młyn złośliwych języków niegodziwej w swej nie wdzięczności stolicy... Okrzyki: „na szubienicę zdrajców, co nas nieprzyjacielowi wydali“ — towarzyszyły księciu przy wyje-

ździe jego z Warszawy — umilknąć dopiero miały na wieść o jego czynach w Galicji, na które to czyny nikt inny nie byłby się porwał w ówczesnych tak ciężkich warunkach.

* *

Po wyprowadzeniu wojsk z Warszawy za Bug, stanął Poniatowski w Modlinie, aby tam odbyć radę wojenną. Pierwszy zabrał w niej głos Zajączek, który w niezmiennej swej nienawiści do księcia, obrzucił go najpierw wyrzutami za Raszyn, a potem kracząc złowroźnie nad przyszłością kraju, doradzał połączenie ze Sasami i oddanie się jedynie pod rozkazy króla Fryderyka. Projekt Zajączka upadł jednak zupełnie, bo nie poparł go Dąbrowski. Stary wódz Legjonów ocenił całą doniosłość bitwy pod Raszynem i ze szczerem zapalem oświadczył się za marszem na Galicję, a więc poparł to, czego skrycie a gorąco pragnął Poniatowski. Plan był tak śmiały, że aż zuchwały, należało go też przeprowadzić mądrze, a niezwłocznie, bez oglądania się na to, co powie król saski, albo cesarz Francuzów.

Z początkiem tedy maja Poniatowski wyprawił Dąbrowskiego do Wielkopolski, aby tam zorganizował siłę zbrojną, a Zajączka na prawy brzeg Wisły dla nadzoru nad rezerwami, sam zaś wydawszy gorącą odezwę „do braci Polaków pod panowaniem austriackiem“, ruszył przez Kook i Lubartów do Lublina, aby tam przyjąć deputację galicyjską. W drodze towarzyszył mu coraz gorętszy zapal ludności, która witała go jako zbawcę narodu. Fala szczerej miłości Ojczyzny i radosnego uniesienia objęła teraz wszystkie stany, jednając ich w bratnim uścisku. Brat księcia Adama, Konstanty Czartoryski wstąpił do armji pod rozkazy Poniatowskiego i sformował pułk swego imienia, zaś szwagier księcia Adam Zamoyski objął prezydenturę Rządu Narodowego. Dla znękaney, tak długo zapoznawanej duszy wodza naczelnego nastały dni jasne, promienne. Wszyscy garnęli się teraz do niego z miłością, zaufaniem i najwyższym szacunkiem. Wojsko polskie rosło i potęgniało z dniem każdym jako armja linjowa, zorganizowana porządnie i starannie ćwiczona, to też pochód jej na Galicję był jednym ciągiem zwycięstwa.

W drugiej połowie maja Sokolnicki zdobył Sandomierz, a równocześnie Poniatowski odebrał Zamość i Lwów. W przeciągu tedy niespełna miesiąca cała Galicja niemal znalazła się w naszym posiadaniu.

Zaskoczeni tymi niespodziewanymi bo nagłymi wypadkami Austriacy umknęli nocą z Warszawy. Księstwo Warszawskie ujrzało się znowu wolne, a przedewszystkiem wzmocnione terytorjalnie przez oswobodzoną, a większą odeń Galicję. Niemniej jednak położenie nasze było stale poważne, zagrożone, i trzeba było działać bardzo rozważnie, ostrożnie, aby nie uczynić kroku fałszywego, nie stracić osiągniętych tak olbrzymich, jak dotąd sukcesów.

*

*

*

Rosja śledziła bacznie ruchy Austriaków i z wielkiem zadowoleniem przyjąwszy wtargnięcie ich do Księstwa Warszawskiego, zwróciła argusowy wzrok na Galicję wschodnią, którą już od początku wojny postanowiła zagarnąć dla siebie. Rząd austriacki nie umiał sobie zjednać ani Lwowa, ani okolicznej ludności — panowało tam ogólne niezadowolenie i rozgoryczenie, a świadoma tego stanu rzeczy Rosja nie omieszkala wykorzystywać go dla siebie. Z pomocą swych agentów i całej sieci intryg poczęła zachęcać Galicjan do powstania przeciw Austrii i przejścia pod opiekuńcze rządy rosyjskie; rozrzucała po wsiach i miastach proklamacje i odezwy przyjacielskie, zaś dla poparcia zbrojnego tych zamysłów trzymała pod wodzą ks. Golicyna 70-tysięczną armję, gotową każdej chwili do wkroczenia na ziemie galicyjskie. Plany te jednak pokrzyżowane zostały przez niespodziewane zgoła operacje wojenne Poniatowskiego; nie przestraszyła się ich wprowadzie ani Rosja, ani nawet Austrija, bo wobec ich armji wojsko polskie, mimo iż tak dzielne, było przecież drobiazgiem, — niemniej jednak odebranie Galicji wschodniej było dla obu mocarstw faktem zgoła niepożądanym.

Zaś na księcia ministra zwała się teraz olbrzymia praca administracyjna. Przedewszystkiem odebrane kraje galicyjskie trzeba było zorganizować wojennie i narodowo, oraz zespolić je z Księstwem Warszawskim; trzeba było pociągać z nich

żywność dla armji, rozkwaterować załogą po wsiach i miastach, ustanowić odpowiedzialną władzę dla obu tych ziem. — Ten ostatni punkt był oczywiście najtrudniejszy do przeprowadzenia i Poniatowski wywiązał się z niego na razie niedobrze. Wzorując się bowiem na Napoleonie, zaprowadził w Galicji „intendencję“, której kierownictwo powierzył Rembielińskiemu. Był to człowiek wprawdzie zdolny, ale bardzo porywczy, nietaktowny i niesprawiedliwy. Gdy Napoleon zaprowadził intendencję w zdobytych ziemiach pruskich, powierzał ją również ludziom twardym, bezwzględny w swej władzy, ale bo też temu chodziło jedynie o wyciśnięcie wszystkiego, co potrzeba było dla armji francuskiej, a więc kontyngentu w ludziach i żywności — jedno i drugie trzeba było wymuszać siłą i surowością bezwzględną. Tu zaś na odebranych swoim własnym gruncie ojczystym nie potrzeba było teroru, lecz jedynie legalnej władzy cywilnej, która rozumną, taktowną administracją miała za zadanie unormować to wszystko, co wojna i obcy zabór były wykoleiły.

Piastujący przy boku księcia urząd dyrektora cywilno-wojskowego, niejaki Andrzej Horodyski, również nie nadawał się do zajmowania tak ważnego stanowiska. Administracja, jaką zaprowadził w 25 cyrkułach galicyjskich, okazała się bardzo zawiłą, a przytem za kosztowną; liczyła 25 rad powiatowych, a w każdej z nich zasiadało po 3 członków cywilnych i wojskowych, 25 komisarzy i 8 podintendentów.

Niedobrze też wywiązywał się ze swego zadania inspektor kawalerji Różniecki, tensam, który prowadził był szturm na Lwów i pierwszy doń wkroczył. Niezrównany jako żołnierz i dowódca w polu, zuch o odwadze prawdziwie bohaterskiej, nie nadawał się zgoła do pełnienia obowiązków dyrektora wojskowego w mieście. Z usposobienia krewki i niespokojny, nudził się na postojach w murach, więc poza ćwiczeniami codziennymi ze swoją jazdą, wydawał gorące, śmiałe odezwy „do Polaków, obywateli wolnej Galicji“, aby ci pilnie rozwijali powszechną akcję insurekcyjną. Odezwy te rozrzucał w imieniu księcia Józefa, który kwaterując stale w Trześni pod Sandomierzem, żadnej z owych proklamacji nie czytał i nie sankcjonował.

Na szczęście cały ten stan rzeczy raczej szkodliwy niż użyteczny dla kraju, nie potrwał długo, bo Poniatowski zorjentował się w sytuacji dość wcześnie, aby ją zmienić na lepszą. Zrozumiał całą wadliwość intendentury w Galicji i przystąpił zaraz do utworzenia rządu na zasadach ściśle narodowych.

Z początkiem czerwca wydał książę w Trześni ukaz, mocą którego ustanowił Rząd wojskowy centralny pod protekcją Najjaśniejszego cesarza i króla Napoleona Wielkiego. Za ostrą w swem urzędowaniu, przeładowana urzędnikami intendentura galicyjska została skasowana, a jej miejsce zajął Rząd Narodowy złożony z 6 członków pod przewodnictwem Stanisława Zamojskiego, zaś delegatem dla spraw galicyjskich do Napoleona, zamianowanym został Ignacy Potocki. I w jednym i w drugim razie nie mógł Poniatowski uczynić wyboru lepszego.

Nowoutworzony rząd miał w sobie wszelkie dane, aby dla kraju pracować wydatnie, ale niestety — jakto u nas z reguły prawie bywa i bywało, przeszkadzało mu w tej pracy własne społeczeństwo, przeszkadzały starcia partyjne i osobiste. Usunięty z urzędu Rembieliński wraz ze swoim byłym personelem biurowym, podkopywał powagę rządu pełną zawisłości opozycją. Utrudniali mu też pracę zwolennicy Różnieckiego, który zastanowiony również w swej władzy, prowadził dalej po cichu lekkomyślną propagandę powstańczą. Już pierwsze posiedzenie rady nowego rządu zostało zakłócone szemraniem deputacji lwowskiej, a to przeciw zasadzie „protekcyjnej”. Delegaci oświadczyli Zamojskiemu, że gotowi są służyć pod komendą wojska polskiego, ale nie sądzą, aby im godziło się służyć pod protekcją Napoleona... wszak samo tylko wojsko polskie odbiło duży szmat kraju, więc nacóż mu iść w zależność od cesarza Francuzów?... Według ich rozumienia zapewne, ale wobec istotnego stanu rzeczy nie mógł Poniatowski postąpić inaczej; to nie był serwilizm, o który pomawiano go niesłusznie, lecz konieczność obrony przed Rosją. Oddanie wojska polskiego i tej odrobiny ziemi, jaką sobie samo wywalczyło pod opiekę Napoleona, miało być jedyną a niezbędną deską ratunku w razie ruszenia armji rosyjskiej na Galicję. Poniatowski miał więc słuszość zupełną, ale nie przyznawała mu jej rozanimowana zwycięstwem ludność galicyjska. Zamojski

informował księcia o całym tym niespokojnym stanie ducha w mieście, a sam ze swej strony czynił co mógł, aby miarkować przedwczesne zapędy powstańcze.

Jakby w odpowiedzi na protest deputacji lwowskiej a na uzasadnienie przezorności Poniatowskiego, otrzymał tenże pismo od marszałka Bernadotte, datowane z Wiednia:

„Przypuszczam, że obydwie Galicje objąłeś książę w posiadanie tymczasowe w Imieniu Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości; jeśli tego dotychczas nie zrobiono, uczynisz to natychmiast. Wszędzie mają być zawieszone orły francuskie, wszystkie władze zaprzysiężone na wierność cesarzowi Francuzów, sądownictwo w Jego Imieniu sprawowane.“

Pismo Bernadott'a było oczywiście rozkazem samego Napoleona, który też temi słowami przyjął pierwszą deputację galicyjską:

„Książę Poniatowski popełnił niezręczność, że nie objął Galicji zaraz w mojem imieniu. Rosjanie nie wtargnęliby nigdy w te strony, gdzie już zawieszone zostały moje orły; książę tego nie uczynił, i otóż Rosjanie jak się zdaje, pragną się u was usadowić.“

I tak tedy Poniatowski znosić musiał krytykę podwójną, i od swoich, że niepotrzebnie oddał kraj pod protekcję Francji, i od Napoleona, że uczynił to prawdopodobnie już za późno.

Sprawdziły się też przypuszczenia Bonapartego. Rosja postanowiła przeciwdziałać dalszym postępom Polaków w Galicji. Posuwając się nader wolno i ostrożnie, stanął Golicyn z armją pod Lublinem, zaś dwór petersburski porozumiewał się równocześnie z arcyksięciem Ferdynandem, celem niezwłocznego podjęcia wspólnej akcji przeciw Francji i Polsce.

Baczny na wszystko Poniatowski, zdołał przychwycić ważne w tej kwestji pismo Gorczakowa do Ferdynanda i natychmiast przesłał je do wiadomości Napoleonowi; wyprawił też szefa sztabu Fiszerę do Lublina, celem „porozumienia się we wspólnej akcji wojennej“ przeciw Austriakom. Gdy atoli Fiszer powrócił z niczem, Poniatowski wyjechał do Lublina, aby osobiście rozmówić się z Golicynem. Generał rosyjski przyjął księcia z wyszukaną uprzejmością i wszelkimi honorami, a zbliżenie się swoje w te strony usprawiedliwił tem, że w razie prawdopodobnego uderzenia Austriaków na Sandomierz, on

Golicyn pośpieszy mu na pomoc. Uspokojony tem Poniatowski ruszył na kwaterę po Puław.

A tymczasem Sandomierz wpadł rzeczywiście w ręce Austriaków, bo Golicyn wcale z odsieczą nie pośpieszył. W zamian za to Austriacy pozwolili Rosjanom czynić zabory w Galicji wschodniej tak, że Golicyn zakwaterował się ze swoim sztabem we Lwowie. Na domiar złego Francuzi przegrali bitwy z Rosją pod Aspern i Eslingen, a korzystając z tego Prusy, sposobiły się do uderzenia na tyły armji francuskiej. Cała zatem zdobycz nasza zdawała się być straconą. Wówczas Poniatowski wydał z Puław ukaz obwieszczaający, że Galicję wschodnią bierze w posiadanie w imieniu Napoleona, a temsamem nakazuje wojsku polskiemu i władzom krajowym złożyć przysięgę na wierność cesarzowi Francji. Słał też raporty codzienne do Napoleona, informując go szczegółowo o stanie rzeczy w Galicji i w Księstwie Warszawskim.

Zaś Prusy i Austrija zbroiły się po cichu w porozumieniu z Rosją, która coraz groźniejsza, planowała olbrzymią przeciw Francji koalicję. To potężne trójprzymierze miało nie tylko obalić cesarstwo francuskie, ale sprawić przewrót w całej Europie, oczywiście jeśliby mu nie stanęło coś na przeszkodzie. Ale otóż właśnie przeszkodził i tym razem Napoleon, bo wygrawszy z Austrią wielką bitwę pod Wagram, zadał jej straszny pogrom. W tydzień potem, a była to pierwsza połowa lipca, nastąpił rozejm w Altenburgu i rokowania o pokój.

Pomimo jednak tak szczęśliwego obrotu rzeczy, losy Galicji wschodniej były wciąż poważnie zagrożone. Golicyn, rozpierając się w niej coraz zuchwalej, rozciągnął front armji aż po Tarnów. Wobec całej grozy położenia, Poniatowski postanowił ruszyć niezwłocznie na Kraków, a następnie połączyć się z armją Napoleona. Najwyższy też był czas po tem, bo na Kraków maszerowały już nocami pułki jazdy Suwarowa pod dowództwem Siewersa. Powiadomiony o tem Poniatowski ruszył spiesźnie na Radom do Krakowa i 15 lipca wkroczył do stolicy. Na pierwszej jednak ulicy zastąpił mu drogę murem silny oddział huzarów Siewersa. Niestropiony tem wcale książę wspiał konia i z takim impetem wpadł na nich, że ci, utraciwszy kilkunastu żołnierzy, rozpiechli się po ulicach,

a nasze wojsko weszło do miasta, które też złożyło zaraz przysięgę na posłuszeństwo władzom polskim.

I nastąpiła sytuacja dość niezwykła, bo w Krakowie obok wojsk polskich pozostało i rosyjskie, co było fatalne ze względu na nieuniknioną wzajemną niechęć i starcia, a jeżeli nie doszło do poważniejszych nieporozumień, to dzięki jedynie taktowności i roztropności księcia ministra, który osobiście łagodził codzienne pomiędzy obiema stronami swary, nie dopuszczał do pojedynków i do zaostrzania zupełnie zresztą zrozumiałej wzajemnej niechęci. Aby można było wówczas działać skutecznie jako rozjemca pomiędzy dwoma wrogami sobie wojskami, trzeba było być rzeczywiście ks. Józefem Poniatowskim, to znaczy posiadać jego takt i wyrobienie charakteru, jego szlachetność i subtelność serca oraz wysoki zmysł polityczny. Pełen rycerskiej uprzejmości w obejściu, ujmował sobie wszystkich, najwięcej opornych, np. nader przykrego Suwarowa zjednał sobie tem, że osobiście asystował w rewji jego dywizji, oraz że sztabowców rosyjskich ugościł parę razy w Sukiennicach. Jeden Bóg tylko wiedział, ile wysiłków i cierpienia kosztowała go owa polityka z wrogami jego kraju, a stosować ją musiał dla dobra i spokoju miasta, dla dobra, bezpieczeństwa i całości swego bardzo szczupłego wojska. Otaczał go też ze strony Rosjan najwyższy szacunek i uznanie, zaś uszczęśliwiony Kraków przesadzał się w okazywaniu mu czci i uwielbienia; jak gdyby wynagradzając księciu niewdzięczność Warszawy, sławił imię jego w pismach i pieśniach na cześć jego układanych, w dziękczynnych owacjach i honorach, jakie tylko królom się oddawać zwykło. Na wstyd Warszawie, gród podwawelski uznał był w księciu oswobodziciela Ojczyzny, czcił w nim rzetelną, niezmordowaną dla niej pracę, nieskazitelność charakteru. To też Poniatowski czuł się bardzo dobrze w Krakowie i nader popularny wobec ludności bratał się z nią serdecznie, wnikał troskliwie w sprawy i potrzeby miasta, brał chętny udział w życiu towarzyskiem sfer wszystkich, a przede wszystkim dbał o podniesienie i o utrwalenie w niem ducha narodowego, który podupadł był znacznie pod wpływem inwazji austriackiej.

Najwięcej uległa zniemczeniu Akademia i wogóle cały szkolniczy system krakowski. Pierwszą tedy pracą, jaką książę

Józef podjął na tem polu, było zreorganizowanie Szkoły Głównej, która pod austriacką jurysdykcją cyrkulową zatraciła była zupełnie charakter szkoły polskiej. Zasiliwszy ją przedewszystkiem odpowiednim funduszem, uzyskanym z trudem od Rządu Narodowego, uwolnił ją z pod nadzoru policyjno-cyrkulowego i przywrócił jej dawną powagę kierowniczą nad szkołami średnimi i ludowymi. Pragnął też bardzo założyć w Krakowie instytut polski na wzór założonego przez Napoleona Instytutu w Paryżu. Instytut polski miał być głównem ogniskiem piśmiennictwa i literatury narodowej w kraju; jako podwalinę dla tego wielkiego dzieła utworzył książkę pierwsze cztery klasy, otwarte dla starszej młodzieży polskiej.

Sprawa oświaty w kraju, jakkolwiek najbliższa sercu Poniatowskiego, nie mogła być jednak na pierwszym planie działania, a to ze względu na ciągły stan wojenny; dla dobra więc kraju i narodu trzeba było przedewszystkiem myśleć o zasilaniu go siłą zbrojną. Nad tem pracował Poniatowski najgorliwiej, to też za czas ledwie półrocznego pobytu w Krakowie osiągnął na tym punkcie bardzo wiele. Jako minister wojny, miał za zadanie zorganizować dwie armje: jedną wyłącznie polską dla Księstwa Warszawskiego, a drugą francusko-galicyską dla Galicji. I otóż w tych czasach tak ciężkich, tak trudnych do przeprowadzenia czegokolwiek u nas, pod ciśnieniem wrogich armji, zdołał Poniatowski uzbroić i wyekwipować 37 tysięcy bardzo dobrego żołnierza dla Księstwa Warszawskiego, a dla Galicji z górą 25 tysięcy.

Pomimo jednak całej gorliwości, z jaką Poniatowski pracował dla narodu i armji, położenie jego nie przestało być ani trudnem ani przykrem, a składały się na to czynniki idące tak z zewnątrz jak i z wewnątrz kraju.

O ile Kraków otaczał swego wodza miłością i uznaniem pełnem wdzięczności, o tyle Warszawa miała dlań tylko niechęć i krytykę. Niezadowolona z przedłużającego się pobytu księcia w Krakowie, snuła na ten temat nowe zarzuty i podejrzenia. W pełnych przekasów artykułach notowały pisma warszawskie, jak to Kraków honoruje wodza z pod Zieleniec, jak to po królewsku rozpiera się tam teraz książkę minister, gdy wszyscy składają mu hołdy niby monarsze itp. itp. Warszawska Rada Stanu nie chciała uznać tego, jak dalece małoduszną

była, gdy po odwróceniu wojsk naszych przed Austryjaczami zamknęła się w swoich biurach beczynnie, a teraz widząc się przez bieg czynów Poniatowskiego usuniętą w cień, zwróciła całe swe niezadowolenie przeciw niemu. Szły więc z kancelarji Rady Stanu listy do sekretarjatu króla saskiego, ostrzegające go przed coraz rosnącą ambicją księcia Józefa, który w swych ukazach i proklamacjach pozwala sobie na ton iście monarszy i stawia jakoby na jednym poziomie rząd Jego Królewskiej Mości, oraz Rząd Tymczasowy, stworzony przez siebie w Galicji, a będący jedynie jego biurem. — Stanisław Potocki uważał się, że książę minister lekceważy Radę Stanu, lekceważy Jego Mość króla saskiego, a nawet Napoleona. Do tych oskarżających listów dołączone były odpisy różnych ukazów i rozporządzeń Poniatowskiego, a w nich popodkreślane zwroty „karygodne“, aby monarcha zwrócił na nie baczniejszą uwagę. Zaniepokoiły też poważnie Fryderyka Augusta, który nie miał ochoty wyrzekać się korony polskiej.

Zaś do tej naszej korony wyciągały się wciąż łakomie ręce trójprzymierza. Pomimo zwycięstwa Napoleona pod Wagram, widocznem było, iż jego gwiazda przygasła, to też w przewidywaniu zupełnego jej zniknięcia, Austria, Prusy, a zwłaszcza silniejsza od nich Rosja, nie zasypiały sprawy polskiej.

Golicyn starał się gorliwie o wykorzystanie pobytu swego w Galicji dla celów rosyjskich. W myśl odbieranych z góry rozkazów pracował zrećźnie nad rozbudzaniem u ludności polskiej zaufania do Rosji, a w szczególności nad zjednaniem sobie Galicji wschodniej. I nie zdawało się to być trudnem do osiągnięcia, ile że przeważająca tam ludność rusińska skłaniała się ku caratowi; krzątał się więc Golicyn jak mógł, nie przebierając w środkach — jednym przypodobywał się i schlebiał, drugich ujmował obietnicami i pieniędzmi, innych wreszcie straszył; a wszędzie rozniecał niepokój i ferment, bo równocześnie szerzył w społeczeństwie niechęć do Bonapartego. Galicja wschodnia stała się teraz główną kością niezgody pomiędzy Rosją a Francją.

Napoleon zdawał sobie z tego sprawę jasno i dokładnie, to też gdy przybyła do niego deputacja lwowska, przyjął ją po swojemu szorstko, gburowato.

— „Polska — mówił — to jest zawsze przedmiot, przez który rozbijają się wszelkie układy z Rosją. Rosja czuje to doskonale, że jest dostępną do ataku tylko przez Polskę... Gdybym był cesarzem rosyjskim, nie pozwoliłbym nigdy na najmniejsze rozszerzenie Księstwa Warszawskiego, przeciwnie, dziesięć lat bym walczył, aby je zburzyć. Podobnie, jak będąc cesarzem francuskim dla obrony Belgji dałbym się zabić wraz z dziesięcioma memi armjami i wystawiłbym jedenastą z kobiet i dzieci.... Wiem, że odbudowanie Polski ustaliłoby równowagę w Europie, ale tej równowagi niepodobna przywrócić bez wojny z Rosją.... Francja musiałaby trzymać w gotowości 150 tysięcy ludzi dla osłonięcia was od napaści rosyjskiej.... Dać wam monarchę francuskiego? Ba!... wypadłoby w takim razie zmobilizować z góry cztery konskrypcje francuskie.... — a wiadomo wam, jak dla nas Francuzów trudną jest wojna w waszym kraju. Pojmujecie więc, że odbudowanie Polski w chwili obecnej jest rzeczą niemożliwą dla Francji“....

W znamienem tem przemówieniu Napoleona widać było, że liczył on się tylko z Rosją, a zgoła nie z Polską, dla której nie chciał, a może i nie mógł wówczas nic zdziałać. Deputacja galicyjska powróciła do Lwowa w stanie pełnym zgnębienia i niepokoju. Nic też dziwnego, że grunt społeczeństwa polskiego stawał się teraz podatniejszym dla kreciej roboty Golicyna, który nie zrażał ich, owszem przywabiał obiecując im spokój i pomyślność pod berłem rosyjskiem.

A tymczasem Napoleon prowadził ciągle pokojowe rokowania w Altenburgu, które Austrja przewlekła rozmyślnie, aby zyskać na czasie tak potrzebnym jej do przeciągnięcia Rosji na swoją stronę. Nad głową cesarza Francuzów zbierały się chmury coraz groźniejsze. Rosja i Austrja podawały sobie cicho ręce, aby skuteczniej już tym razem uderzyć na Francję. Brakowało im jednak atuta bardzo ważnego, a to udziału Polski. Dla Rosji niezbędnem było pozyskanie sobie wojska i woźdza polskiego. Gdy więc Austrja przewlekła rokowania w Altenburgu, to równocześnie dwór petersburski pouczał Golicyna, jak ma postępować w Galicji: nie żałować pieniędzy ani obietnic, unikać wszelkich zatargów z generalicją polską, postępować serdecznie, po bratersku z całą ludnością tak w Galicji wschodniej jak i w zachodniej i t. d. Przedewszystkiem jednak

należało pozyskać sobie jej wodza; trzeba było koniecznie porozumieć się wprost z Poniatowskim, ale że Golicyn nie chciał uczynić tego osobiście, więc poprosił o pośrednictwo księcia Eustachego Sanguszkę, który jako najserdeczniejszy przyjaciel Poniatowskiego, zdawał mu się być najodpowiedniejszym do spełnienia tak drażliwej misji. Podjął ją Sanguszko, ale niechętnie, bo znając dobrze ks. Józefa był pewnym, że spełnienie ona na niczem.

Golicyn dał mu zlecenie takie: udać się niezwłocznie do Poniatowskiego i pod pieczęcią tajemnicy oświadczyć mu co następuje:

Dwór petersburski pragnie wcielić do Rosji Księstwo Warszawskie oraz obie Galicje i ogłosić się królem polskim, z poręczeniem nietykalności wszystkich dawnych praw i przywilejów polskich. Wojsko polskie otrzyma wówczas zapomogę kilku milionów w złocie i srebrze, z zachowaniem obecnych rang i stopni, zaś Poniatowski rozległe dobra ziemskie, oraz naczelne dowództwo nad swoją armją.

Sanguszko pojechał tedy do Krakowa i przedłożył wszystko księciu wodzowi. Poniatowski odrzucił propozycję z oburzeniem, a Sanguszkę że z nią przybył, zgromił surowo i nigdy już potem nie powrócił mu swej dawnej przyjaźni. Całą sprawę zachował jednak ściśle dla siebie, a tylko do Napoleona wysłał pismo ogólnikowe, w którym nie wspominając o Sanguszcze ani słowem, ostrzegł cesarza, iż „generałowie rosyjscy w stale ponawianych wynurzeniach starają się wzbudzić przekonanie, iż deputacja obywateli galicyjskich byłaby dobrze przyjętą w Petersburgu i że środkiem najskuteczniejszym do odbudowania Polski byłoby oddanie się jej pod opiekę ich monarchy“.

W rezultacie odprawy danej Sanguszcze zepsuły się dobre stosunki między Poniatowskim a Golicynem, który zrzuciwszy odrazu skórę baranka, począł traktować księcia niegrzecznie i wyniośle. W pierwszym też po tej sprawie liście do niego zaprzeczył mu prawa używania tytułu wodza polskiego:

— „Nie mogę uznać — pisał — ani Polski dawno już pochowanej, ani armji i wojsk polskich i uznaję jedynie wojsko Księstwa Warszawskiego, ustanowionego przez traktat tylżycki, gdzie o żadnej Polsce niema mowy“.

Poniatowski odpisał mu na to w sposób dobitny i pełen godności, a pozornie lekceważąc sobie prowokacyjne usposobienie Golicyna, traktował go z chłodną uprzejmością, nie doprowadzał do wyraźnych zatargów, natomiast sam podwójnie czujny i ostrożny baczyl na dalszy bieg okoliczności, które do najwyższego już stopnia naprężone, mogły być skończyć się dla nas fatalnie, gdyby nie pokój, który nareszcie w październiku został zawarty w Schönbrunnie.



OKRES PIĄTY

1810—1813.

Pokój zawarty w Schönbrunnie nie mógł trwać długo, bo Rosja parła wciąż do wojny z Francją — parła nie otwarcie, lecz z całą przewrotnością chytrej dyplomacji; wkrótce po zawarciu pokoju rozpoczął Aleksander poufną korespondencję z Napoleonem, a to oczywiście w sprawie Polski. Zdobycze dokonane przez Poniatowskiego w Galicji, oraz znaczne wzmocnienie jego armji, zaniepokoiły bardzo dwór petersburski. Aby więc zapobiedz wskrzeszeniu i odbudowaniu rozbitej Polski, zaproponował Napoleonowi zawarcie wspólnego sojuszu przeciw Polsce. — „Jeżeli Francja — pisał Aleksander — zajmie w sprawie polskiej politykę naszą i nie dopuści, aby kraj ten stanowił już kiedykolwiek o sobie, to może liczyć zawsze na przyjaźń Rosji „niezmienną i niezachwianą.“

Właściwym jednak celem tej korespondencji Aleksandra nie była chęć zniszczenia Polski, lecz podstępem wyłudzenie od Napoleona zobowiązań na piśmie takich, które raz na zawsze skompromitowałyby go w oczach Polaków. Dwór petersburski wiedział dobrze, iż Galicja wschodnia nie najlepiej usposobiona dla Bonapartego; zraziła się doń ostatecznie po owem tak ostrem przyjęciu deputacji galicyjskiej w Wiedniu; zaś w razie gdyby Napoleon wszedł w układ antypolski z Rosją, to wówczas zdradzeni w swem zaufaniu Polacy oddadzą się sami pod protekcję Rosji i nigdy już nie staną po stronie Francji. Licząc na powodzenie tych swoich zamysłów, dążył

Aleksander równocześnie do pozyskania sobie Poniatowskiego za wszelką cenę. Po tylu już jednak odmowach z jego strony, nie śmiał czynić dalszych zabiegów otwarcie, więc dyplomatycznie starał się odstręczać go od Napoleona.

Przez parę tygodni trwała ta korespondencja pomiędzy Petersburgiem a Paryżem — ze strony Aleksandra gorączkowonatarczywa, zaś ze strony Bonapartego pozornie przychylna. Po wymianie listów począł dwór petersburski stawiać coraz śmielsze żądania, a między innemi i to, że Poniatowski nie zostanie nigdy namiestnikiem Księstwa Warszawskiego, oraz, że armja polska musi być zmniejszoną do minimum. Ostatecznie zreagował już w styczniu całą ugodę francusko-rosyjską przeciw Polsce, której to ugody jednak Napoleon nigdy nie podpisał. Z całą bowiem przenikliwością genialnego umysłu przejrzał odrazu podstępą grę Aleksandra i w chwili ostatniej decydującej odpowiedział mu pięknem za nadobne. Odmówił mu na razie podpisania gotowej już umowy, poczem nie wdając się już w dalszą korespondencję z Aleksandrem, wszedł nagle w układy z Austrią, w rezultacie których zaręczył się z arcyksiężniczką austriacką Marją Ludwiką.

Fakt ten zniweczył cały plan polityki petersburskiej i zarazem naprężył już do najwyższego stopnia stosunek Rosji do Napoleona.

Wojna stawała się nieunikniona, a konieczność jej zacieżyła też na Księstwie Warszawskim, które jako awangarda napoleońska musiało być wystawione na pierwszy ogień. Trzeba więc było podnieść jego siłę zbrojną, wzmocnić arsenał, zaopatrzyć szpitale i magazyny, kuchnie i warsztaty wojskowe.

Przewidując z góry możliwość wojny z Rosją, wygotował był Poniatowski jeszcze w Krakowie cały plan reorganizacji armji, z którym to planem udał się w marcu do Drezna, aby tam uzyskać sankcję królewską.

Fryderyk August przyjął księcia z serdecznością, jaką można mieć tylko dla najbliższych krewnych lub przyjaciół i byłby rad gościć go jaknajdłużej u siebie, ale Poniatowski śpieszył do swych zajęć i uzyskawszy podpis króla, powrócił już z początkiem kwietnia do Warszawy.

Zamiast dotychczasowego trójpodziału legionowego, sformował ks. Józef całe wojsko w dwie wielkie dywizje pod

naczelną władzą Dąbrowskiego i Zajęczka. Całe Księstwo Warszawskie podzielone zostało na cztery okręgi pod dowództwem czterech generałów. Pierwsze dwa okręgi miały główną kwartę w Warszawie i w Poznaniu, zaś drugie dwa w Lublinie i w Radomiu.

W połowie maja wyjechał Poniatowski na spotkanie króla Fryderyka Augusta, który wraz z małżonką i córką Augustą przybywał do Krakowa, aby osobiście objąć w posiadanie obie Galicje i odbyć przegląd nowoorganizowanej armji polskiej. Uroczystość powitania króla saskiego odbyła się w bramie tryumfalnej w Bronowicach, poczem ksiązę Józef eskortował monarchę konno do Krakowa. Z entuzjazmem i uwielbieniem witało miasto nie tyle jednak króla, ile przedewszystkiem ukochanego swego wodza — „niech żyje wybawca nasz ksiązę Józef! Niech żyje bohater z pod Raszyna! Cześć ci i wdzięczność wodzu nasz!“ — brzmiały z różnych stron okrzyki radosne, co słysząc Poniatowski szybko i dyskretnie usunął się poza bramy miasta, aby swoją osobą nie przyćmiewać monarchy wobec nowych poddanych.

Po krótkim pobycie w Krakowie, udał się Fryderyk August do Warszawy, eskortowany również przez Poniatowskiego, który na cześć króla urządził wspaniałą rewję wojsk polskich na polach pod Wolą, następnie pokazał mu ulepszenia zaprowadzone w arsenałach, oraz fortyfikacje w Modlinie. Wszędzie znać było sumienną, ścisłą i wydatną gospodarkę dyrektora wojny; ale też pochłaniała ona sumy olbrzymie i wymagała nakładów ustawicznych, którym nasz kraj mały i ubożuchny wystarczyć nie był w stanie.

Z przyrostem wojska szły oczywiście w górę koszta jego utrzymania, zwłaszcza wobec ciągłego wówczas stanu wojennego. Nic w rynsztunku wojennym nie śmiało być zużyte, uszkodzone a nie naprawione — warsztaty wojskowe pracowały nieustannie, magazyny musiały być wciąż pełne, umundurowanie bez braków i bez zarzutu w szczegółach, a na wszystko nie mógł przecie wystarczyć ów skromny budżet z r. 1807, w którym to roku Poniatowski rozpoczął był swą pracę jako dyrektor wojny.

Najprzykrzejszą też stroną całej działalności księcia ministra było dopominanie się o zapomogi na rzecz armji i jej

potrzeb. Rada Stanu nader skąpo i niechętnie udzielała na te cele funduszków, a to co dawała, zagoryczyła zjadliwą krytyką na temat „rozrzutnej, wielkopańskiej gospodarki tego miłego, kochanego, ale wysoce niepraktycznego księcia ministra.“ Zapewne, że w niektórych szczegółach mogły być i były błędy, bo gdzież ich niema, ale w każdym razie myliła się Rada Stanu i mylił się Sejm, gdy wspólnie krytykowali wojskową gospodarkę księcia, który kontrolując osobiście wszystkie księgi rachunkowe dostosowywał jak mógł skromny budżet wojenny do rzeczywistych potrzeb armji i możliwości kraju.

Zaznaczyć też należy, iż Poniatowski nie brał dla siebie ani grosza ze skarbu państwa, bo obie należne mu pensje, jako ministra wojny i generała dywizji, przekazywał w całości na potrzeby wojska. Pobierał tylko pensję dowódcy korpusu zostającego na żołdzie francuskim. A przecież jego własne stosunki materialne były wprost opłakane, o czem dowodnie świadczyły długi, jakie zaciągał na każdą podróż za granicę: do Drezn, Wiednia, Berlina lub Paryża. W r. 1812 pożyczył był książkę kilkaset talarów na wyprawę do Moskwy, tożsamo w roku następnym, gdy wyjeżdżał z Warszawy na swój bój ostatni — umarł też jak ubogi żołnierz, najuboższy z ubogich, bo pozostały po nim długi niezapłacone.

O ile jednak dawniej kłopoty pieniężne zatruwały księciu niejedną chwilę życia światowego, o tyle teraz, oddany li-tylko służbie wojskowej, nie troszczył się nigdy o swoje sprawy osobiste prywatne; oszczędny aż do skąpstwa dla siebie, baczył jedynie na potrzeby swej ukochanej armji — to była jego troska jedyna, codzienna, a niestety aż nadto uzasadniona. Wprawdzie jak wspomniałam już wyżej, pewna część wojska polskiego została przyjętą na żołd francuski, ale ulga to była nieznaczna, a jakże drogo opłacana przez nas!... Najlepsze, najteńsze oddziały jazdy polskiej ginęły marnie w Hiszpanji przy zdobywaniu twierdz dla Napoleona, który materiałem ludzkim szafował bez miary... Ci zaś, którzy stamtąd powracali, to były już same kaleki z wystrzelonemi oczami, z porywanemi rękami, nogami, które jako do wszelkiej już roboty nie zdolne, musiały być utrzymywane do śmierci z funduszków krajowych — stąd nowy ciężar dla skarbu polskiego i wielce niepożądany uszczerbek w utrzymywaniu całej pozostałej

w Księstwie armji. A tu trzeba było koniecznie wystarczyć na jej potrzeby, bo niedostateczne żywienie żołnierzy, nieregularne wypłacanie żołdu, pociągały za sobą rzecz najfatalniejszą i niejednokrotne wypadki dezercji.

* *

A tymczasem dni pokoju były już policzone — wojna z Rosją nieunikniona. Mocarz ze Wschodu i mocarz z Zachodu szli naprzeciw sobie, aby stoczyć bój śmiertelny, tylko że teraz role były zamienione. Napoleon nie chciał już tej wojny, a przyjąć ją musiał, bo Aleksander czując się zupełnie na siłach parł do walki już teraz otwarcie. Jeżeli zaś nie uderzył dotąd pierwszy, tylko dlatego, że nie miał za sobą Polski. W żaden sposób nie udało mu się przeciągnąć Poniatowskiego na swoją stronę.

Gdy starania Sanguszki spełzły w tej mierze na niczem, wówczas Aleksander napisał do ks. Adama Czartoryskiego z uprzejmą prośbą aby tenże rozmówił się poufnie i stanowczo z Poniatowskim. Natychmiast po odebraniu listu carskiego wyjechał Czartoryski z Puław do Warszawy i pokazał księciu pismo Aleksandra, w którym między innymi stały te dla nas najważniejsze:

„Polska odbuduje się tylko przez przyłączenie jej do Rosji — w zamian za Galicję, Austrija otrzyma Wołoszczynę, część Mołdawji, Dalmację, Tyrol, oraz część Włoch wraz z Wenecją — jeżeli więc Polacy oddadzą się Rosji, to istnienie ich będzie niewątpliwem... Pismo cesarskie kończyło się żądaniem, aby „w razie przychylniej odpowiedzi książę minister zechciał wygotować odpowiednie w tej mierze papiery.“ Aleksandrowi zależało bardzo na owych papierach, które w danym razie mogły być użytkowane stosownie do okoliczności. Nie uzyskał jednak Aleksander nic: ani zobowiązań, ani nawet odpowiedzi na papierze, bo Poniatowski odrzucił ową propozycję; Czartoryski wrócił z niczem do Puław.

Książę Józef znalazł się znowu w położeniu bardzo ciężkiem. Absolutnie nie wypadało wyjawiać tego, co mu zakomunikowane było pod pieczęcią tajemnicy, a z drugiej strony zataić wszystko przed Napoleonem znaczyło temsamem zatra-

cić własny kraj i armję. Trzeba więc było ostrzedz Napoleona i to natychmiast.

Z tej niezmiernie ciężkiej sytuacji wybrnął Poniatowski w ten sposób, że napisał do cesarza ściśle od siebie, nie zdradzając źródła swych wiadomości, a powołując się jedynie na to co sam wywiadowczą drogą uzyskał, przedstawił jasno i szczerze niebezpieczeństwo grożące ze strony Rosji i zakończył list błaganiem o zarządzenie natychmiastowych środków ostrożności dla obrony Księstwa. — „Honorem swoim ręczę, pisał książę, — że plan ofensywy w tej chwili może zajmuje myśl cesarza Aleksandra.“

Na list ten nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi, albowiem Napoleon zlekceważył sobie owo ostrzeżenie, które przypisywał raczej przeczulonej trosce wodza Polaka, aniżeli rzeczywistej potrzebie bronienia się przed Rosją. Zresztą nie tracił cesarz nadziei, że może uda mu się uniknąć tej wojny — a przynajmniej odciągnąć ją do jakiegoś czasu, tego zaś, aby Aleksander miał uderzyć pierwszy, nie przypuszczał nawet.

W daremnem oczekiwaniu na odpowiedź cesarza przeżywał książę dni i noce w śmiertelnej trwodze o granice swego kraju, na które każdej chwili uderzyć teraz mogła mściwa ręka Aleksandra.... Czyż nie było to prostem zuchwalstwem ze strony wodza maleńkiej armji polskiej odrzucać tylekrotnie ofiarowywany mu sojusz z najpotężniejszym państwem w Europie?...

Tak — to było zuchwalstwo, ale honor Polaka nie pozwalał absolutnie łączyć się ze swoim byłym najeźdźcą i katem. Poniatowski nie chciał hańbić ani siebie, ani swego kraju, pomimo, iż wiedział jasno, na co się narażał, gdy odrzucał przyjacielskie propozycje Aleksandra. To też nie poprzestając na liście do cesarza, wysłał podobne ostrzeżenie do Davout'a i do króla Fryderyka Augusta. Gdy atoli z ich odpowiedzi wywnioskował, że wcale jego obaw nie dzielają, a Napoleon milczał uparcie, wówczas książę pojechał do Paryża i tam dopiero na długiem posłuchaniu przekonał cesarza o całej grozie położenia. Natychmiast rozpoczęto olbrzymie zbrojenia we Francji, oraz zarządzono potrzebne środki obrony w Księstwie Warszawskiem. Nie ze strony już Aleksandra, ale ze strony Napoleona należało spodziewać się ofensywy.

Zawiedziony w swych rachubach co do Polski, dwór petersburski zapragnął teraz najściślejszego sojuszu z Berlinem. W nader uprzejmych, serdecznych listach namawiał Aleksander Fryderyka Wilhelma III na podjęcie wspólnej akcji przeciw Francji. W listach tych ani jednym słowem nie wspominał o Polsce — sprytniejszy jednak od Aleksandra król pruski zgadywał powody tego przemilczenia, bo nietajne mu były daremne zabiegi Rosji o osobę Poniatowskiego, — to też złośliwie zapytywał go w odpowiedzi: „A cóż będzie z Polską, którą tyle razy miałeś na oku?“... Pisemnie też zastrzegł się Fryderyk wobec Aleksandra przeciw przyłączeniu Polski do państwa rosyjskiego, a nawet przeciw sojuszowi z nią w razie wojny z Austrią.

Zaś tego właśnie sojuszu z nami pragnął Aleksander za wszelką cenę. Nie przebijając też w sposobach rozwinął energicznie starania w rozmaitych kierunkach, i tak: w magnaterji polskiej, która i bez tego skłaniała się dość chętnie ku Rosji, wśród duchowieństwa polskiego, które odczuwając dotkliwie walkę Napoleona z Kościołem, głosowało jak jeden mąż za sojuszem Polski z Rosją przeciw Francji, — wreszcie wśród generalicji naszej, a mianowicie u Zajączka i Dąbrowskiego jako stałych przeciwników ks. Józefa. — W tej rozbieżności pojęć i poglądów politycznych, jaka panowała wówczas w społeczeństwie polskiem, łatwo było bardzo obalamuwać już nie jednostki, ale całe warstwy narodu, — łatwo było zaprowadzić je na manowce; natomiast jakże trudno było przeciwdziałać i prostować w narodzie to, co paczyły i wykrzywiały wpływy obce, nikczemne, szkodliwe, a silne!

* * *

Poniatowski wyjechał do Paryża z liczną świtą oficerów; towarzyszyli mu w tej podróży książęta: Konstanty Czartoryski i Michał Radziwiłł, oraz szef wydziału wojkowego w ministerstwie wojny. Zaraz nazajutrz po przybyciu do Paryża stawił się Poniatowski na posłuchaniu u cesarza.

Napoleon zasypał księcia pytaniami o stanie rzeczy w Galicji i w Księstwie, oraz o stanie i potrzebach naszej armji. Ks. Józef odpowiadał na nie wyczerpująco, dokładnie i przed-

łożył cesarzowi stos memorjałów wojskowych, które zabrał był z sobą.

Poza tą czysto urzędową wizytą, bywał ksiązę codziennym gościem cesarza, który bardzo dlań uprzejmy, wyróżniał go ostentacyjnie ponad wszelkie formy etykiety dworskiej; całe godziny spędzał z nim na poufnej rozmowie już to w swoim gabinecie, już też w uroczym parku Saint Cloud, letniej swojej rezydencji; polował też z nim często w Fontainebleau, co już dzienniki paryskie podnosiły jako niesłychane wyróżnienie, ile że Napoleon nigdy prawie nie zapraszał cudzoziemców na łowy.

Jako przedstawiciel króla saskiego i polskiego, uczestniczył Poniatowski w ceremonji chrztu małego cesarzewicza. Uroczystość ta odbyła się przewspaniale w katedrze Notre Dame z początkiem czerwca.

Nietylko w pałacu Napoleona, ale i w domach jego rodziny był Poniatowski gościem stałym nader mile widzianym. Murat, Talleyrand, a nawet sztywny Berthier, prześcigali się w uprzejmości podejmowania u siebie „księcia z pod Blachy“, który zresztą wszędzie, gdzie się był tylko pokazał, jednał sobie serce i przyjaźń wszystkich obejściem rycerskim nad wyraz szlachetnem. Ponadto i ze względów politycznych był Poniatowski gościem nader cennym i pożądanym w Paryżu. Jako doskonały rzeczoznawca w zagadnieniach techniki wojennej, a przytem dokładnie świadomy ówczesnej polityki rosyjskiej, mógł oddać Francji nieocenione usługi w przygotowaniach do wojny z Aleksandrem.

Wobec odmowy Poniatowskiego, dwór petersburski przycichnął na razie z zamiarem nagłego ataku na Bonapartego, więc temsamem i Francja i Polska zyskiwały na czasie i mogły spokojniej obmyślać plan akcji obronnej, jeśli już nie zaczepnej. Tu właśnie przydatnym był bardzo Poniatowski, to też choć pobyt jego w Paryżu przeciągał się nadspodziewanie, okazał się jednak bardzo wydatnym i dla obu stron użytecznym jako jeden ciąg aktualnych robót przedwojennych. Ksiązę pracował całymi godzinami wspólnie z cesarzem i francuskim ministrem wojny ks. Feltre, oraz z szefem wielkiego sztabu ks. Neufchatelu. Owocem tych prac były: plan uzupełnienia fortyfikacji Modlina, formacje nowych dywizji konnych dla

Polski, wzmocnienie naszej piechoty o 11 kompanji dodatkowych, oraz pozyskanie dla nich po dwa działa dla każdego pułku.

Francja sposobila się gorączkowo do olbrzymiej wyprawy na Rosję, więc z gabinetu cesarza, gdzie pracował sztab główny, szły do Poniatowskiego codzienne zapytania w różnych doniosłych kwestjach wojskowych. A jednak właśnie w najważniejszej kwestji wniosku jego nie przyjęto, mianowicie na owych naradach z Napoleonem Poniatowski obstawał za wymarszem wojsk na Wołyn, aby z tej strony zaatakować Rosjan. Ten plan, który jak się wkrótce okazać miało, był znakomity, ale cesarz odrzucił go stanowczo.

Przeznaczonem już było ks. Józefowi cierpieć nie od obcych, lecz — swoich. Ostatnie tygodnie pobytu jego w Paryżu zagoryczyły mu dokuczania ze strony Michała Sokolnickiego, tego samego, który w swoim czasie usunięty z urzędowania w Galicji żywił wciąż urazę do księcia ministra; party ambicją odznaczenia się w służbie wojskowej i bezsprzecznie wysoko zdolny, wyjechał był ze Lwowa do Paryża, aby przy boku cesarza wybić się na wysokie stanowisko. Udało mu się też wkraść w łaskę i zaufanie Napoleona, z czego korzystając począł na ostro rywalizować z Poniatowskim; przyszło też między nimi do nader przykrych zatargów, aż wreszcie Sokolnicki wystąpił z armji Księstwa Warszawskiego i przeszedł do napoleońskiej — i tam jako żołnierz i zaufaniec cesarza szkodził księciu niejednokrotnie.

Tymczasem Poniatowski wyrывał się już pilno z powrotem do kraju, bo trzeba było przygotowywać się do wojny z Rosją. Na wyraźne jednak życzenie cesarza, by nie odjeżdżał przed jego imieninami, pozostał jeszcze w Paryżu aż do tego czasu.

Na uroczystość imienin Napoleona zjechali przedstawiciele całej Europy i wówczas to w sali tronowej przy pełnem zgromadzeniu gości, cesarz Francuzów wystąpił jawnie w kwestji polskiej; posła rosyjskiego Kurakina wywołał przed siebie na środek sali i w słowach dyszących gniewem i nienawiścią odskonił mu całą istotę chytrej polityki Rosji: kwestję polską. — „Chociażby — wołał cesarz w pasji — armja wasza obozo-

wała już na polach Montmartre*), ja nie ustąpię ani jednego cala z terytorjum Księstwa Warszawskiego!"

W parę dni po uroczystościach imieninowych, z końcem sierpnia wyjechał Poniatowski z Paryża. Napoleon żegnając go bardzo uprzejmie, osobiście ofiarował mu tabakierę złotą, brylantami sadzoną; wyasygnował też znaczną sumę na zapłacenie wszystkich długów siostry księcia, pani Tyszkiewiczowej.

Powrotną podróż do kraju skierował ks. Józef na Drezno, gdzie zatrzymał się tyle tylko, aby królowi zdać sprawozdanie ze swego pobytu i czynności w Paryżu. Zboczywszy jeszcze do Torunia i Modlina dla skontrolowania robót fortyfikacyjnych, przybył do Warszawy w połowie września r. 1811.

Na księcia ministra zwała się teraz olbrzymia przygotowywająca praca przedwojenna, i nie tylko ciężka, lecz nad wyraz przykra. Trzeba było cały kraj postawić na stopie wojennej, wojsko wyekwipować należycie, zapewnić mu utrzymanie i umundurowanie na cały przebieg wojny, której rozmiarów ani czasu trwania niepodobna było przewidzieć. A tu kraj i skarb wyczerpane były zupełnie.... — Tam Napoleon naglił i wołał o świeżego rekruta, o jak najdalej idące w całym państwie zbrojenia, a tu Sejm stawiał gwałtowną opozycję. Ostre wyrzuty Napoleona o mały postęp w robotach i niezadowolenie Sejmu były kamieniem w biedną duszę księcia, który jako organizator i egzekutor w jednej osobie, musiał ostatni grosz wyciskać z kraju, rekwirować u biednej ludności zboże, bydło, paszę dla koni i wogóle wszystko, co musiało iść na potrzeby armji.

*

*

*

Do wojny z Rosją przyszło ostatecznie z wiosną r. 1812. W pierwszych dniach marca Berthier z rozkazu Napoleona utworzył z trzech dywizji armji Księstwa Warszawskiego korpus V., a ks. Józef otrzymał nad nim dowództwo bojowe. Natychmiast zarządzono koncentrację tych wojsk pod Warszawą.

Ludzie najgienialniejsi popełniają nieraz błędy wielkie, nigdy nie powetowane; tak też i Napoleon zbłądził bardzo rozdrabnianiem armji polskiej na użytkowanie poszczególnych

*) Jedno z przedmieść Paryża.

jej korpusów, zamiast skupiać je w jedną siłę zbrojną. Pod złą też wróżbą rozpoczęły się dla nas pierwsze kroki wojenne, bo ks. Józef zaraz z początkiem wiosny zachorował ciężko, i poza niezbędną korespondencją służbową nie był w stanie pełnić obowiązków dyrektora wojny; a tu trzeba było rozwinąć energiczną akcję wywiadowczą o ruchach nieprzyjaciela, trzeba było gromadzić zapasy żywności na przyjście Wielkiej Armji, stawiać baraki i t. d. i t. d.

Przyszedłszy do zdrowia Poniatowski sporządził testament „na wypadek nagłego zgonu“, w którym cały swój majątek zapisał siostrze swej, pani Tyszkiewiczowej, oraz skromne legaty dla pani de Vauban i kilku członków z rodziny dalszej; poczynił też większe i mniejsze zapisy dla swej służby i dla ubogich miasta Warszawy, zaś konie i broń polecił rozłosować pomiędzy oficerów. Testament kończył się serdecznemi słowy „do ukochanych żołnierzy“ z prośbą, aby jego całoroczną gażę rozdzielili między siebie i przepili wesoło na jego intencję.“

Po ostatecznem załatwieniu spraw przedwojennych w Warszawie, ruszył Poniatowski w pole dnia 4 czerwca 1812.

Pod względem siły liczebnej i bojowego rynsztunku kampanja francusko-polska zapowiadała się świetnie, ale w rozłożeniu poszczególnych komend wykazała odrazu błędy fatalne, zaś jednym z największych był ten, że ks. Józef oddany został pod komendę wielce nieudolnego króla westfalskiego Hieronima, któremu Napoleon oddał był dowództwo prawego skrzydła Wielkiej Armji. Przydzielony do tego skrzydła korpus V. liczył zaledwie 30 tysięcy żołnierza, zamiast dziewięćdziesiąt, a i tej garstki dostarczyło Księstwo Warszawskie z wysiłkiem.

Fatalnem też było, że z trzech dywizji należących do Księstwa Warszawskiego, mianowicie Kniaziewiczza, Zajączka i Dąbrowskiego, ta ostatnia a zarazem najlepsza, została na głym rozkazem cesarza odkomenderowaną od korpusu V. i przeszła pod osobne dowództwo francuskie.

Czy Napoleon nie dość jeszcze ufał zdolnościom księcia Józefa — czy może nie dowierzał jego energii jako wodza naczelnego, nie wiadomo — ale faktem jest, że utrudniał mu jego akcję wojenną, a równocześnie stawiał wymagania ogromne,

tem niesprawiedliwsze, że rozdrabniał jego materiał wojenny rzeczywiście doskonały.

Poniatowski jechał na Pułtusk, Ostrołękę, Nowogród i w końcu czerwca stanął nad granicą rosyjską. Tu zabiegły mu drogę raz jeszcze zakusy Aleksandra, a mianowicie wysłany przezeń pułkownik Toll przybył do księcia w tajnej misji i wręczył mu pismo cesarskie, w którym Aleksander ofiarowywał Poniatowskiemu najwyższe dostojenstwa w Królestwie Polskiem w zamian za porzucenie sztandarów francuzkich. Ks. Józef dał i tym razem odpowiedź odmowną, ale uszanował tę ostatnią propozycję Aleksandra tajemnicą najściślejszą — nie wyjawiał jej do śmierci nikomu; znacznie dopiero później podał ją do wiadomości publicznej jeden z najwybitniejszych dyplomatów rosyjskich ks. Wołkoński.

Przeprawiwszy się przez Niemen, stanął Poniatowski na krótki spoczynek w Grodnie, a potem chcąc ominąć skierowany przeciw niemu silny korpus Bagrationa, podążał drogą okreśną do Nieświeża. Korpus V. posuwał się bardzo wolno, ale nie z winy Poniatowskiego, lecz króla Hieronima, który lubiąc zawsze i we wszystkim wygodę, rozkładał się w drodze często a przydługą kwaterą, a ks. Józef choć niechciał, musiał się do tego stosować; w dodatku wojsko nasze niedostatecznie zaprowiantowane, musiało czynić po drodze zakupy żywności dla siebie i koni. A tu Napoleon oczekiwał księcia niecierpliwie w Wilnie i mocno niezadowolony z powolnego jego marszu, wysyłał raz poraz gońców z listami pełnymi ostrych wymówek, iż księżę myśli więcej o chlebie i żołdzie dla swych rekrutów, aniżeli o ściganiu nieprzyjaciela.

Na tak niesprawiedliwe zarzuty cesarza, odpisał księżę z całą godnością zaznaczając, iż jego wojsko nie żali się na braki, a zapal swój i poświęcenie okazuje niezmiennie.

List zakończył prośbą, aby mu objaśniono jego stosunek względem króla Westfalji, „skoro bowiem J. K. M. zatrzymuje przy sobie korpus V., to moje położenie staje się nadzwyczaj drażliwem przy przedsięwzięciu jakiegokolwiek poruszenia niezawisłe od Jego woli.“

Ta kwestja szczerze i po prostu przez księcia postawiona została też na szczęście rozwiązana pomyślnie. Napoleon znając dobrze nieudolność swego brata, przyzwał go coprędzej do

siebie, a dowództwo nad prawem skrzydłem Armji, a więc i nad korpusem V. powierzył Davoutowi.

Zmiana ta była bardzo pomyślną dla księcia Józefa i jego wojska, albowiem Davout rozumiał taksamo, że aby żołnierz mógł służyć wydatnie, musi być dostatecznie żywiony i płacony. W myśl tego idąc, orędownał skutecznie u cesarza za zaspokojeniem potrzeb korpusu piątego. Obaj ci wodzowie rozumieli się doskonale, a przyjaźń i wzajemne uznanie utrwały się między nimi coraz silniej.

W tydzień po owem zarządzeniu cesarza, przyszło inne, niemniej doniosłe — oto Poniatowski otrzymał dowództwo naczelne nad całym prawem skrzydłem Wielkiej Armji. Powierzenie ks. Józefowi naczelnej komendy samodzielnej, było dowodem zupełnego już zaufania cesarza w jego zdolności wodza i strategika.

Dotychczasowe operacje wojenne Poniatowskiego ograniczały się do krótkich utarczek z nieprzyjacielem, który cofał się ciągle i unikał bitwy otwartej, a gdy i Bagration zdołał ująć także, wówczas ks. Józef ruszył naprzód marszem forsownym do Mohylowa i tu zatrzymał się na postój dłuższy, a to ze względu na wojsko bardzo już z sił wyczerpane. W korpusie V. pojawił się złośliwy skorbut, a to skutkiem ciężkich robót ziemnych około fortyfikacji Księstwa prowadzonych forsownie aż do późnej jesieni. Zima nie wzmocniła sił żołnierzy, bo ubogi kraj żywił ich niedostatecznie, a gdy z nadejściem wiosny wybuchła wojna, trzeba było ruszyć w pole.

Najlepsze, bo starsze i zahartowane już na trudy dywizje oddane zostały do armji francuskiej, a Poniatowskiemu został rekrut świeży, młody, niewzwyczajony do marszów długich, forsownych i to w warunkach rzeczywiście okropnych, nieprzyjaciel bowiem cofając się ciągle, niszczył za sobą wszelkie zapasy żywności — to też szeregi piątego korpusu zaczynały się już przerzedzać w sposób zatrważający. A Napoleon ze zwykłą sobie bezwzględnością naglił o pośpiech w marszu. Kilkunastodniowy postój księcia w Mohylowie tak zniecierpliwiał cesarza, że wydał nagły rozkaz rozwiązania prawego skrzydła i odłączenia oden dywizji Dąbrowskiego. Bolesnie tem dotknięty Poniatowski wyprawił do kwatery głównej swego

adjutanta, Antoniego Potockiego, aby tenże dał świadectwo o ciężkiem położeniu korpusu piątego.

Napoleon przyjął Potockiego bardzo niechętnie i w ostrych, brutalnych słowach zganił dotychczasową działalność ks. Józefa. Gruby ten nietakt ze strony cesarza był prawdopodobnie dziełem niecnego Sokolnickiego, który ciągle pod boki monarchy, kopał dolki pod Poniatowskim w nadziei objęcia po nim komendy naczelnej, do czego w swej nienasyconej ambicji wzdychał oddawna.

Ks. Józef skrócił tedy postój w Mohylowie i pełen ciężkiej troski o wojsko, ruszył w pochód dalszy. Przeprowadziwszy się przez Dniepr, dotarł wreszcie w połowie sierpnia do Wielkiej Armji, obozującej pod murami Smoleńska.

Pierwsze spotkanie z Napoleonem było bardzo przykre. Cesarz zasypał księcia gradem ostrych wyrzutów, a na widok ubytku w żołnierzach uniósł się takim gniewem, że tupiąc nogami wyrzucał z siebie w pasji jakieś słowa bez związku. Nazajutrz dopiero ochłonawszy z gniewu, odbył szczegółowy przegląd wojska i już zupełnie udobruchany wyraził księciu publicznie swoje zadowolenie z całej postawy żołnierza, który acz słaby ciałem i znużony nadrabiał dzielnie miną i zapalem do czynu.

Nazajutrz po rewji wczesnym rankiem nastąpił szturm na Smoleńsk. Po odcięciu dywizji Dąbrowskiego, liczył już korpus V. zaledwie 15 tysięcy żołnierza. Na czele tej garstki Poniatowski poprowadził szturm z niesłychaną brawurą i wreszcie po całodziennnej i całonocnej walce, wdarł się o świcie do twierdzy ze stratą półtora tysiąca ludzi. Tegoż dnia jeszcze znów po odbyciu rewji, cesarz w gorącym przemówieniu do korpusu piątego, podziękował mu za męstwo i własnoręcznie rozdał kilkadziesiąt krzyżów legji pomiędzy najwaleczniejszych. Poniatowskiemu dał publiczne zadosyćuczynienie w głośnem uznaniu jego talentu i usług jako wodza; jakoby przepraszając go za tyle wyrządzonych przykrości, wyróżniał go odtąd stale ponad innych wodzów obejściem pełnem serdecznej poufałości.

Po krótkim wypoczynku w Smoleńsku, trzeba było ruszać dalej, bo lato miało się już ku końcowi, a Napoleon zapowiedział, że układy z Rosją podpisze dopiero w zdobytej Moskwie. Ale znów popełnił błąd rozdrobnieniem armji, za-

miast iść całą siłą. Davout otrzymał rozkaz marszu na Kijów, a Poniatowski i Murat na Moskwę. Księżę Józef na kolanach prosił cesarza aby mu pozwolił iść na Kijów z Davoutem, ale Napoleon odmówił mu tego stanowczo.

Ruszył tedy Poniatowski prostą już drogą ku Moskwie, osłaniając swym korpusem przednie dywizje Murata. W drodze staczał częste potyczki z silniejszym liczbą nieprzyjacielem, zaś niedaleko Borodina, osaczony wraz ze świtą przez oddział jazdy rosyjskiej, ledwo uszedł z życiem, wyrąbując sobie drogę na prawo i lewo.

Po dwudniowych ciężkich, krwawych walkach, wciąż na czele Wielkiej Armji, dotarł Poniatowski do Moskwy dnia 14 września. Zaś stolica jakby wymarła. Opuszczona przez wojsko i mieszkańców, podpalona w kilku punktach tonęła w morzu płomieni...

Postój w Moskwie był niemożliwy, a że Rosjanie cofnęli się znów znacznie, więc trzeba było spieszyć w ich tropy. Doścignął ich książę niebawem i pod Czarykowem stoczył z nimi bitwę krwawą, lecz zwyciężką. — Wszystkie te jednak uśmiechy fortuny były tylko początkiem smutnego końca. Korpus V, wystawiany wciąż na pierwszy ogień, zmalał do czwartej części i po Czarykowie liczył zaledwie 5 tysięcy piechoty, jeden tysiąc kawalerji; artylerja tylko i sztandary pozostały w całości.

A tymczasem straszniejsza od nieprzyjaciela siła nadciągała z powietrza.... siła złowróżbna, śmiercionośna, nie do zwalczania. Przedwcześnie chłodna jesień, zapowiedź rychłej zimy, jęła dokuczać niezahartowanej na wielkie zimna armji. Wojsko i konie marzły strasznie wieczorami i rankami. W nieodpornym już na nie żołnierzu poczęły szerzyć się choroby — o żywność było coraz trudniej.

W niedoli tej całą otuchą i siłą obozu był książę Józef. Trudy i niepowodzenia zahartowały tę duszę szlachetną, jak złoto w ogniu. Umysł nabrał sprężystości, a zmysły czujności. Niedawny tak jeszcze brak pewności siebie, brak szybkiej orientacji i decyzji, który zaszkodził był księciu pod Zieleńcami, teraz, po przebytych walkach pod Borodinem i Czarykowem przepadł gdzieś bez śladu, ustępując miejsca zimnej krwi, rozwadze oraz szybkości ruchów i zwrotów strategicznych. Ner-

wowość i chorobliwa skłonność do depresji duszy rozwiały się mocą przeciwności wojennych, a ich miejsce zajęła zdumiewająca siła woli, wytrzymałość fizyczna i duchowa.

Poniatowski wstawał codzień przed świtem i wojsko spało jeszcze dobrze, kiedy on objeżdżał cały front konno, na wszystko czujny, na wszystko baczny. Często po kilkanaście godzin na siodle, bez jedzenia i wypoczynku, krzepił w poczuciu obowiązku słabe, znużone wojsko. Dla siebie twardy i bezlitosny, zaś dla żołnierzy ojcowsko dobry i zawsze pogodny.... O tem, co się działo w jego duszy, wiedziała tylko niejedna noc bezsenna, kiedy skulony na swem łóżku polowem płakał nad ukończanym korpusem piątym.

A tymczasem rosyjska armja zdrowa i silna, operując coraz śmielej, przeszła w październiku do ofensywy i wydała Wielkiej Armji bitwę pod Woronowem.

Straszny bój trwał przeszło dwanaście godzin i tylko jedynie Poniatowski bystrą orientacją i szaloną odwagą uchronił skrzydło Murata od zagłady, ale za to jego korpus nie liczył już po bitwie ani czterech tysięcy ludzi.

O dalszem posuwaniu się w głąb Rosji nie mogło być mowy ani myśli. Nieprzyjaciel nie tylko się nie cofał, ale nawet począł atakować zajadłe; dla Wielkiej Armji pozostawał już jedynie odwrót tem rozpaczliwszy, że bardzo spóźniony — i nastały teraz dni prawdziwie męczeńskie.... — Nieszczęśliwe wojsko posuwało się wolno wśród śnieżnych zadymek i rosnącego mrozu, ścigane i ostrzeliwane przez nieprzyjaciela, dziesiątkowane przez głód i choroby.

W tym okropnym odwrocie, osłaniające Armję Wielką szeregi polskie topniały w oczach. Na domiar złego, Poniatowski w krwawej potyczce pod Wiazmą upadł z koniem, zwichnął nogę i tak silnie stłukł kolano, że nie mógł już dosiąść konia i musiał zdać dowództwo najstarszemu po sobie rangą Zajączkowi; dalszą podróż odbywał już w karecie wraz z ciężko rannym adjutantem swoim Arturem Potockim. Przybywszy do Smoleńska, Poniatowski wyprosił w sztabie głównym złuzowanie resztek korpusu piątego, który liczył już tylko 600 ludzi pieszych, 300 jezdnych i 45 armat prócz artylerji pułkowej.

Z Napoleonem spotkał się Poniatowski dopiero na zamarzłym stawie pod Krasnem. Cesarz z trudem, bo niewpraw-

nie posuwał się pieszo po lodzie; widocznie rad był spotkaniu z księciem, bo wstąpiwszy na stopień karety długo z nim rozmawiał uprzejmie i poufnie.

W końcu listopada przybył Poniatowski nad Berezynę i cudem przeprawił się przez jakiś stary most tak natłoczony wojskiem, wozami i bagażami, że trzeszcząc co chwilę groził załamaniem. W tym ścisku, a było to w noc ciemną i wichrowatą, utracił ks. Józef prawie wszystkie swoje bagaże, sam zaś wyczerpany zupełnie z głodu, zimna i niewygód, dowlókl się z wysiłkiem do Wilna, gdzie zatrzymał się przeszło tydzień, aby choć trochę wypocząć i poczynić zarządzenia najniezbędniejsze. Zdrowszy już na nogę, był jednak tak osłabiony febrą i gorączką, że nie mógł jeszcze objąć służby ani komendy.

W połowie grudnia stanął wreszcie w Warszawie i zamieszkał pod Blachą. W kilkanaście dni potem nadciągnęły niedobitki korpusu piątego: kilkudziesięczna garstka ludzi słaniających się na nogach, obdartych i wynędzniałych, ale z wszystkimi sztandarami na połamanych drzewcach.... Całe miasto wyległo na ich spotkanie z otwartymi rękami, kieszeniami i jadłem, — każdy pragnął ich przyjąć i gościć u siebie, ale oni nie chcieli zatrzymać się u nikogo... — „My do księcia dyrektora! — my do naszego księcia!“ — wołali i dopiero pod Blachą stanęli gromadą. Na widok tych biedaków rozplakał się książę głośno i zabrawszy ich do siebie zajął się nimi najtroskliwiej.

Nie należało jednak poddawać się ani chwili przygnębieniu ducha, bo trzeba było rozejrzeć się w położeniu, trzeba było zebrać wszystkie siły i nową energję do pracy w kraju.

Przegranie wojny z Rosją ściągnęło na Księstwo Warszawskie klęskę nie tylko militarną, ale i polityczną, przekreśliło jego byt, a co najgorsza, zachwiało jego rządem, zachwiało jego duchem narodowym. Cały kraj stracił znów równowagę, jaką z takim trudem wypracował był w nim książę Józef, — stracił ją, bo z nikąd już nie widział dla siebie ratunku.... Cesarz Francuzów pobity, upokorzony i jakoby jakiś włóczęga przegnany wraca oto pieszo, w podartem odzieniu do Francji, — więc temsamem i sprawa polska przepadła! W kraju niema już prawie wojska, skarb pusty, a więc — co?... Kapitulować

chyba dobrowolnie — nie czekać, aby nas do tego zmuszono armatami.

W ślad za pierwszą wieścią o klęsce wkradły się zaraz do Warszawy tajemne, ciche zachęty do kapitulacji i codziennie szersze zataczały kręgi. Upęłnomocniona przez króla saskiego władza naczelna Księstwa Warszawskiego spoczywała w rękach Rady Ministrów. Niektórzy z nich tędzy głowę, ale charakterem słabi, odrazu skwapliwie dali posłuch owym zachętom kapitulacyjnym, które rzeczywiście płynęły z kwatery rosyjskiej — byli to: minister skarbu Matuszewicz i minister spraw wewnętrznych Mostowski; obaj za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego wysłali do cara Aleksandra pismo nie urzędowe lecz ściśle poufne, nie z prośbą, ale raczej z zapytaniem, czy nie byłoby wskazaniem teraz właśnie zawiązać między Polską a Rosją silnego węzła przyjaźni i braterstwa?....

Pismo zawierało obszerny projekt złączenia Litwy z Polską, aby bez wcielenia tych ziem do Rosji oddać je pod protekcję Aleksandra. Państwo polskie zatrzymałoby swoją dotychczasową konstytucję i administrację krajową, miałoby własną, przynajmniej stutysięczną armję stałą, wolność religji, języka, handlu i przemysłu, rządziłby zaś niem namiestnik lub wicekról imieniem cesarza wszech Rosji i t. d.— Oczywiście Matuszewicz i Mostowski działali tu w tajemnem porozumieniu z całą Radą Ministrów, — nie wiedział tylko nie o tem najgłówniejszy przedstawiciel rządu Księstwa Warszawskiego, jego minister wojny, książę Józef, bo jak wskazywała data pisma, wówczas, gdy ministrowie porozumiewali się z Aleksandrem, to on znajdował się jeszcze po tamtej stronie Berezyny.

* * *

Poniatowski wyczuł odrazu nowy nastrój, jaki za powrotem zastał w Warszawie; zrozumiał go aż nadto dobrze, to też z całą energją począł przeciw niemu działać.

Zdawszy przed Radą ministrów sprawozdanie z wyprawy francusko-polskiej na Moskwę, zajął się natychmiast organizacją siły zbrojnej w kraju. Zarządził obwołanie pospolitego ruszenia przez Konfederację generalną i objął nad niem regimendarstwo. Od króla saskiego otrzymał też pełnomocnictwo

do podjęcia nadzwyczajnych przygotowań wojennych, więc przedewszystkiem rozpiął pobór żołnierza linowego, gdyż na wynik pospolitego ruszenia, do którego z zasady nie miał zaufania nie liczył i tym razem. Jakoż i słusznie, albowiem dało ono zaledwie paręset jeźdźców i to niezdolnych do służby w polu; natomiast pobór rekruta dostarczył już w paru tygodniach kilkanaście tysięcy ludzi, co na razie dało krajowi podstawę zbrojną, nakazującą milczenie kuszącym do kapitulacji podszeptom.

Kłęska sprzymierzonej armji napoleońskiej sprowadziła za sobą niezwłoczne przeobrażenie polityki w Europie, która teraz ręka w rękę z Rosją poczęła układać wspólną ofensywę przeciw Francji. Przed wyprawą na Moskwę wojska austriackie miały za zadanie wspomagać Poniatowskiego osłanianiem Księstwa Warszawskiego przed napadem Rosjan. Teraz jednak dowódca korpusu austriackiego, a zarazem dawny z czasów wiedeńskich jeszcze przyjaciel ks. Józefa, feldmarszałek Schwarzenberg, otrzymał z Wiednia tajne wskazówki, na mocy których rozpoczął zaraz działać, aby Księstwu i Warszawie uniemożliwić wszelką obronę. Więc już z początkiem stycznia r. 1813 wycofał z granic Księstwa cały swój korpus trzydziestotysięczny, a następnie wszedł w poufne rokowania z posłem rosyjskim Anstettem. Gdy obaj porozumieli się już dostatecznie w kwestji wycofania korpusu austriackiego aż za Pilicę, wówczas Schwarzenberg przybył do Warszawy i oświadczył Poniatowskiemu, że wobec zbliżającej się już do granic Księstwa 180-tysięcznej armji rosyjskiej, on nie jest w stanie osłonić go swym korpusem i wycofuje się do Galicji.

Książę Józef wiedział jednak jak rzeczy stały istotnie; dokładnie poinformowany o ruchach nieprzyjaciela z tej strony wiedział, że zbliżał on się rzeczywiście ku granicom Księstwa, ale nie ze 180-tysięczną armją, lecz z naprędce sformowaną, bardzo lichą uzbrojoną awangardą trzydziestotysięczną, która mogła być bardzo łatwo rozbitą przez polskie i austriackie wojsko Księstwa.

To też w odpowiedzi na wykrętne oświadczenia Schwarzenberga Poniatowski uniósł się gniewem i cisnął mu w twarz obelgę, że postępowanie jego jest nikczemne, podłe... Miało przyjść nawet między nimi do pojedynku, ale Schwarzenberg

umknął copędzej do swej kwatery, gdzie podpisał ostatecznie umowę z Anstettem, a następnie wycofał się spiesźnie poza Wisłę i Pilicę i już z poza granic Księstwa, upoważniony przez Wiedeń, wysłał do Warszawy pismo urzędowe, adresowane już nie do ks. Józefa, lecz do Rady Ministrów. W piśmie owem zawiadomił ich krótko, iż odstępuje od sprawy bronienia Warszawy, która najlepiej uczyni, gdy się podda Rosji.

Rada Ministrów przyjęła pismo Schwarzenberga ze skrytem zadowoleniem, albowiem taki obrót rzeczy odpowiadał ich skłanianiom się do kapitulacji. Wstrzymywani w tem dotąd przez gorącą opozycję ks. Józefa, teraz, wobec faktu, że stolica obronić się nie może, wystąpili już śmiało i głośno przed Poniatowskim i wyłożyli mu całą beznadziejność dalszego oporu. Najszczersi przyjaciele księcia naciskali go o wydanie odpowiednich zarządzeń, ale ks. Dyrektor nie dał się przekonać ani nakłonić do tego, przed czem wzdrygał się jego honor żołnierza-Polaka. W odpowiedzi na obawy ministrów zażądał natychmiastowej ewakuacji Rządu z Warszawy. Nazajutrz rano Rada Ministrów wyjechała do Piotrkowa — wyruszyło też i wojsko w sile ośmiu tysięcy ludzi, a wreszcie sam książę Józef dnia 5 lutego 1813 opuścił stolicę Księstwa.

Baczny i czujny na każdy krok nieprzyjaciela, wolnym, ostrożnym marszem na Piotrków i Częstochowę przybył Poniatowski do Krakowa. Tu wśród warunków ciężkich, wprost rozpaczliwych pracował przez parę miesięcy nad organizacją świeżej siły zbrojnej.

Praca ta beznadziejna, bo przedłużająca tylko agonję naszej ojczyzny, była najeżona cierniami, których nie oszczędzali księciu ani obcy, ani swoi. Austriacy osaczyli go siecią szpiegostwa i intryg, paraliżując i bez tego trudny pobór rekruta, zaś swoi zamęczali księcia narzucaniem mu swych wywodów politycznych, które stale zmierzały do jednego celu: poddania się Rosji.

Adam Czartoryski miał w Krakowie swoich pośredników nader wymownych, jak: Zamoyscy, Szaniawski, radca stanu Linowski i ci usiłowali nakłonić księcia, aby oddał kraj pod potężne a tak przecie życzliwe berło rosyjskie.

Na poparcie próśb swoich przedłożyli mu własnoręczne pismo Aleksandra do Czartoryskiego, w którym tenże radził,

„aby rząd polski pozostał spokojnie w Warszawie, z liczbą wojska o ile tylko można jaknajmniejszą, a naród nie będzie tego żałował.“

Te ustawiczne i bez wątpienia w dobrej wierze czynione nalegania strwożonych o swój kraj rodaków, godziły w duszę księcia boleśnie, bo on poza ich słowami wyczuwał to, czego oni głośno wyrazić nie śmieli — wyczuwał straszny zarzut, iż on uporem swym skazuje naród i wojsko na zagładę.

Przeżywał też teraz chwile tak straszego przygnębienia, tak strasznej rozterki ducha, że często przychodziła mu myśl o samobójstwie, jak świadczą o tem listy pisane do siostry. Poniatowski zdawał sobie z tego sprawę, że jego kraj wpadł w położenie bez wyjścia i trzepoce się w niem jak ptak złapany w sidła — czuł i rozumiał, że już nie wymknie się z tej matni, a choćby nawet wyleciał z niej na chwilę, to go znów złapią i zamkną do niewoli, z której już wyjścia nie będzie. Nie łudził się też Poniatowski co do Napoleona, który dla Polski nie mógł już nic zdziałać, ile że sam chwiał się na swoim tronie. Gwiazda jego gasła widocznie i nie rozbłyśnie już może nigdy.... Tak — ale Poniatowski rozumiał i czuł to niezbiecie, że Napoleon o ile Polski nie odbuduje, to w żadnym razie nie będzie się łączył przeciw niej z jej wrogami, i do jej zguby, gdyby ta nastąpić miała nie przyłoży ręki nigdy, tak jak to czyniła w tej chwili obłudna, chytra Austria do spółki z Rosją.

Poniatowski miał już w ręku dowody przeciw Austrii, a w przyjacielskich pismach Aleksandra widział od początku fałsz i grę podstępną. Szlachetnym instynktem wyczuwał zgubę dla swego kraju tam, gdzie Rada ministrów i cała Warszawa szukały ratunku i ocalenia. I nie mylił się książę w swych podejrzeniach — równocześnie bowiem z przymilnemi propozycjami Aleksandra, toczyły się między Petersburgiem a Wiedniem tajne rokowania o przeprowadzenie przymusowego rozbrojenia i rozpędzenia wojska polskiego. O tych ostatnich układach nie wiedział jeszcze Poniatowski, ale i bez tego miał już dla siebie dość powodów słusznych, aby nie hańbić siebie i swego kraju. Podłością byłoby zdradzać i opuszczać w potrzebie przychylnego sobie sojusznika, gdy ten poniósł klęskę; zaś hańbą byłoby wchodzić w układy z jego i swoim własnym

wrogiem i to z wrogiem nie otwartym, lecz podstępny i zdradzieckim. Raczej zginąć z honorem, aniżeli żyć z piętnem hańby. Taką odpowiedź dawał Poniatowski stale swym doradcom, a pozatem nie mogąc nic na razie przedsięwziąć, wycze kiwał dalszych ewentualności.

Zaś położenie nasze pogarszało się codziennie. Pod Krakowem stał „sprzymierzeńczo-posiłkowy“ korpus austriacki pod wodzą feldmarszałka Frimont. I otóż ponowiła się ta sama gra, jaką wobec Księstwa Warszawskiego odegrał był Schwarzenberg — mianowicie Frimont wszedł w rokowania tajne z tymżesamym Anstettem i w końcu marca zawarł z nim umowę, mocą której Rosjanie mieli rzekomo uderzyć na Poniatowskiego, a równocześnie on wycofa się poza Wisłę. I znowu ks. Józef otrzymał deklarację Frimonta, dosłownie takąsamą, jak niedawno od Schwarzenberga. Austriacy ulotnili się ze swych stanowisk, a temsamem Księstwo Warszawskie i Galicja ujrzały się bezbronne, otwarte na oścież dla armji rosyjskiej.

Jakoż do granic naszych zbliżał się już generał Sacken z wojskiem o 3 dywizjach piechoty, 8 tysiącach jazdy i 60-ciu działach, a posiłkowały go jeszcze cztery pułki pruskiej piechoty. Na to Poniatowski miał zaledwie 14 tysięcy świeżego rekruta, 20 armat i amunicji tyle, że nie mogła wystarczyć ani na pół dnia boju. Gdy zatem o stawianiu oporu i mowy być nie mogło, postanowił książę dyrektor wycofać się ostrożnie poza Kraków i podążać dalej na zachód, aż do połączenia się z armją Napoleona.

Tym razem jednak rzecz była o wiele trudniejszą aniżeli wówczas przy ewakuacji z Warszawy, bo teraz trzeba było przechodzić poprzez „sprzymierzone“ wojska austriackie. Na domiar złego i król saski odbiegał Poniatowskiego, bo po klęsce napoleońskiej wszedł w układy z dworem wiedeńskim i zobowiązał się wydać trójprzymierzu Księstwo Warszawskie, aby tylko uratować Saksonję, po którą wyciągały się już chciwe ręce Prusaków. Jakoż rokowania te zakończyły się w kwietniu umową sasko-austriacką, na mocy której Austrija pozwo liła wprowadzić na przemarsz korpusu polskiego, ale nie masowo, lecz w drobnych, o jeden dzień drogi oddalonych oddziałach i zupełnie bez broni; taki pochód żołnierzy, zdanych na łaskę i nielaskę Austriaków, równał się zgubie. Żaden chyba wódz

nie znalazł się w położeniu tak strasznem i beznadziejnem, jakie nastąpiło teraz dla Poniatowskiego. Scigany przez Rosjan, opuszczony przez własnego monarchę i zagrożony rozbiem przez Austriaków.....

Poniatowski znalazł się na rozdrożu, które w każdym razie prowadziło do zguby — zaś na głowę walił mu się równocześnie krzyżowy ogień ciągłych a rozbieżnych zachceń ze strony rodaków, i tak:

Pewnego dnia przybył do księcia z Warszawy zakonnik Bernardyn z prośbą od „patryotów“, aby książę dyrektor bez oglądania się na Francję powrócił do stolicy i tam zorganizował bezzwłoczną obronę Księstwa. W parę dni potem otrzymał książę Józef pismo od Czartoryskiego z błaganiem o zawarcie tajnego rozejmu z Rosją, a w każdym razie o pozostanie raczej w Krakowie; nie godzi mu się bowiem żadną miarą narażać wojska na zagładę z rąk Austriaków. Pismo owe zakończył Czartoryski „poręczeniem“, że cesarz Aleksander gotów jest każdej chwili do przyjacielskich układów z Polską.

Ze wszystkich nacisków „patryotów“, te od Czartoryskiego były dla księcia Józefa najprzykrejsze, bo raz, że zmuszony był sprzeciwiać się człowiekowi, którego osobiście szczerze kochał i považał, a powtóre, że prośba ks. Adama była wyrazem prośby całego narodu polskiego, dla którego on, jego wódz, gotów był oddać życie każdej chwili.

Przybył też do Krakowa dobry przyjaciel księcia Józefa, Antoni Radziwiłł i razem z Zamoyskim, Mostowskim i Stanisławem Potockim prosił księcia usilnie jeśli już nie o poddanie się Rosji, to przedewszystkiem o wycofanie się ze służby u Napoleona, z którym sojusz byłby teraz nietylko bezowocnym, ale wprost zgubnym dla sprawy polskiej.

Wszystkie te jednak prośby i propozycje pozostały bezskuteczne, albowiem nie był to już ten dawny książę dyrektor słabego ducha i chwiejnej decyzji, lecz mąż z wolą niezłomną, z duszą jak stal zahartowaną w ogniu przeciwności i krzyżów, jakie dźwigał nieustannie. Odmówił więc i tym razem i nie na razie nie postanowiwszy, argumentował w myśli: jeżeli pomaszeruje na Zachód, to Austriacy zniszczą mu wojsko doszczętnie, a gdy pozostanie w Krakowie, to również zgubi je bez ratunku, — jeśli zaś powróci do Księstwa z tą garstką żoł-

nierzy, jaka mu jeszcze pozostała, Rosjanie wezmą jego powrót za zaczepkę, wkroczą w granice i oczywiście obejmą państwo w posiadanie.

Z tych trzech punktów wyjścia wybrał Poniatowski ten, który jakie takie dawał wyjście, a więc wymarszu na Zachód; wszedł tedy w układy z Frimontem, który widocznie ujęty szlachetnem, pełnem taktu i godności pismem księcia, poczynił mu znaczne udogodnienia w warunkach, a mianowicie:

W myśl życzenia Poniatowskiego przemarsz jego wojska odbędzie się jednym ciągiem bez żadnej przerwy w oddziałach, zaś artylerja pójdzie z wszystkimi armatami, kawalerja z całą bronią, a nawet tę część karabinów, której piechota nie zdoła zabrać w marszu, wolno będzie księciu przewieźć na wozach pomiędzy kolumnami. Honorowi żołnierza polskiego stało się więc zadość i Poniatowski postanowił też wyruszyć bez zwłoki.

Tymczasem przyszło mu jeszcze przedtem stoczyć przykrą utarczkę z Radą Ministrów. — Po wyjeździe Radziwiłła z Krakowa, a pod nieobecność księcia, który wyjechał był na jednodniowy przegląd wojska, Rada Ministrów rozgoryczona jego stałą co do ich planów opozycją, uchwaliła między sobą, że wojsko polskie zostanie w okolicy Krakowa i spróbuje wystąpić przeciw Austryjakom zaczepnie, zaś po zmierzeniu się z nimi wycofa się dopiero wówczas, gdyby siły nieprzyjacielskie okazały się przeważające. Uchwała ta, a raczej absurdum, zapadło jednogłośnie, a Poniatowski dowiedział się o nim dopiero po powrocie z rewji. Natychmiast zwołał posiedzenie ministrów i ostro napiętnowawszy ich dziecinną lekkomyślność, zaprotestował przeciw niej stanowczo.

— „Nie idzie mi tu o zlekceważenie mojej osoby — mówił książę z goryczą — lecz o zachowanie tej jedynej garstki żołnierza, jaką jeszcze posiadamy, od narażenia go na zmarnowanie bez żadnej dla Ojczyzny korzyści“. — Oświadczył też ministrom, że nieodwołalnie obstaje za połączeniem się z armją napoleńską.

Chcąc niechcąc musiała tedy Rada Ministrów odwołać powziętą uchwałę, a postanowić wycofanie wojsk poza Wisłę, w kierunku wskazanym przez naczelnego wodza.

Z tem wszystkiem jednak, gdy opozycja czynna na nie się już nie zdała, ministrowie gnębili księcia dalej oporem

biernym, milczącym, a niemniej dotkliwym — wreszcie, jeden po drugim, co najzdolniejsi, a jemu najbliżsi podali się do dymisji, i tak: wiceregimentarz Eustachy Sanguszko pożegnał księcia pierwszy, a za jego namową Kniaziewicz i pułkownik Konstanty Czartoryski wystąpili ze służby wojskowej. Następnie usunęli się: Zamoyski, Mostowski i Matuszewicz, a wkrótce potem Chłopicki, Chłapowski i wielu innych z najznakomitszej warstwy społeczeństwa naszego.

Księżę dyrektor pozostał sam z garstką żołnierzy.... Wokoło siebie widział pustkę — opuścił go bowiem własny król, opuścili go najlepsi, bo najtężsi głową i sercem obywatele kraju. Napoleon też nie dawał o sobie żadnych wieści ani rozkazów, tak, że księcia nękała wciąż wątpliwość, czy cesarz nie zgani go za wymarsz z Krakowa. A przecież był to jedyny dla nas jeszcze punkt wyjścia z honorem, to też Poniatowski nie odstępując ani na chwilę od powziętej decyzji, postanowił opuścić w pierwszych dniach maja Kraków i na Saksonję maszerować ku Wielkiej Armji.

W dniu wymarszu, o świcie, przybiegł jeszcze do księcia Linowski z ostatnią już prośbą, aby tenże nie opuszczał Krakowa, lecz wdał się w układy z dworem petersburskim, bo inaczej siebie, wojsko i kraj zgubi. Poniatowski w odpowiedzi pokazał mu leżącą przy łóżku broń nabitą: — „Widzisz — rzekł — te pistolety?... Dziś w nocy miałem je dwa razy w rękę, bo chciałem sobie w łeb strzelić, aby raz wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinację: nie odstąpię Napoleona, a w układy z Rosją nie wejść póki życia“.

W tej determinacji, w tej niezłomności woli, jaka cechowała teraz każdy krok, każdy czyn księcia Józefa, skryształizowała się szlachetna jego dusza najpiękniej, najwznioslejš. Ten rycerz bez skazy stawał się w tej chwili jedynym kraju swego obywatelem, który z gruzów jego sił materialnych wynosił ocaloną siłę moralną, a więc to, czego żadnemu na świecie państwu pod zbrodnią utracić nie wolno.

Tymczasem postanowiony już wymarsz z Krakowa wstrzymały jeszcze wieści nadeszłe z placu boju. W pierwszych dniach maja armja francuska starła się z rosyjsko-pruską i odniosła nad nią walne zwycięztwo pod Lützen. Natychmiast po wyniku bitwy wyruszył Sokolnicki z pismem cesarskiem do

Poniatowskiego. Napoleon bowiem, zaniepokojony zbliżeniem się Fryderyka Augusta do Austrii, chciał coprędzej dowiedzieć się o duchu i usposobieniu dla siebie Polaków w Księstwie i w Galicji; w liście do Poniatowskiego nie ukrywał obawy na tym punkcie, ile że powodów do zaniepokojenia miał zadożyć. O tem, co zaszło w najbliższem otoczeniu ks. Józefa, wiedział już dokładnie, a nawet z przesadzonymi dodatkami. Ponadto dwór austriacki, któremu udało się nader sprytnie pochwycić tajną korespondencję pomiędzy Warszawą a Aleksandrem, zakomunikował ją coprędzej anonimowo Napoleonowi. Następnie doszła do jego wiadomości podpisana już w Wiedniu konwencja sasko-austriacka względem przemarszu rozbrojonego korpusu polskiego. Wiadome też było cesarzowi pismo Fryderyka Augusta, upoważniające księcia Józefa do zawarcia rozejmu z Rosjanami.

To też po bitwie pod Lützen, pierwszą myślą Napoleona było wyprawić człowieka zaufanego do kwatery ks. Józefa. Sokolnicki zastał Poniatowskiego w Podgórzu pod Krakowem, a wojsko było już gotowe do wymarszu. W piśmie cesarskiem stał rozkaz, aby książę dyrektor niezwłocznie ruszył do Księstwa Warszawskiego i tam postarał się o wywołanie powstania, gdyż „Francuzi wkrótce będą nad Wisłą“. Równocześnie Frimont otrzymał od Napoleona list z poleceniem podjęcia ofensywy ze swym korpusem posiłkowym. Oczywiście Frimont dał Sokolnickiemu odpowiedź wykrętnie odmowną, zaś Poniatowski wstrzymał na razie wymarsz wojska z Krakowa.

Położenie, w jakim znalazł się teraz książę dyrektor, było nader szczególne, było jednym znakiem zapytania: co począć?... — Oto król saski upoważnia go do zawarcia rozejmu z Rosjanami, — Napoleon rozkazuje mu zorganizować zbrojne powstanie w Polsce, — Rada Ministrów i Czartoryski proszą go o pozostanie w Krakowie, — zaś w przekonaniu Poniatowskiego każdy z tych punktów niby wyjścia dla nas, prowadził do jednego i tego samego wyniku: do kapitulacji przed Rosją, albowiem powstanie Księstwa nią się tylko skończyć mogło, zaś dalszy pobyt w Krakowie bez oparcia o Austriaków zakończyłby się również wcześniej czy później rozbiem wojska przez Rosjan i to nawet bez walki — a zdać się na łaskę i niełaskę swego wroga?... Nie! — raczej już zginąć z hono-

norem, aniżeli żyć bez niego. Ani resztki swego kraju, ani resztek swego wojska nie odda Poniatowski dobrowolnie.

Tak myśląc i czując nieodwołalnie, głuchy już na wszelkie rozkazy, prośby i wyrzuty, ruszył księżę w drogę ku Wielkiej Armji.

Długi, bo kilkutygodniowy pochód przez Śląsk, Morawy i Czechy do Saksonji był bardzo ciężkim, a nawet niebezpiecznym, od początku bowiem aż do końca ujawniała się tu zła wola Austrjaków na każdym kroku. Szczególniej ciężko było na Morawach, bo tamtejszy gubernator, arcyksiążę Ferdynand, tensam, który przed czterema laty zajął był Warszawę, zapragnął teraz mścić się za Raszyn i stale odmawiał Poniatowskiemu żywności dla wojska i koni. Czem tylko mógł, szkodził mu na każdym kroku. Za jego iniejatywą i wpływem usiłowano zdemoralizować odosobniony korpus polski, a nawet podmawiać go do dezereji — i doszło do tego, że księżę dyrektor zmuszony był kazać rozstrzelać paru opornych w marszu żołnierzy.

Wreszcie na połowę czerwca stanął Poniatowski w Zittau i tu dopiero znalazł się w otoczeniu sobie życzliwym, przyjaznem. Magistrat miasta powitał go gremjalnie, a ludność okoliczna serdecznie, wprost owacyjnie. Starszyna, młodzież i dzieci cisnęli się tłumnie do polskiego wodza, jakoby do swego najmilszego, bliskiego sercu gościa, a każdy niósł co mógł w darze dla niego i dla jego wojska.

Strudzony długim marszem, osłabiony głodem i niewygodami korpus polski, bardzo już potrzebował wypoczynku, to też księżę Józef rozłożył się w Zittau kwatery dłuższą, zwłaszcza, że pomiędzy stronami wojującemi nastąpiło kilkutygodniowe zawieszenie broni.

Czasu tego użył Poniatowski na pracę około reorganizacji i wyekwipowania swego wojska. Korpus polski liczył teraz niespełna 14 tysięcy żołnierza i 7 tysięcy koni. Tu na gościnnej ziemi saskiej, nie trudno już było czynić zabiegi o świeże dlań umundurowanie i amunicję, bo magazyny drezdeńskie dostarczyły ich najchętniej. Po załatwieniu tej sprawy wyjechał Poniatowski do Drezn, a to dla widzenia się z Napoleonem.

Cesarz w myśl wydanych na ręce Sokolnickiego rozkazów, nie spodziewał się zgoła ujrzeć księcia w tych stronach i nawet w przewidywaniu rozbicia lub dezercji korpusu polskiego, sformował już był inny pod wodzą Dąbrowskiego. To też przybycie księcia Józefa do Saksonji było dlań niespodzianką i widocznie bardzo miłą, bo przywitał go serdecznie, z nieukrywaną radością. Zaraz też dekretem z ostatnich dni czerwca, nadał korpusowi polskiemu miano ósmego, a jego wodzowi tęsamą rangę, co marszałkom Francji.

Odtąd cały wogóle stosunek cesarza do Poniatowskiego ustalił się w najlepszem tego słowa znaczeniu. Do niedawna jeszcze tak względem niego nierówny, nieufny i niesprawiedliwy; poznał się Napoleon wreszcie na tym mężu bez skazy, który nietylko tytułu wodza swego narodu, ale królewskiej korony był godzien.

*

*

*

Po upływie rozejmu Austria przystąpiła już otwarcie do koalicji przeciw Francji. Obie strony podjęły znowu kroki nieprzyjacielskie, a polski korpus VIII. zajął postereunek najcięższy, bo najwięcej narażony. Nastąpiła bitwa pod Lobau, bardzo krwawa, ale nierozstrzygająca, a potem drobne utarczki mniej lub więcej dla Wielkiej Armji pomyslnie. Nacierające wciąż masy Austriaków cofały się raz za razem, odpierane przez ks. Józefa, który jak zwykle osłaniając wojskiem swem boki Wielkiej Armji, czynił bohaterskie wysiłki, aby wroga trzymać w oddaleniu. Przewaga Austriaków była ogromna, więc Wielka Armja musiała odstępować krok za krokiem wstecz, aby nie popaść w oskrzydlenie i tak powoli dociągała pod Lipsk, a więc do punktu, w którym miało przyjść do wielkiej bitwy narodów, do bitwy rozstrzygającej.

Poniatowski ze swoim korpusem stanął na przedzie prawego skrzydła Wielkiej Armji, mając za sobą łożyska moczarowate rzek Pleissy i Elstery, a więc oczywistą zgubę w razie odwrotu — narażony zaś był na pierwsze i najgroźniejsze uderzenie wroga, który od Czech nadciągał w olbrzymiej sile dwóch sprzymierzonych armji.

Dnia 15 października o świcie, Napoleon odbył przegląd prawego skrzydła armji, poczem w serdecznem przemówieniu

do Poniatowskiego, podniósł głośno wobec wojska jego znakomite zasługi jako administratora i jako wodza, który „we wszystkich bitwach okrył się chwałą.“ W uznaniu tych jego zasług zamianował księcia marszałkiem Francji. Wówczas wojsko sprezentowało broń, a wszystkie sztaby stawily się przed polskim wodzem, winszując mu niebywalej dotąd dla cudzoziemca nominacji.

Poniatowski przyjął ten zaszczyt z godnością i zresztą bez wrazenia; ta ostatnia łaska cesarska była mu widocznie dość obojętną, skoro w każdym już po nominacji raporcie podpisywał się jak przedtem: generał wódz naczelny korpusu VIII.

Nazajutrz przez cały dzień zostając pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela, trzymał się książę dzielnie i chociaż ranny kulą karabinową nie ustąpił ani na krok ze swego stanowiska, a nawet wziął do niewoli jednego z generałów austriackich — straty jednak poniósł bardzo znaczne.

Mamy z dnia tego ostatni już raport księcia dyrektora:

„Nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi terenu... Wojsko okazało zapal i wytrwalosc godną podziwu, ale straciłem $\frac{1}{3}$ ludzi i nie mam już amunicji“

Dzień następny był dniem spoczynku, ale 18 października o świcie zawrzała walka na nowo. Tym razem uderzyły wojska pruskie i przez cały dzień prażyły ogniem huraganowym prawe skrzydło armji. Chodziło o zdobycie saskiej wsi Probstbeidy, jako nader ważnego punktu strategicznego. Poniatowski prowadził osobiście w ogień ukochany swój korpus VIII. przeciwko dziesięćkrotnej przewadze nieprzyjaciela. Cesarz Aleksander obserwował przez lunetę nadludzkie wysiłki dywizji Izydora Krasińskiego, która acz z ogromnemi stratami, utrzymała się jednak na stanowisku aż do końca bitwy.

Tymczasem jednak stała się rzecz fatalna: oto Sasi przeszli już otwarcie do obozu koalicji, a gdy wieczorem nadciągnęły jeszcze posiłki w rezerwach Blüchera i Bernadott'a, zgasł ostatni już cień nadziei w zwycięstwo dla Wielkiej Armji.

Nie było celu walczyć dłużej — zatrąbiono do odwrotu, który rozpoczął się w nocy, niemniej ciężki, niemniej niebezpieczny od odwrotu z pod Moskwy... Tam głód, okropne mrozy i ciężkie do przebycia masy śniegu, utrudniały niezmiernie pochód Wielkiej Armji — tu zaś jedyną dla niej drogę stano-

wiły wąska a przeszło pół mili długa grobla błotnista i grzązka, a dalej ośm mostów, rzuconych na rzeki Pleissę i Elsterę, których odnogi latem dość płytkie, a w ówczesnej porze silnie wezbrane, wystąpiły właśnie z brzegów i huczały złowrogo nurtem spienionym. Grobelką tą i owemi mostami dość nie pewnymi postępowała z trudem jazda, piechota, artylerja, amunicja i bagaże Wielkiej Armji, której straż tylną stanowili i tym razem Polacy pod niezmordowanie czujnem okiem wodza.

Nadszedł dzień 19 października — zimny i deszczowy. Spowita mgłą jesienną i bezustannie ostrzeliwana przez nieprzyjaciela armja napoleońska przeszła wreszcie dość szczęśliwie na drugą stronę; nie zdążył tylko przejść biedny korpus VIII., bo właśnie w chwili gdy dosięgał ostatniego mostu na rzece, runął tenże, zawczasie wysadzony w powietrze przez saperów francuskich! Księżę Józef wraz z garstką żołnierzy został odcięty — przed sobą miał wezbraną po brzegi Pleissę, a za sobą chmarę nacierających tyraljerów nieprzyjacielskich; trafili go też postrzałem w rękę, ale on nie zwrócił nawet na to uwagi wobec całej grozy położenia, bo i odwrót był odcięty i wszelka obrona niemożliwa. Otaczający księcia generałowie Małachowski i Grabowski błagali go na kolanach, aby się poddał i zachował swoją osobę dla kraju, ale on rzekł im krótko: — „honor przedewszystkiem — trzeba umrzeć mężnie“ — i... choć wyczerpany śmiertelnie, zgorączkowany od ran i utrudzenia, rzucił się w pław do Pleissy, ale nie miał już sił, aby kierować koniem i prąd począł unosić go ku środkowi rzeki. Rzucił się za nim w wodę kapitan francuski Bléchamp i w chwili kiedy księżę zsuwał się bezwładnie z konia, uniósł go w ramionach i wyciągnął szczęśliwie na brzeg przeciwny. Przyszedszy nieco do siebie ruszył Poniatowski pieszo ku Elsterze drogą grzązką, błotnistą, ale tu znowu otrzymał ciężki postrzał w bok. Upadającego na ziemię wodza pochwycili oficerowie w objęcia, zasłaniając go sobą od kul, które co chwilę wypadały zdradziecko...

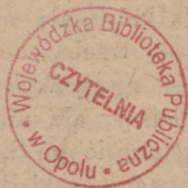
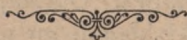
Raz jeszcze księżę odzyskał przytomność i zażądał konia; gdy mu go podano wsiadł nań z wysiłkiem, lecz chwiał się na siodle zboczony krwią, patrzył chwilę przed siebie wzrokiem zamglonym, konającym, a usta spieczona gorączką, mówiły jeszcze coś głośno o Polsce, o honorze. W tej chwili wy-

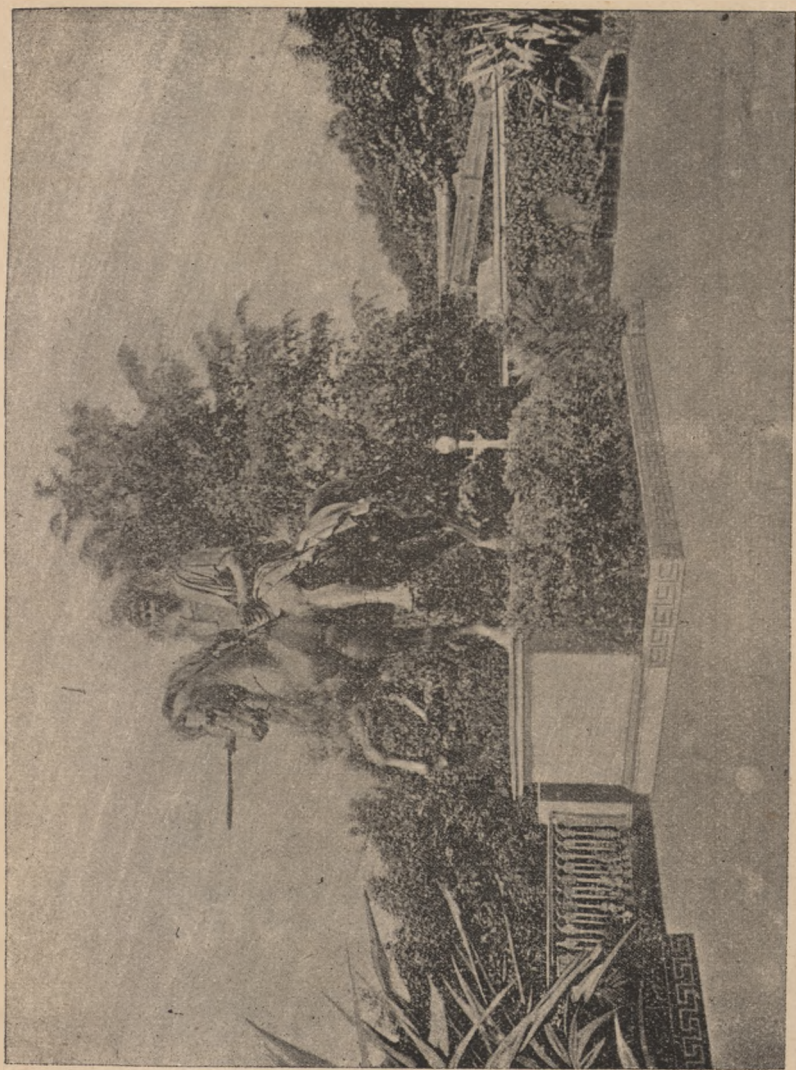
biegł z boku oddział piechoty nieprzyjacielskiej i sunął wprost na księcia. Na jego widok Poniatowski dobywszy sił ostatek, spał konia ostrogami i wskoczył do Elstery. Tu dosięgła go jeszcze kula w lewą pierś. Przeszyty nią na wylot książę Józef zsunął się z konia i — znikł w spienionych falach.

.....

**Cześć Twej pamięci nieśmiertelnej, polski rycerzu
bez skazy!**

Szałowa, dnia 16 grudnia 1922 r.





POMNIK KS. JÓZEFA.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 316672



000-316672-00-0